

Xinjiang, czyli dlaczego nie zobaczymy olimpiady...

**Motocyklowo - samochodowa wyprawa
do Kirgizji, Tadżykistanu i Chin**

Sierpień 2008

Krzysztof Podosek

*Gościnnie: Krzysiek Samborski
i Adam Sołtys*

Wstęp



Hej bracia i siostry...

2 sierpnia odlatujemy do Almaty i tam dosiadamy naszych Afryk, które - mamy nadzieje - w jakiś cudowny sposób będą już na miejscu. Wjeżdżamy do Kirgizji, trochę się powalęsamy po niej i 8 go sierpnia pojawimy się na przełęczy Torugart, by wjechać do Państwa Środka. W Chinach spędzimy dwa tygodnie, kręcąc się po Sinkiangu czyli Xinjiangu czy jak kto woli Wschodnim Turkiestanie.

W planach drogi główne i trochę mniej. Jakaś depresja i trochę gór. Jeziora i wyschnięte rzeki. Ma być zajebiście gorąco (+48) i dość chłodno (około 3-4 stopni) zarazem. Nie wjeżdżamy do Tybetu w tym roku.

Xinjiang jest dość duża prowincja, pięć razy większa niż Polska, znajdziemy sobie tam trochę atrakcji. Wyjeżdżamy przez Irkeshtam do Kirgizji, wpadniemy na chwilę do Tadżykistanu, przelecimy Kirgizję z powrotem i zameldujemy się w Kazachstanie skąd odlecimy do Europy. Wyjazd jest eksperymentalny mocno. Ekipa motocyklowo-samochodowa.

Oczywiście świadomi jesteśmy tego że się nie da jechać z samochodami. Będziemy udowadniać że się da. A jak się nie da to będziemy jechali osobno.

Z naszych jedzie pięć sztuk: Jojny w podróży poślubnej, Podoski, Marcin z Zakopanego z Kasia, Waldek z latoroślą i ja z przyległością. Będzie jeszcze tajemniczy Don Pedro, który odbywa swą podróż dookoła świata na LC8.

Jak widać wyjazd ma charakter urlopowy, a nie wyprawowy. Jedziemy z kobietami i dziećmi. W związku z tym nie spodziewajcie się dramatycznych relacji, hardcoru i takich tam... Ma być sympatycznie i nietoksycznie. I jeszcze ładne zdjęcia mają być...

W tym miejscu chciałbym bardzo mocno wyrazić moje niezadowolenie wobec kolegów Pastora i Mateo, których nocne ekscesy doprowadziły do sytuacji, w której zostali wykluczeni z wyjazdu. Panowie, porzućcie te praktyki a jeszcze gdzieś razem pojedziemy!

Sambor

Spis treści

SPIS TREŚCI	3
UKRAINA	4
1 SIERPNIA, KRAKÓW-KIJÓW	4
2 SIERPNIA, KIJÓW- ALMATY	5
KAZACHSTAN	7
3 SIERPNIA, ALMATY	7
4 SIERPNIA, ALMATY- GRANICA KIRGISKA(294KM)	8
KIRGIZJA	12
5 SIERPNIA, GRANICA KIRGISKA- TAMGA(267KM)	12
6 SIERPNIA TAMGA- TOSOR (60KM)	19
7 SIERPNIA, TOSOR – TAMGA (50KM)	32
8 SIERPNIA, TAMGA, SONG KUL (247KM)	33
8 SIERPNIA, TAMGA, SONG KUL (247KM)	34
9 SIERPNIA, SONG KUL WKOŁO(160KM)	43
10 SIERPNIA, SONG KUL – TASH RABAT (225 KM)	57
11 SIERPNIA, TASH RABAT- KAZARMAN (360 KM)	64
12 SIERPNIA, KAZARMAN – OSH(200KM)	75
13 SIERPNIA, OSH – GULCZA, BIWAK(84 KM)	78
14 SIERPNIA, GULCZA – SARY TASH, BIWAK(121 KM)	85
15 SIERPNIA, SARY TASH – KASZGAR, CHINY (74 KM+250KM)	98
CHINY	102
16 SIERPNIA, KASZGARU - MIASTO	102
17 SIERPNIA, KASHGAR, SUNDAY MARKET	107
18 SIERPNIA, KARAKORUM HIGHWAY, KASZGAR – TASHKURGAN (250KM)	121
19 SIERPNIA, TASHKURGAN – KASHGAR (250KM)	133
20 SIERPNIA, KASHGAR – PIK LENINA (KIRGIZJA), BASE CAMP(250+162KM)	137
21 SIERPNIA, PIK LENINA– GRANICA TADŹYCKA (116 KM)	148
TADŹYKISTAN	160
22 SIERPNIA, GRANICA TADŹYCKA- MURGAB, TADŹYKISTAN (217 KM)	160
23 SIERPNIA, MURGHAB – RANGKUL (120 KM)	183
23-24 SIERPNIA, W STRONĘ AFGANISTANU – WARIANT KAJMANA (702 KM)	192
23-24 SIERPNIA, W STRONĘ CHIN – WARIANT BY SAMBOR (268 KM)	203
24 SIERPNIA, RANGKUL – SARY TASH(228 KM)	214
KIRGIZJA	219
25 SIERPNIA, SARY TASH – ZAPORY NA NARYNIU, BIWAK(343KM)	219
26 SIERPNIA, ZAPORY NA NARYNIU- SOKULUK,BIWAK (480 KM)	222
26 SIERPNIA, ZAPORY NA NARYNIU- SOKULUK,BIWAK (480 KM)	223
KAZACHSTAN	229
27 SIERPNIA, SOKULUK – ALMATY (270 KM)	229
UJGURZY Z XINJIANGU	246
KIRGIZI	257
TADŹYCY	268
INFORMACJE PRAKTYCZNE	271

Ukraina

1 sierpnia, Kraków-Kijów

Żeby wczuć się w klimat podróży, no i żeby nie mieć łatwiej niż chłopaki w samochodach 4x4 jadący przez Rosję zdecydowaliśmy się na podróż łączoną: pociągowo-samolotową. Pożegnani przez rodziny i znajomych, w 7 osób wsiedliśmy w pociąg relacji Kraków – Kijów. Już po godzinie z hakiem w Tarnowie dosiadł się Waldek i Kuba. W ten sposób byliśmy w komplecie (nie licząc Agi, która poleciała do Kijowa samolotem, czyli jak każdy normalny człowiek by zrobił).



Ale nieee, myśmy musieli zakombinować! Bilet lotniczy wychodził tysiąka taniej na osobę, dodając do tego koszt wizy kazachskiej i przejazd pociągiem ciągle byliśmy do przodu. Jak bardzo się myliliśmy było nam dopiero dane się przekonać. Na razie postanowiliśmy się skatować pociągiem.

Ponieważ było już po trzynastej (dla młodszego pokolenia czytelników za komuny była to pora sprzedawania alkoholu) od razu w przedziałach kuszetkowych zaczęliśmy integrację przy użyciu żołądkowej gorzkiej i

wiśni w spiry图斯ie.

W nocy była jeszcze tylko kontrola graniczna, gdzie nieprzyjemny ukraiński celnik groził nam pięcioletnim zakazem wjazdu na Ukrainę za źle wypełniony druczek wjazdowy. Idiota. Dajemy mu odczuć, że może nam skoczyć i za chwilę pociąg jedzie dalej.

W międzyczasie dochodzi wiadomość od chłopaków a autach z kazachskiej granicy: „Jesteśmy udupieni na granicy, mamy nieważne druczki wiz z Konsulatu Kazachstanu w Warszawie” i dopisek „to nie żarty” wskazujący, że to pierwszy SMS, w którym dżipowcy nie robią sobie jaj. Ukojeni resztkami alkoholu zapadamy w sen, wiedząc już, że raczej zaliczymy obsuwę na starcie i to my będziemy czekać na auta, niż one na nas, jak planowano.



2 sierpnia, Kijów- Almaty

Rano jesteśmy już na Ukrainie i o 09:00 wysiadamy w Kiev Pass.

Wysyłamy Joję na lotnisko po Agę a sami oddajemy się przyjemności zwiedzaniu Kijowa.

Nigdy tu nie byłem, no i jestem w szoku – to fajne europejskie miasto. Normalnie wyglądający ludzie, czysto i zadbane. Niesamowicie odstawione zabytki, przepięknie odnowione cerkwie.

Zaliczamy cerkiew św. Włodzimierza, Sobór św. Zofii a potem Złote Wrota- kawałek murów obronnych starego Kijowa.



Spacerujemy po parku, który kończy się ogromny łukiem przyjaźni ukraińsko-radzieckiej z widokiem na oszałamiająco ogromny Dniepr.





Nie byli byśmy sobą gdybyśmy nie wstąpili do napotkanego sklepu motocyklowego, całkiem dobrze wyposażonego. Niektórzy nawet dokonują ostatnich zakupów.

Na Placu Niezależności, gdzie odbywała się pamiętna Pomarańczowa Rewolucja czeka nas kolejny szok: kijowianki – istna rewia mody, biżuterii, wyzywających strojów i chyba jeszcze mają tu zawody, która laska ma wyższe szpilki. Całe stada dziewczyn krążą tam i z powrotem, postukując obcasem i wystawiając roznegliżowane

części ciała na przyjemne kijowskie słońce. I jeszcze chlapią się w fontannach. Musieliśmy szybko schłodzić się piwkiem w parkowym ogródku. Czar pryska, ceny jak na krakowskim rynku...



I tak mija cały dzień. Dostajemy SMSa, że chłopaki po 16 godzinach walki na granicy przekroczyli ją i napierają non stop do Almaty, gdzie mamy się spotkać. Popołudniu przierzucamy się na lotnisko Boryspol gdzie spotykamy Agę z Jojną.

Całą motocyklową dziesiątką pakujemy się do samolotu ukraińskich linii Aerosvit. To normalny nowoczesny Boeing, rozwiewa nasze wątpliwości, co do bezpieczeństwa lotu. Dla pewności wypijamy jeszcze po browcu i zaraz po starcie po drugim. Wyczerpani podróżą i nocą w pociągu, natychmiast odpływamy w błogi sen. ...

Niby to tylko 4 godziny lotu, ale wraz z 4 godzinną różnicą lecimy całą noc. Rano budzą nas promienie słońca, a w dole rozciąga się płaski, pustynny krajobraz Kazachstanu



Kazachstan

3 sierpnia, Almaty

Równinny krajobraz gwałtownie się zmienia – na horyzoncie pojawiają się wielkie góry, samolot zniża lot, kołuje pokazując nam całą panoramę by zaraz wylądować u podnóża szczytów. Jesteśmy w Almaty! Poloneza czas zacząć.

Dzwonimy do naszego punktu kontaktowego – Polki w Kazachstanie, która zaoferowała nam pomoc logistyczną. Cisza. Raz, drugi, trzeci. Nosz kur...! Co jest? Całość planu bazuje na zostawieniu betów i przyczepy właśnie w Almaty. Miny nam rzedną. Za chwile rzedną nam jeszcze

bardziej jak za filiżankę kawy na lotnisku płacimy 650 Tenge, czyli 6 dolców. Mamy przedsmak cen w Kazachstanie... Niejednokrotnie jeszcze się natniemy...

Ale nic, Sambor dzwoni dalej. Po 1,5h jest! Na rybach była. Mamy adres – bierzemy taksówkę i jedziemy. Taksówkarze z rozpadającej się Łady i Merca nie mogą znaleźć adresu, jeżdżą tam i nazad, na koniec oczywiście chcą nas naciąć na więcej niż się umawialiśmy. Dajemy 2500 Tenge i odmawiamy dalszych negocjacji. Wyglądali na zmartwionych, choć i tak nas nacięli na tysiąka jak się dowiadujemy później. Przy okazji dokonujemy kolejnej obserwacji: po ulicach jeżdżą same wypasione terenowe Lexusy, Gelendy (Mercedesy G) stuningowane przez AMG i inne wypasione dzipy. Najgorsze to już były toyoty L100, ale za to wersja ze złotymi literkami...

Całe bogactwo z handlu ropą i gazem znajduje się tutaj, oraz w stolicy Kazachstanu – Astanie. Miasto brzydkie, brudne zatłoczone i zakorkowane – niczym specjalnym nie może się pochwalić. Raczej trzeba omijać, jeśli tylko można.

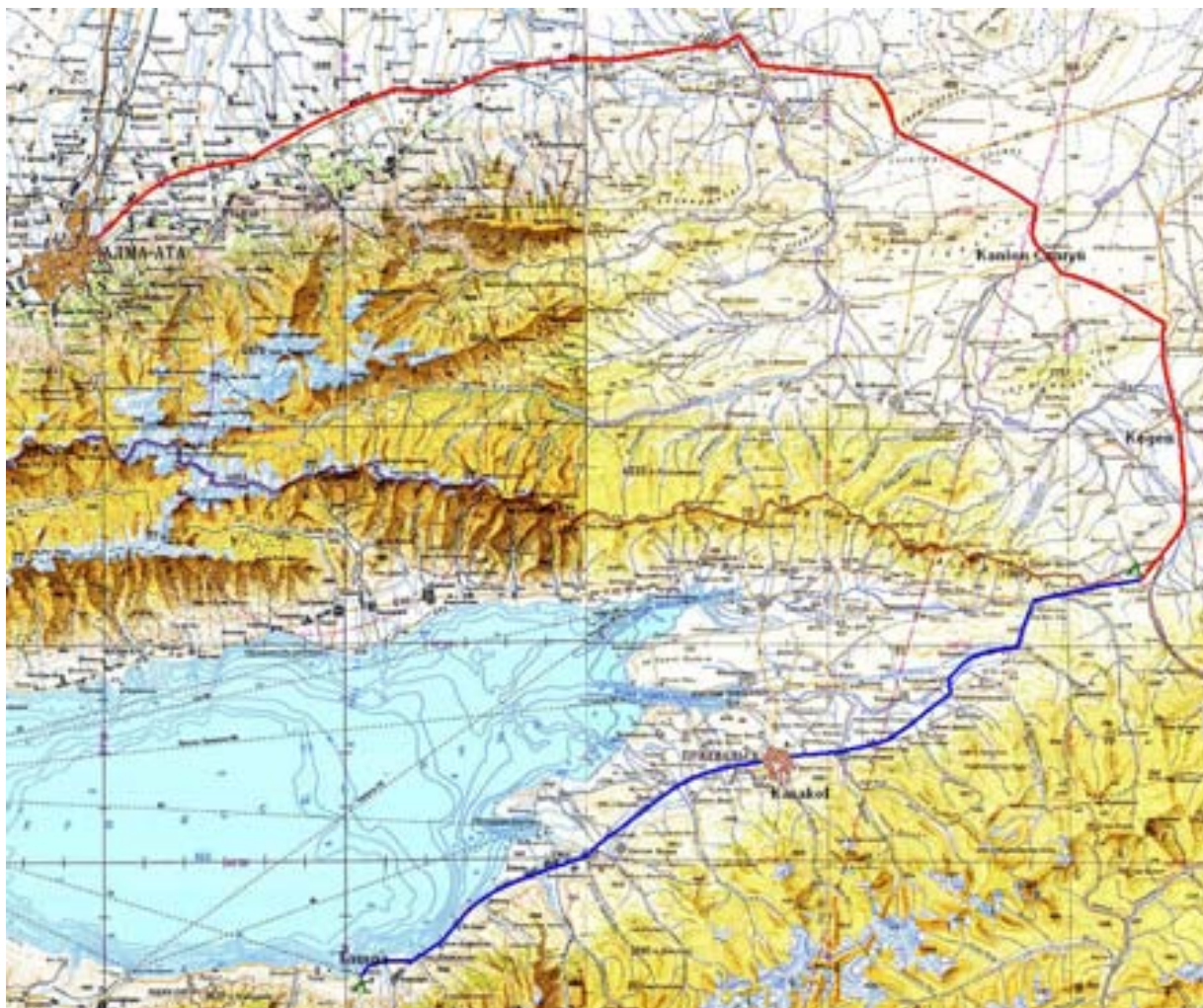
Za to mieszkanie pani Alicji położone na zamkniętym i strzeżonym osiedlu (p. Alicja jest menadżerem na kontakcie dużej polskiej firmy) i jest raczej wypasione. Korzystamy po kolei z prysznic, po trzecim dniu w podróży – jest naprawdę przyjemnie. Miło sobie gawędzimy, a w tym czasie p. Alicja szuka nam hotelu, bo wiemy już, że chłopaki 4x4 nie dotrą przed nocą... No i kolejny szok – ciężko o pokój za mniej niż 100 dolców ... Z przerażeniem zaczynamy przeglądać nasze topniejące pliki dolarów, jak tu chwilkę pobędziemy, to będzie kaplica. Rachunek w restauracji za 350 dolarów dopełnia obrazu kłęski i rozpaczy. Nawet nowo zawarta znajomość z doradcami prezydenta do spraw energetyki i bezpieczeństwa Kazachstanu nie osładza nam tego wieczora.



restauracji za 350 dolarów dopełnia obrazu kłęski i rozpaczy. Nawet nowo zawarta znajomość z doradcami prezydenta do spraw energetyki i bezpieczeństwa Kazachstanu nie osładza nam tego wieczora.

Jest SMS! – dzipy napierają non stop, walcząc z wiejącym buranem – prosto w pysk. Celują na 1 w nocy. Zamawiamy dla nich pokoje w hoteliku za 80 dolców za dwójkę – niech się przynajmniej wyśpią i wykapią po ponad tygodniowej podróży...

4 sierpnia, Almaty- Granica Kirgiska(294km)



Są ! Budzi mnie pani z recepcji, że na parking zajęchali nasi przyjaciele. Miło zobaczyć ich zmęczone gęby, na przywitanie wystąpili w świeżutkich podkoszulkach sponsora – wiec nawet można ich przytulić! Zamieniamy kilka słów i kładziemy ich spać. Z przykazaniem, żeby nie wstawali do 12 w południe. To będzie długi dzień...



My zaś o 0800 wstajemy i zaczynamy rozkulbaczać przyczepę – spisała się doskonale, motorki bez uszkodzeń, tylko niemiłosiernie brudne. Cóż, za nimi 6000 km. Powoli montujemy kufry i sakwy, przepakowujemy bety decydując, które zostają z nami a które u pani Alicji.



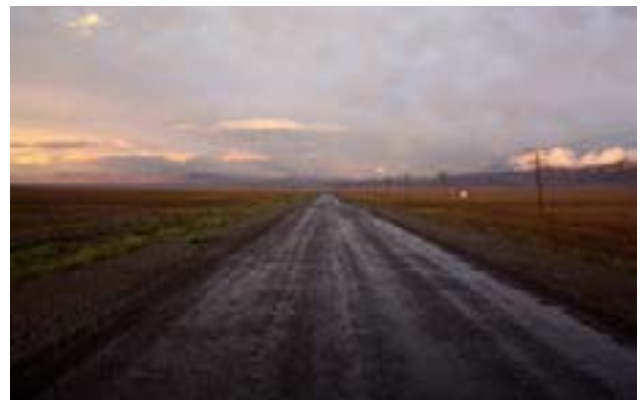
Jakoś schodzi nam niemiłosiernie dużo czasu, na tym kursowaniu tam i z powrotem – w końcu jesteśmy gotowi. Przebijamy się przez zakorkowane miasto, tankujemy, po drodze zostawiamy przyczepę w magazynie. Witaj wesola przygodo!

Jest już po 16. Marzenia o biwaku w Kanionie Czaryń prysnęły jak bańka mydlana. Przed nami 300km do granicy kirgiskiej. Zaczyna łać... Sambor, masz w ryj, miało nie padać. Pustynia miała być... Dłuuugie proste, nie trzeba kombinować, nowe TKC akurat się zetrą, można spokojnie wczuć się w rolę kierowcy 400 kg potwora. Przez głowę przemykają myśli czy aby wszystko wzięte, czy królowa Afryka po raz kolejny wytrzyma trudy podróży, czy wrócimy cali i zdrowi. Woda zaczyna wlewać się przez rękawy...

Obiecałem sobie po Indiach, że w starej kurtce już nie pojedę... Czemu jej nie zostawiłem gdzieś pod New Delhi? Cierp teraz, pacanie. Irma też twierdzi, że coś ma mokro koło kieszeni spodni...

Dobra. Na budziku 200km – stajemy w przydrożnej knajpie. Pierwszy mój kontakt z plemieniem i mantami. To pierwsze to cienki rosołek z kołdunami mięsnymi a drugie to duże pierogi z baraniną i kapustą. Do baraniny podchodzę bezkrytycznie, pierogi też lubię a rosołek na mokrego zziębniętego motocyklistę działa kojąco. Wpitalamy. Jeszcze zieljonyj czaj, pogawędka z Kazachem o dalszej drodze (dobrze, że ostatnie dwa lata uczyłem się rosyjskiego na nowo) i jedziemy dalej. Wreszcie krajobraz się zmienia, pojawiają się pierwsze pagórki, droga zaczyna się wic pomiędzy pokrytymi żółtą krótką trawą pagórkami upstrzonymi dziwnymi czarnymi kamieniami – jakoś kojarzą mi się z lawą wulkaniczną...

Wreszcie jest! Droga opada i przecina rzekę Czaryń, pewnie w jednym z najniższych punktów kanionu – uchodzącego za drugi największy po amerykańskim Grand Kanionie.





Niestety wiele z tego nie zobaczymy – zaczyna się już ściemniać – a my mamy dzień w plecy. Stajemy zerknąć na rzekę w dole, a tu zaczyna coś śmierdzieć z motocykla Jojny...No nie, dymi się z pompy, którą dałem Jojni do testowania. Swojej Mikuni po modyfikacjach chciałem dać drugą szansę, więc Jojna wpakował moją elektryczną po wymianie styków i płytki do siebie. No i teraz kopci się z dekla. Wadliwą pompę wymieniamy na stary sprawdzony oryginał i oddalamy się w zapadającą ciemność.



Ostatnie przebłyski zachodzącego słońca ukazują w oddali pasmo Tien Szan – z granicą gdzieś pomiędzy zaśnieżonymi szczytami.

Po nocy dojeżdżamy w końcu do Kegen gdzie tankujemy pod korek kazachskie paliwo i jedziemy w kierunku kirgiskiej granicy. Znikł asfalt, zrobił się szuter. Wkoło panuje całkowita ciemność zwalniamy więc do 40 – 50 km/h. Za chwilę Samborowi przebiega przed samym nosem spętany koń. Zwalniamy całkowicie czując, że nocna jazda na tym pograniczu to niebezpieczna zabawa. Mamy nosa – niebezpiecznych koni jest więcej na dodatek na drodze leżą znieca duże kamienie. A my oczywiście, z naszym ładunkiem świecimy w niebo zamiast na drogę. Z mroku wyłania się granica kazachsko- kirgiska.



Jesteśmy już w górach Tien Szanu, może niezbyt wysoko, ale zimno okrutnie a na dodatek celnicy bawią się z nami w kotka i myszkę, niemożliwie przeciągając procedury i zabawiając nas rozmową. My głusi na podteksty, szczerkając zębami, znosimy ich szykany. W końcu tracimy jedno piwo na rzecz przyjaźni polsko-kazachskiej i po 2 h idiotycznego kiblowania na granicy jesteśmy w Kirgizji! Dodam że nasze rzekomo nieważne druczki wiz kazachskich tym razem przeszły bez zająknięcia...



Rozbijamy namioty na jakiejś łące 5 km za przejściem i natychmiast kładziemy się spać. Brrr... zimna ta noc będzie...

Kirgizja

5 sierpnia, Granica Kirgiska- Tamga(267km)

O szóstej budzi nas słońce na błękitnym niebie i szron na motocyklach i namiotach. Po deszczu i chmurach nie ma śladu.

Mamy ambitne palny eksploracji gór w okolicach jeziora Issyk Kul, a że mamy „dzień w plecy” – więc trzeba się sprężyć. Póki co, kierujemy się na Karakol, gdzie zgodnie z planem mamy zatankować, wymienić kasę i kupić jakiś prowiant.

Wybrane przez nas miejsce wczoraj w nocy okazało się być bardzo malowniczo położone – tuż u wejścia do doliny.

Zielono i ślicznie tutaj. Mamy 100 km do Karakol (dawniej Przewalsk) i bardzo ambitne plany na dotarcie na 8-go sierpnia na chińską granicę na przełęczy Torugart. Zwijamy obóz, pijemy kawę i nie tracąc czasu na śniadanie (zjemy potem) podążamy za drogą. Oczywiście Afrykańską, szutrową.



Na dzień dobry wjeżdżamy na post ze szlabanem, gdzie Kirgiz informuje nas o pobieraniu opłaty klimatycznej za wjazd na Jezioro Issyk Kul. 20\$. Spodziewaliśmy się tego, więc płacimy bez gadania. Facet sugeruje skrót przez góry, *charoszaja daroga*, no i ma być też krótsza. Zamiast 100 to tylko 40 kilometrów. Tuż za postem w lewo między zabudowania.

Daliśmy się nabrać, tak czy siak była stówka, za to droga była fantastyczna. Skrojona w sam raz na Afryki oczywiście. Długie kamieniste podjazdy, wymyte i wypłukane podłużne rowy,

wszystko wśród pięknych zielonych i skalistych gór. Zachwyceni pokonujemy kolejne km i strzelamy fotki.



Ku naszemu zdziwieniu naszą droga porusza się wielki ZiŁ. Biorę go lewą po jakimś luźnym szutrze, tył motocykla zaczyna mi latać na prawo i lewo, zbliżamy się niebezpiecznie do wielkiego koła Ziła. Zaliczam z tylnego siedzenia kuksańca, Irma nieprzywykła do szutrowych igraszek. Oj będzie musiała przejść jeszcze niejedno.



Mijamy pierwsze owcze stadka, i zaczynamy zjazd z przełęczy Kan-Tasz. Niezła rozgrzewka jak na dzień dobry. Kilkadziesiąt minut później jesteśmy we wsi o swojsko brzmiącej nazwie *Sowieckoje*, tuż u podnóża przekraczanego pasma. Szybkie śniadanko w kolejnej miejscince (myląc nazwaną również Karakol – to jakaś niesłychanie popularna tutaj nazwa. Wyglodniali wsuwamy jajka, kotlet w cieście, chleb.

Próżno szukać w Kirgizji chleba, choć trochę przypominającego nasz- w Kirgizji chleb to płaski drożdżowy placek z nieco wyższymi brzegami, często z czarnuszką lub sezamem. Środek bywa dekorowany poprzez dziurkowanie. Nie kroi się go tylko odrywa kawałki – często służące do wymiatania potraw z miseczki lub jako pseudo łyżka. Bardzo nam ten chlebek odpowiada.

Za chwilę jesteśmy we właściwym już miasteczku Karakol i mamy pierwszą próbę zarządzania taką wielką grupą osób. Wszystko trwa niesamowicie długo, tankowania, wymiana walut zakupy... Schodzi nam z 2 h.



Potem pokonujemy kilkadziesiąt kilometrów przyzwoitym asfaltem do miejscowości Tamga znajdującym się bezpośrednio nad jeziorem Issyk Kul. Jedziemy po rolniczej równinie cały czas zerkając w prawo w oczekiwaniu na pierwszy widok jeziora. Wiedziałem że ma być duże i niebieskie, ba, widziałem nawet jego zdjęcia, ale moment, w którym wyłoniło się między krzakami zaskoczył mnie. Pomyślałem przez moment, że jestem w Grecji. Ten kolor niczym nie ustępuje Adriatykowi. No i jest ogromne. Na horyzoncie w delikatnej mgiełce majaczą łańcuch górskie, przyprószone śniegiem. Jezioro ciągnie się wśród zieleni na Zachód przez około 100km.



My jedziemy kilkadziesiąt kilometrów za miejscowość Barskoon, w okolicy wioski Tamga, w której jest planowany nocleg. Mamy też tu gdzieś spotkać się z Prezesem w białej Toyocie Land Cruiser i Przemkiem - jego synem. Oddzielili się jakoś od kawalkady Naszych Patroli i przyjechali tu przez Biszkek. Jest koło drugiej po południu, słońce w zenicie, dobrze powyżej 25 stopni Celsjusza. Tak sobie jedziemy i w okolicy Tamgi na słupku przy drodze widzę białą czerwoną flagę.

- *Patrz, jacyś Polacy tu są, ale jaja* – mówię do Irmy. I pojechaliśmy dalej. Po 10 km mija mnie jak rakietą Sambor na swojej babci. Po długim drucie doszło do mnie, że ta flaga to znak był... Zwalmy to na upał i niewyspanie, w końcu w Polsce dopiero 10:00 a my już od 8 godzin na nogach.

Skrećmy, na małą piaszczystą plażę nad samym jeziorem. Cóż, Kirgizi do czyścioszków nie należą – wszędzie walają się śmieci, szkła, końskie kupy plastikowe butelki i wszystko, co przyniosła woda. Jest też Prezes i Przemek, Wyglądają na zrelaksowanych w swoich leżaczkach i zimnym piwkiem z lodówki.

Mała dygresja o Dżipach będzie. Otóż nasze dżipy to trzy Nissany Patrole GR i Toyota Prezesa. Dżipowcy nie lubią jak się o nich



mówi Dżipowcy. To mniej więcej tak, jak my nie lubimy Pastora za to, że jeździ beemką, albo w ogóle tak, jak kochamy inne motorki niż Afryki. Otóż Dżipowcy, doskonale wczuwają się w

klimat i nazywają nas w rewanżu Harlejowcami. Dżip Dżipowca to wersja wyprawowa *rejli*: 7 osobowa maszyna przerobiona na dwuosobową. Resztę zajmuje przestrzeń bagażowa. Otóż przestrzeń bagażowa musi pomieścić wszystko. Znajdziemy tam więc lodówkę, nie jakaś tam popierdułkowata mini-lodóweczka turystyczna, tylko wielka, kłoc-lodówka zdolna pomieścić piwo dla całej wyprawy. Na miesiąc. Oprócz tego przestrzeń mieści stół z krzesłami, kuchnię z pełnym wyposażeniem i w ogóle wszystko, co się ma w domu i co może się przydać. Sławetna lista im. Podosa to mały pikuś przy tym, co można znaleźć w owej przestrzeni bagażowej. Oczywiście, jakby owej przestrzeni bagażowej było mało, cały czterometrowy dach jest tzw. przestrzenią bagażową dachową. W technologii *rejli* rzecz jasna. Tam znajdziemy koła zapasowe, zbiorniki na wodę do mycia i picia, przenośny prysznic, wielką ilość kanistrów, różne skrzynie NieWiadomoCoMieszczące i wiele, wiele innych, niezwykle przydatnych szpejów.



Dżipowcy, gdyby to czytali, pewnie unieśliby się świętym oburzeniem. Pewnie podle by stwierdzili, że musieli to wszystko wyrzucić na dach żeby pomieści rzeczy harlejowców, które ci, co chwila im podrzucali. Ba, nawet podrzucali im swoje kobiety w chwilach ich słabości lub innych przyczyn obiektywnych, o których w innym rozdziale. Trochę w tym prawdy musi być, deprawacja harlejowców postępowała proporcjonalnie do przejechanych kilometrów. Ale oczywiście najszybciej wykryli, że piwo jest zimne, kiedy stoi w lodówce a motocykle „idą” lepiej z kuframi na dachu.



Ale wróćmy do naszej plaży, wygląda, że mimo wczesnej pory tu zostaniemy na nocleg, rozdaję więc worki na śmieci i szybko doprowadzamy teren „bazy” do porządku. Mimo wysokości 1800 metrów n.p.m. jezioro jest ciepłutkie, rzucamy się w jego lazur, rozkoszując się przyjemną wodą po całym dniu. Słońce opala tu błyskawicznie, więc filtry 50 (*rejli*) idą w ruch.

Sielankę psuje nam wiadomość z Chin- granica jest zamknięta na skutek zamachów na policyjne posty w prowincji Xinjiang, – czyli tam, gdzie jedziemy. Zamieszkujący tą prowincję muzułmańscy Ujgurzy – rdzenni mieszkańcy tego regionu zostali podobnie jak Tybetańczycy i Mongołowie zostali najechnani i przyłączeni na siłę do Państwa Środka. Naród ten, szykanowany i zastraszony postanowił w świetle jupiterów olimpijskich przypomnieć światu o zbliżającej się zagładzie swojej kultury. Zamach bombowy na chiński posterunek i śmierć 18 policjantów skutecznie zablokował nam możliwość wjazdu.

Nasz plan legł więc w gruzach. Naradzamy się więc i ustalamy, że trzeba czekać w Kirgizji i kręcić się w okolicy granicy, aby na sygnał ponownego otwarcia granic jednak wjechać do Chin. Na razie postanawiamy zweryfikować informacje uzyskane od naszego Chińczyka. Wkrótce Onet.pl je niestety potwierdza.

Tak więc zakładamy bazę, zostajemy na naszej plaży i eksplorujemy okoliczne góry. Jójnie ten plan nie pasuje, bo umówił się z chłopakami z grupy Afrykowo-Alpinistycznej (<http://www.africatwin.com.pl/showthread.php?t=331>), że przywiezie im czekany i pozostały



ekwipunek wspinaczkowy nad Jezioro Song kul. Ich plan to zdobycie Piku Lenina – najwyższej góry Kirgizji. Bez sprzętu ani rusz. Agnieszka nie chce słyszeć o samotnym maratonie Jójny tam i z powrotem 500km. Nowy mąż w końcu, ktoś musi być rozsądny. Wkrótce Jójnowie znikają za zakrętem. Mają być jutro z powrotem. A z plaży grupa chętnych wyrusza „na pusto” doliną rzeki Barskoon w stronę kanadyjskiej kopalni złota. Ok. 50 km piękną równiutką szutrówką wznosi się na przełęcz na wysokość

około 3800m. To pierwsza poważniejsza przełęcz na tej wyprawie i czuję lekkie szumy w głowie spowodowane chorobą wysokościową. Afryka nic nie czuje i mknie zadowolona po wertepach połykając zakręt za zakrętem. Tuż przed przełęczą odsłania się widok na piękne zielone wzgórza, oświetlone promieniami popołudniowego słońca. Trzaskamy foty.





Przemek (Osuch) – nasz wyprawowy pisarz i fotograf (jego relacja na www.variant-adventure.pl) pierwszy raz wsiada na motocykl jako pasażer i strzela parę kalendarzowych zdjęć w ruchu. Na tych zabawach schodzi nam do zachodu słońca i końca benzyny u Sambora.



Doimy Waldkową Afri butelką po mineralnej i smigamy na dół. Gosia, dziewczyna Kajmana, zamienia się z Irmą i zjeżdża ze mną na dół. Nigdy wcześniej nie siedziała na motocyklu. Po 40 min jazdy (trzy razy sprawdzałem czy jeszcze siedzi, bo nie dawała znaku życia) wygląda na szczęśliwą, że wraca do auta. Noc zapadła, po ciemku wracamy ostatnie km do bazy. Piwko, lulu. Milion Star hotel. Pięknie jest...



6 sierpnia Tamga- Tosor (60km)

Rano, oczywiście po kąpieli na obudzenie i śniadanku (kawa, chleb, jakaś konserwa) robimy podział na dwie ekipy. W zasadzie to trzy. Prezes jedzie szukać zepsutego serwa do Karakol. Znaczący, jedzie szukać dobrego żeby zastąpić to co padło po drodze. Nie wiem, co to jest to serwo – w Afryce tego nie ma... Dwa Patrole – Kajman z Gosią i Qśma z Fruzią oraz 3 Afryki – nasza, Samborowa i Waldkowi mamy zamiar zdobyć przełęcz Tosor a potem, dnem górskiej doliny, cofnąć się na wschód i spotkać się z drogą na przełęczy, do której dojechaliśmy wczoraj.



Trasa ma na oko 110 km z czego 60 km jest nam nie znane. Oceniamy, że za max 4 h jesteśmy z powrotem i druga ekipa (Prezes i Przemek w Toyocie, Jacek i Osuch w Patrolu oraz Marcin z Kasia i Jojną i Agą na Afrykach) będzie mogła pokonać tą samą trasę wg śladu w GPSie, który zapiszemy.

Mamy zamiar eksplorować dolinę za pasmem górskim Terskiej Ałataj oddzielającą dolinę w głębi Tien-Shan od jeziora Issyk Kul. Dolina ta ma około 200 km a jej dnem wiedzie nieuczęszczana górską drogą. Zaczyna się we wsi Tosor i biegnie przez przełęcz o tej samej nazwie, na zachód do miejscowości u ujścia doliny– Sary-Bulak. Zaś na wschód do wspomnianej kopalni w dolinie Barskoon.

Na 25-ciu kilometrach offroadowego podjazdu na przełęcz Tosor przewyższenie wynosi 2100 metrów, a sama przełęcz przebiega na wysokości 3893 metrów.

Na początek zatankowaliśmy na obskurnej wiejskiej stacji benzynę do pełna. Odnaleźliśmy drogę wjazdową na Tosor, upewniając się wprzód, że w tym roku jest przejezdna. Często dochodzi tam do obsunięć drogi a usuwanie ich skutków trwa



całymi tygodniami. Zwłaszcza, że ta droga w zasadzie donikąd nie prowadzi. No więc taką drogą, zaczynamy wspinaczkę. Fajny offroadzik po kamieniach, niemający nic wspólnego ze wczorajszym hajwejem szutrowym. Zaczyna się robić wysokogórsko, droga zwęża się i prowadzi to przez piargi usypane na drodze przez żleb górujący na nią, to przez skalną półeczkę, szerokości Dżipa oczywiście.



Dojeżdżamy do skrzyżowania dróg i nie za bardzo wiemy gdzie jechać dalej. Wyjmuję radziecką sztabówkę ściągniętą z netu i z pomocą GPSa nanoszę koordynaty na mapę. Odnajdujemy się, ale drogi z lat pięćdziesiątych nie koniecznie znajdują odzwierciedlenie w rzeczywistości. Sambor zasięga języka i jedziemy dalej.



Na drodze stanął nam potok z piękną zieloną wodą i równie zielonym brodem. Wyglądającym na głęboki.

Puszczamy dzipa przodem. W wodzie chowa się pół z 33 calowego koła, Przejdziemy. Ponieważ nikt nie chce zmoczyć sobie butów przed prawie 4 tyś. przełęczą, więc w konkursie rzutu



obuwiami przez potok zwycięża Sambor. Spodnie też ściągamy i powolutku po kolei przejeżdżamy na drugą stronę. Uff. Było łatwiej niż się spodziewaliśmy. Ale bosa stopa na podwózku Afryki to słaby pomysł. Nie polecamy.

Pierwszy Sambor, Ja, potem Waldek i na końcu powolutku pną się pod górę dzipy. Droga zaczęła wznosić się mocno do góry ziemno-kamienistą koleiną, po której podczas deszczów spływa woda i żłobi podłużne wyrwy.

JEEEEEB!

Sambor jedną taką koleinę wziął przednim kołem, drugą tylnym i się nie wyratował. Wyciągamy moto z krzaków. Wszyscy cali. Dobrze że te podjazdy to wolne są. Nie na darmo Tosor po kirgizku znaczy „Lepiej Zawrócić”. Nie słuchamy i napieramy dalej.

Jedziemy dalej i spotykamy też pasterzy na Uralu. Ural zagotował, olej cieknie po osłonach popychaczy zaworowych. Kajman bierze go na hol.. Ciągłe jesteśmy na zielonej części gór, mijamy pierwsze jurty kirgiskich pasterzy, widać stada owiec, oraz wypasające się konie.



Wszystko wśród soczysto-zielonych traw szarości

górujących nad nimi niebotycznych gór i błękitnego nieba. Pięknie! Sielanka ta ma się jednak wkrótce skończyć...



Zaczynamy powoli wjeżdżać w wyższe partie gór, gdzie zieloną trawkę zastępują szare kamienie i skały. Po przejechaniu niezliczonej ilości zakrętów docieramy do miejsc, gdzie przyroda surowo obeszła się z drogą. Ogromny kawał góry zjechał żłobem i zrównał drogę i jej okolice, zasypując je tonami kamieni.



Wśród tych kamieni przebiegała droga, lub coś na jej kształt. Co rusz zszadamy pasażerów, którzy dostawali zadyszki przechodząc po 20 metrów gołoborza. Kajman i Qśma spuszczały powietrze z kół swoich Patroli i powolutku lawirują pomiędzy skałami. To chyba najbardziej wymagająca technicznie droga, jaką w życiu jechałem. Serce mi rośnie z uniesienia, krajobrazy w koło obezwładniają a adrenalina pcha wciąż do przodu.



Wkrótce docieramy do przełęczy zwieńczonej lodowcem. 40 km i 4 godziny. Niezły wyrzyp. Wszyscy jednak mamy banany na twarzach. Z przełęczy rozciąga się widok na uroczą zieloną dolinę ciągnącą się na zachód aż do Song kul, a na wschód, do dzień wcześniej zaliczonej przełęczy Barskoon, która jest naszym dzisiejszym celem.

Tuż za przełęczą spotykamy dwóch Włochów na rowerach z przyczepkami. Przejechali już całą dolinę od Song kul i zastanawiają się, co dalej. Pokazujemy im na mapie gdzie są i jak powinni dalej jechać. Jak widać chcą dotrzeć tam gdzie i my. Kolesie wyglądają mi na oszołomów, mają obłęd w oczach i w ogóle wygadają na wariatów. Ich rowerki są niesamowicie obciążone a na domiar złego ciągną za sobą profi przyczepki rowerowe, tyle, że chyba na szosę. A tu szosy nie ma śladu... Zostawiamy ich i kierujemy się na wschód.



Nie ujechawszy daleko dojeżdżamy do drewnianej chatki-szałas, gdzie kirgiski gospodarz wraz z żoną i kilkorgiem dzieci zaprasza nas na poczęstunek. Tradycyjnie zostawiamy buty na wejściu



i podnieceni wchodzimy do środka. To nasz pierwszy kontakt z prawdziwym życiem pasterzy. Malutka izba 4-6 m jest wyłożona kilkoma warstwami skór i dywanów, na ziemi żeliwny piecyk, tylko najpotrzebniejsze rzeczy – wszystko to ma zapewnić byt pięciosobowej rodzinie pasterzy przez około 4 miesiące roku, kiedy przenoszą się tu z dołu na wypas swoich koni owiec i jaków. Siadamy na dywanach przy niziutkim stole, który błyskawicznie zostaje zastawiony lokalnymi wynalazkami. Są tu gęsta jak masło śmietana, pieczone na oleju wytrawne ciasteczka, fantastyczny dżem z ćwiartkami moreli i bardzo żółte masło z mleka jaka. Gospodyni serwuje popularną tutaj zieloną herbatę (czaj) serwowany w płaskich porcelanowych miseczkach.



Oczywiście z kobyliłm mlekiem, na które nie każdy się z nas decyduje. Gaworzmy o ich życiu tutaj na 3500m. Ładnie mówią po rosyjsku, wymieniamy adresy, obiecujemy wysłać wspólne zdjęcia.

Żal nam odjeżdżać, ale co zrobić, przed nami jeszcze spory kawałek – no i druga ekipa czeka. Na odchodne pytamy o dalszą drogę,

- *A ta daroga to kajaka budjet? Charoszaja?*

- *Niet niet, płochaja... bolsze plachaja czem zdzjes* – mówi wskazując na dwa błotnisto-kamieniste ślady kopyt u swych stóp...

- *A dżyp prajdziot?*

- *Nie prajdziot, monga kamni, ransze quad pojechał i wiernulsja...*

- *Psiakość* – myślimy- *jak droga tam ma być skoro quad musiał zawrócić???*

Wg mapy do Barskoon jest około 10 km, pytamy więc ile nam tam zejdzie.

- *Dwa Tri czasa na loszadzi* – informuje Kirgiz

Patrzymy po sobie z niedowierzaniem. Trzy godziny koniem? Jaja sobie chyba robi. Nie wierzymy temu uznając, że Afryka na pewno szybciej się jedzie i decydujemy się napierać. Z żalem rozstajemy się z Kajmanem i Qsma, którzy zawracają do bazy poinformować resztę ekipy, że raczej ta lajtowa wycieczka zajmie nam więcej czasu niż się spodziewaliśmy...

Zaczynamy jechać. Waldek z Kubą, Sambor z Marta i ja z Irmą. Kluczemy wąską ścieżka między kamieniami, po zielonej trawie doliny. Drogę ledwo widać, co chwila zanika więc czujnie rozglądamy się w koło. Zgubić się nie zgubimy, bo w około 4,5 tysięczne góry, więc nie za bardzo jest gdzie zjechać.



Wertep jest niegorszy jednak i co chwile uderzam miską w kamienie albo dobijam zawieszaniem. Posuwamy się 5 -10 km na godzinę i zaczynamy rozumieć, co miał na myśli Kirgiz. Okoliczności przyrody rekompensują jednak straty moralne, popołudniowe słońce w plecy oświetla otwartą soczystą zieloną dolinę, po prawej i lewej zamkniętą zaśnieżonymi szczytami Tien-Szanu. Kwitną jeszcze gdzieś tam alpejskie kwiaty, tu i ówdzie napotykamy stadka koni i jaków naszego Kirgiza. Dno doliny przecina wijąca się wstęga błękitno-zielonego potoku.



Naszą trasę drastycznie zaczynają spowalniać brody i rozlewająca się po dolinie mnogość dopływów i rozlewisk głównej rzeki. Z pozoru wyglądają całkiem łatwo, ale wkrótce okazuje się, że albo są mulaste i błotniste, albo na dnie leżą śliskie spore otoczaki, stanowiące dla Afryki nie lada przeszkodę. Sambor wbił się w taki potok i musieliśmy się nieźle napocić, aby go wypchać. Waldek w tym czasie eksplorował trasy alternatywne – na ogół znajdując jakiś objazd.

Do czasu...

Po 9km natrafiliśmy na kolejne rozlewisko i towarzyszący mu milion rwących potoczków spływających po zielonym stoku zbocza. Na górze topiły się ze trzy lodowce i to one

powodowały, iż zrobiło się grząsko i mokro. Na początek zszadziliśmy (po raz setny) plecaczki i rozjechaliśmy się w różne strony, usiłując znaleźć jakąś alternatywę. Ja atakuję lewą a Sambor z



Waldkiem prawą stroną doliny. Po kilometry jazdy łąką, drogę zastąpił mi dotychczas niewidoczny potoczek, niemożliwy do samotnego sforsowania Afryką.

Ponieważ nie mogłem już zawrócić (jakoś tak się wbiłem między kamienie, że ani do przodu ani do tyłu) zostawiłem motocykl pośród traw i piechotą zacząłem wracać do miejsca, w którym się rozstaliśmy. Było

dostrzegłem całe towarzystwo debatujące pochylone nad motocyklem Waldka. Jeden km na 3500 m n.p.m. pokonuje się w czasie zdecydowanie dłuższym niż miałyby to miejsce na nizinach, więc



mocno zadyszany dotarłem w końcu na miejsce. Okazało się, że Waldkowi zablokowało się tylne koło i motocykl wlecze je za sobą, co uniemożliwia jazdę. Wygląda to, jakby zapiekły się tłoczki w zacisku hamulcowym. Jesteśmy już trochę zdenerwowani, bo nie dość, że awaria to minęły już ze dwie godziny i zrobiła się piąta po południu. Słońce jest już dość nisko, a my ciągle nie mamy drogi. I jeszcze ten zepsuty motocykl. Bliższa

inspekcja ujawnia jednak, że przy malutkiej wywrotce, nóżka hamulca przygięła się i opierając o osłonę silnika zablokowała tarczę hamulcową koła. Trzy minuty później motocykl był już



sprawny. Mnie niestety czekała jeszcze podróż powrotna do motocykla wraz z obstawą, która pomaga mi przeprowić się przez potoczek. Za nim był drugi i trzeci, w końcu wycieńczeni i zniechęceni padliśmy na trawę u stóp topiącego się lodowca na brzegu kolejnej rzeczki. Mamy szczerze dosyć.



Minęła kolejna godzina. Nieśmiało napomykam o później porze i konieczności powrotu. Z drugiej strony jesteśmy gdzieś kilometr od celu i równiutkiej jak stół szutrówki z przełęczy Barskoon do Tamgi... Nie znajduję jednak zrozumienia u Sambora, który również czuje bliskość końca tej mordęgi. Siadam więc na Afri i odkręcam manetę, chcąc na kolejnym pagórku zbadać



możliwość dalszego przejazdu.

Odkrywam, że szybsza jazda na stojąco jest efektywniejsza w jeździe po nierównościach więc przyspieszam. W zielonej łące pojawiają się jednak okrągłe wyrwy w trawie z dużymi w kamieniem na dnie i taka jazda staje się niebezpieczna. Po

przeskoczeniu trzeciej z kolei zaskakującej dziury daję sobie siana. Jestem zmęczony, sześć tysięcy kilometrów od domu, w

dotadku w dziczy Ostatnie czego mi trzeba to rozbity motocykl lub złamana noga.

Powoli wtaczam się na pagórek tylko po to, żeby zobaczyć, iż za nim znajduje się kolejna, tym razem szeroka, rzeka. Na końcu doliny majaczy pionowa skalna skarpa. Zatem ten odcinek jest ślepy...



Przeprawa przez te cholerne potoki kosztowała stracony czas i mokre buty. Zawracam. Zatrzymuje się przed potokiem i znów na nogach wracam kilometr do chłopaków, którzy zdecydowali się na atak rozlewiska prawa stroną doliny. Idąc widzę jak Sambor w strugach wody i błota przepycha Afri na drugą stronę. Dochodzę i chlapiemy się razem. Po drugiej stronie zadyszani i zmęczeni łapiemy

powietrze jak karpie wyciągnięte z wody. Wszyscy już mamy wodę w butach. Nalała się góra.

Jest szósta wieczorem. Słońce już nisko. Tuż nad górami. Zaczyna mi to pachnieć przymusową nocka w górach, bez jedzenia picia i jakiegokolwiek ekwipunku. W mokrych butach jeszcze. Zaliczamy małą sprzeczkę z Samborem, który ciągle obstaje się przy parciu naprzód. Uparciuch. Że nie jestem kłótniwy ustępuję, w duchu obiecując sobie, że to już ostatni raz...



Jako, że Samborowa babcia jest po drugiej stronie brodu biorę ją i zielonym zboczem pod lodowcami zamierzam zbadać możliwość przejazdu. Nie widać jakichkolwiek śladów ludzkiej bytności. Ta droga jest tylko na mapie...

Daję ognia i na stojaka jadę po mokrym bagnie. Koło kreci w miejscu wyrzucając tony błota, mimo to posuwam się naprzód. Kieruje się trochę pod górę sądząc, że tam nie będzie tak mokro i grząsko. Niestety topiący się śnieg robi z podłoża, z pozoru wyglądającego na stabilne, mokrą miękką gąbkę, którą przecinam na pół czarną kreską blocka. Czuję, że jak się zatrzymam, to już tu zostanę wklejony do zimy, daje więc jeszcze bardziej w gaz i zataczam duże koło powrotne.



Znów muszę rozpędem przeskoczyć jakieś wyskakujące znieczeka wyrwy, Jezu, co ta Afryka może!!! Odchylając się do tyłu odciażam przednie zawieszenie, przez co koło z łatwością przeskakuje dziury, w które normalnie wpadłbym przodem kończąc wycieczkę.

Wracam i wycieńczony oświadczam, że to koniec. W ciągu ostatnich 3 godzin nie posunęliśmy się ani o metr. Płatanina ścieżki zapisanej w GPSie obnaża naszą bezsilność. Zapada decyzja o odwrocie. Jestem trochę zły, bo od 2h o tym mówię. Dolina pozostanie niezdojta...



Mamy na szczęście zapis *tracku*, który jak po sznurku, ze wszystkimi objazdami brodów, prowadzi nas wprost pod chatę znajomego już Kirgiza. Jest dwudziesta. Za 10 minut będzie całkiem ciemno. Jest znowu problem. Zjazd po ciemku z hardkorowego Torosu, z dziewczynami na pokładzie wydaje się być skrajną nieodpowiedzialnością, z drugiej jednak strony w bazie czeka ekipa i będzie mocno zmartwiona

naszą nieobecnością. Co będzie, jeśli przyjdzie im do głowy wezwać helikopter albo zaalarmować milicję i wyruszyć na nocne poszukiwania? Kalkuluję, w głowie za i przeciw i z Irmą (przy jej zdecydowanym sprzeciwie wobec perspektywy dalszej jazdy) decydujemy się na nocleg w chacie Kirgiza. Waldek i Kuba czynią podobnie. Sambor jednak oświadcza, że jedzie



na dół. Marta, mimo szczyrych chęci zostania na noc, też decyduje się jechać na dół. Nie mam już siły ich powstrzymywać. W oddali milknie dudnienie Afryki... Nastaje noc...

Kirgizi w jurcie już prawie kładli się spać, ale na naszą prośbę o uratowanie nas, ponownie wstawili na środek izby niski stół i nakryli go do spóźnionej kolacji. Gospodyni napaliła w piecyku (rozpala się drewnem przywożonym z doliny 2000m niżej) a my przemarznięci i mokrzy jesteśmy wdzięczni z okazaną gością. Za chwile dymi już gorący *czaj* i na stół wjeżdża duszona koźlina, chleb, śmietana, masło. Gospodarz zapala też lampkę na baterię, ale odmawiamy, bo mamy jedną czołówkę. Po baterie raczej Kirgiz nie skoczy za róg. Jesteśmy tak zmęczeni, że nawet nie bardzo głodni, szybko się zapychamy, chwile rozmawiamy przestawiając buty przy piecyku z prawej na lewą. W międzyczasie wyjechał stolik a my na ziemi mamy już rozłożone dodatkowe dywany czy materace, dostajemy koce i grube kożuchy-futra do przykrycia. Jakoś nikt nie narzeka na ich zapach, kolor czy

na ewentualnych mieszkańców sierści...

Zасыpiam, albo tak mi się wydaje. Ciągłe słyszę szum silnika motocykla, albo szum dryfów Patroli, co chwila wydaje mi się, że pomoc z dołu nadchodzi. Budzę się i nasłuchuję. Jednak mi się wydaje, to tylko szum płonącego piecyka... Martwię się o Samborskich, żałuję, że ich puściliśmy, trzeba było jechać, choćby razem. Ten nocny zjazd z Tosoru to proszenie się o kłopoty. Jak oni przejadą ten głęboki bród? Przez cały dzień przecież topiły się lodowce... Nagle budzi mnie dźwięk helikoptera. Zrywam się. Nie, to serce mi tak bije o tej wysokości...wreszcie budzi się dzień...



7 sierpnia, Tosor – Tamga (50km)

Budzimy się niewyspani. Emocje i wysokość dają znać o sobie. Szybkie śniadanko, podziękowania za uratowanie życia i zasuwamy na dół po kamieniach. Nerwowo zerkamy w



okoliczne przepaście, szczęśliwie nie zauważając niczego niepokojącego. Są ślady po TKC, ale mieszają się z naszymi wjazdowymi więc nic nie wiadomo. Bród na dole forsujemy bez zbędnego certolenia się, wiemy że już za chwilę przeleżymy cały dzień na plaży, a buty i tak nic a nic nie wyschły przez noc.

Zjazd zajął nam 1,5 godziny. Ciekawe ile jechał Sambor w nocy. Szczęśliwie dojeżdżamy na dół i spotykamy się z drugą ekipą czekającą u wejścia doliny. Uff, Sambor dojechał przed północą po 2,5h jazdy po omacku.

- Martwiliście się o nas? - pytam

-*Tak, dopóki się nie nawaliliśmy...*- stwierdza ktoś, a mi wraca humor.

Jest też Jojna z Agą – bezpiecznie wrócili znad Song Kul, przekazali sprzęt naszym Pik Leninowcom i spotkali naszego Maxa – Amerykańczyka, co się za nami buja już od Krakowa na KTM990. Oddajemy GPSa chłopakom, krótka instrukcja, gdzie jechać i za chwilę jesteśmy na plaży.

Ten dzień zaliczamy sobie do kondycyjnych. Na motor już nie wsiadamy, kąpiemy się, opalamy, przewracamy buty na słońcu.

Sielanka. O drugą grupę też się nie martwimy. Tak schodzi cały dzień z przerwą na obiad w knajpce nad jeziorem w Tamdze.



Docierają do nas też wieści z Chin. Dalej zamknięta jest granica, więc chiński agent proponuje nam wjazd przez Irkeshtam i kontynuowanie podróży autobusem! Nam, bohaterom, autobusem? Po Karakorum Highway, po pustyni Taklamakan? Z naszymi chińskimi prawami jazdy i dowodami rejestracyjnymi! Z chińskimi tablicami, autobusem? Nigdy! Oburzeni tą propozycją planujemy kręcić się po Kirgizji niedaleko wspomnianej granicy i jeśli sytuacja się

ustabilizuje jednak wbić się na sprzętach do Państwa Środka.

Wieczorkiem zjeżdża druga ekipa z Torosu, wypijamy małe co-nieco, wymieniając wrażenia z ostatnich dwóch dni. Planujemy też następny dzień.



8 sierpnia, Tamga, Song Kul (247km)

Raniutko zwijka obozu, śniadanie, kawka i lecimy na trasę, zaplanowaną jeszcze w Krakowie – górską drogą nad jezioro Song Kul – kirgiską perłkę górskich jezior. Asfaltowe wersje trasy są już dogłębnie poznane pora zmierzyć się z czymś naprawę wartym grzechu.



Droga wiedzie przez poznany już dogłębnie Tosor a następnie, na przełęczy odbija w prawo na zachód. Prowadząc dolinami między pasmami górskimi do Narynia i Sary Bulak – małej miejscowości na trasie Rybacze (Bałykczy) – Naryń.



Na mapie wygląda to zachęcająco, ponadto nie ma grama asfaltu, co potwierdził nasz Kirgiz. Mówił też, że się tam normalnie jeździ... Koniem... No nic. Pakujemy kufry na dach Patrola Kajmana, żeby jakoś z klasą pokonać ponownie Tosor, tankujemy 3 kanistry benzyny, bo droga ma ok. 300km i nie wiemy, jaka będzie. O dziwo, nie ma wielu chętnych na tą przejażdżkę – duża część ekipy wybiera trasę asfaltową wokół jeziora. Za bardzo się na tą trasę nastawiałem, żeby ją sobie teraz odpuścić... Znow się rozdzielamy i umawiamy się nad

Song-kulem wieczorem.

Prowadzi Sambor z Martą, potem Waldek z Kubą, ja z Irmą i Kajman z Gosią swoim Patrolem.



Tosor już znaleźliśmy – czas wjazdu na górę skróciliśmy z 4 do 2,5h. Oprócz znanego głębokiego brodu przy żadnej z przeszkód nawet nie zszadaliśmy pasażerów – tak już czuliśmy się pewnie.

Wlecieliśmy na górę, sprawnie lawirując między kamyrdolcami, nawet się nie zająknąwszy. Ćwiczenie czyni mistrza. Za przełęczą kamienista szutrówka prowadzi już tylko w dół zieloną doliną, lekko przymgloną poranną mgiełką. Jest pięknie, chce się krzycheć! Dnem płynie rzeka, ta

sama, która tak dała nam w kość pod przełęczą Barskoon dwa dni wcześniej. Teraz jest to już regularna rzeka, i w miarę pokonywanych kilometrów, staje się coraz większa. Cóż, nie dziwota, mijamy góry, z czapami wiecznego śniegu, spod których wypływają błękitno zielone stróżki i zasilają naszą rzekę. Tu i ówdzie zielone zbocze upstrzone jest pasącymi się krowami i owcami. Znaleźli się nasi kumple na sowieckim Uralu. Doglądają tu teraz swoich stad.



Droga istnie afrykańska, jest drogą wymarzoną. Afrykanerzy o takich śnią cały rok planując kolejną wyprawę. Pewnie przejechałoby się jakaś puszką wiec nie żaden hardcore, ślad na dwa koła, nieduże kamienie zmuszające do uwagi i otwarta po horyzont głębia doliny. Bosko. Co chwile przecinamy jakiś kryształowy potok, bez ekstremy, po prostu fajny bród i foty. I dzicz. Nikogo. Zero zabudowań, czasem pasterze. Nawet nie ma jurt, bo się nie opłaca transportować jej z dołu na te parę miesięcy.







W jednym z takich potoków Waldek daje popis ekwilibrystyki, płynnie połączony z efektownym padem w nurt.

- *Kurwa, Kurwa, Kurwa* – wyrwało się Kubie – 17latkowi, synowi Waldka – aż echo poniosło po górach, a świstaki wskoczyły do swych nor. To pierwsze głośno wypowiedziane słowa, więc wszyscy jesteśmy pod wrażeniem. Tata chyba też, tylko mama pewnie nie będzie zachwycona jak przeczyta. Od tej chwili Kuba został mężczyzną. No prawie. Koniaku marki Kirgistan nie proponowaliśmy.

Chwilkę później dajemy sobie na wstrzymanie, zatrzymujemy się na płaskiej łące, suszymy na słończku chłopaków, gotujemy „zemsty Viet-kongu”, odpoczywamy. Słoneczko praży.



Po około 100 km jazdy zmienia się krajobraz z wysokogórskiego na górski, trawa żółknie spalona słońcem, zaczyna się mocno kurzyć. Widać też duże stada dziko pasących się koni. Jak mustangi!- przypomina się stary kawał - i towarzyszy mi już do końca dnia.



Napotyamy też osadę –starszy Kirgiz hoduje tu orły. Suszy się też ogromna ilość łąjna – w zimie będzie tu jedynym paliwem grzewczym. A zimy mają srogie, nawet do -40stopni Celsjusza.



Potem dolina się rozszerza, pojawiają się zabudowania i całe wioski, droga zasadniczo zmienia swój charakter – jest teraz szeroką, równą, kurzącą się szutrówką. Musimy zachowywać dystans kilkaset metrów, żeby widzieć cokolwiek. Dochodzi do tego prakka, a że nie mam z nią doświadczenia, więc próbuję, różne metody jej pokonywania. Wychodzi, że przy 70 km/h przestaje się wszystko telepać, plomby przestają wypadać i mózg nie obija się w czaszce. Zmęczył mnie jakoś ten odcinek, więc z zadowoleniem powitałem asfalt – pierwszy od 3 dni, który po kilku km doprowadził nas do głównej drogi z Torugartu

A na skrzyżowaniu handelek przydrożny kwitnie w najlepsze, stoi kilka restauracji w blaszanych kontenerach. Zapraszam żonę na *seafood* w postaci smażonej ryby. Wygląda to wszystko strasznie, danie przygotowane jest strasznie, ryba smażona na strasznym oleju na strasznej patelni, knajpa też jest straszna, ale i tak zamawiamy rybkę po dwa razy, taka jest wyśmienita. Popijamy wszystko coca-colą dla kurazu i rozglądamy się za benzyną.



Stacji- wiadomo- nie ma, ale napisy cyrylicą *Benzin* czy *Soljarka* (ropa), wraz ze stojącym PET-em napelnionym jakas zoltawa substancja nakieruja nas na wlasciwe tory. Pachnie ekstremą, Kirgiz z kanciapy przychodzi z wiadrem, takim zwyklym wsiowym, ocynkowanym i pogietym wiadrem i zalewa nam Afryki do pelna.



Tymczasem zza zakrętu wyjeżdża cała reszta ekipy, Toyota, dwa Patrole i dwie Afryki. To nasi! Zabalowali nieźle w Bałykczy w poszukiwaniu internetu... Dalej jedziemy już razem. Ostatnie 60km na d jezioro Songkul pokonujemy po równym szutrze, równie widowiskową drogą jak na początku dnia. Tylko znacznie równiejszą. To tu Pastor, 2 lata wcześniej, zaliczył konkretną figurę, kiedy koleina szutrowa pociągnęła go za koło i nie zdążył już wyprostować.



Ten luźny nasypany na środku szuter potrafi faktycznie być zdradliwy, więc na wszelki wypadek nie mówię nic Irmie i napieram w skupieniu. Koleina łapie mnie za koło jak niegdyś Pastora i chce obalić, ale chyba siłą woli dodaje gazu i jakoś się ratuję... Uff gorąco było. Z tyłu otrzymuję profilaktycznego kuksańca.



Ma się już ku wieczorowi, kiedy docieramy na przełęcz Kalmak Ashuu oddzielającą nas od jeziora. To już coś prawie 3500 m n.p.m., chłodno ale pięknie. Ostatnie promienie słońca połyskują na tafli tego górskiego jeziora. Za moment jest już całkiem ciemno. Z oddali, w ciemności pulsuje LEDowa latarka, nasi migają nam z daleka Petzlem. Jak helikoptery jeden po drugim lądujemy na równiutkiej trawiastej łące, na której rozbite jest jurtowisko. Wódeczka i jakże zasłużone lulu w prawdziwej kirgiskiej jurcie...



9 sierpnia, Song Kul wkoło(160km)



Uknuły naprędce plan porannego objazdu jeziora jeszcze przed śniadaniem ległem w gruzach gdy zamiast *snooze* w komórce nacisnąłem *stop*. A może zrobiłem to specjalnie, bo o 5 było ciemno jak w d... i zimno jak na Szpicbergenie (Nie byłem, ale sadzę, że to zimne miejsce) Dość że wstaliśmy, Marcin, Jojna i ja, parę minut po siódmej, i wystartowaliśmy z obozu. Solo, zero betów, kufrów i wszystkich rzeczy niepozwalających na nie skrepowaną jazdę.

Poranny widok osłonił spokojną płań jeziora i majaczące w oddali przymglone szczyty. Jezioro jest większe niż się spodziewałem, ma chyba z 10 km szerokości. Trasa dookoła to ponad 100km! Całej krasy okolicy nie było jednak widać właśnie z powodu porannego zamglenia. Ale perspektywy były dobre - nad nami było już widać błękitne niebo – dzień zapowiadał się więc uroczo. Jak okiem sięgnąć przed nami płaska, równa jak stół, trawiasta łąka, ale trawa spalona słońcem - żółta i króciuteńka. Można grzać na moto praktycznie w każdą stronę, z pominięciem drogi, bez zagrożenia wpadnięcia na coś, czego nie było by widać z daleka. Coś, czego nie mamy w Polsce, przynajmniej ja nie znam takich płaszczyzn.



Odkręcamy manetki i rozkoszujemy się jazdą. Zawieszenie odetchnęło wreszcie i rozkosznie wybiera wszelkie nierówności. Po lewej błękitne jezioro, po prawej zielone szczyty gór okalające jezioro Song Kul.



Tam gdzie jezioro wcina się zatoczką między schodzące do wody góry, trawa jest zielona, teren podmokły, często stoi jurta, pasą się konie, owce. W miarę jak słońeczko zaczyna przygrzewać – mgła odchodzi a my wjeżdżając nieco wyżej między pagórki nie możemy oprzeć się widokom precudnej urody.





I tak ujechaliśmy ze 40 km, chyba zajęło nam to 2 h, więc zaczęliśmy się zastanawiać, czy nie wracać. Najciekawsze jest to, że jadąc wkoło w zasadzie okrągłego jeziora, z jego przymglonymi brzegami, kompletnie traci się odniesienie. Próby namierzenia obozu, lub chociaż oszacowania czy jesteśmy już na drugiej stronie, spełzły na niczym, zatem pozostaje zawrócić i pojechać tą samą drogą. Jeszcze Marcin się wraca szukać rękawiczek, co mu gdzieś spadły podczas zdjęć, a ja z Jojną, atakujemy piękną zieloną połoniną jeden z pobliskich szczytów. Ma pewnie z tysiąc metrów więcej niż poziom jeziora, ale jedzie się po nim jak po stole, z powodów wspomnianych wcześniej. Jedyńka czy dwójka, skala trudności zero. I pewnie wjechalibyśmy na sam szczyt gdyby nie to, żem dupa i nie lubię jeździć niewiadomo gdzie. Pstrykamy fotki z góry i wracamy już razem do obozu.



Śniadanie się właśnie skończyło, więc zjedliśmy resztki z pozostawionego pobojuwiska, chleb kirgiski, dżemy, masło i śmietana oraz danie główne – coś na kształt grysiku, ze słodkim sokiem owocowym. Miłośnikiem grysiku nie jestem, ale smakowało. Oczywiście sjesta i „nicnierobienie” podoba nam się najbardziej.

Zrobiło się południe, słońce przypieka niemiłosiernie, a my czołgamy się w okolice cienia, próbując ustalić, co się będzie działo dalej. Trochę się ten plan rozsypał przez chińską zawieruchę i kierownik nie ma łatwego zadania. Bo coś trzeba robić oprócz opalania się. Ustalamy, że zostajemy jeszcze jedną noc, zamawiamy, więc u gospodarza całego barana na wieczór – przygotowanego na modłę kirgizką. Nie wiemy, co to znaczy, ale wkrótce dane nam będzie się dowiedzieć...

Choć mieszkaliśmy na jeziorze, jakoś nikt do niego nie podszedł – było z 200 m czegoś, co wyglądało jak bagno, a okazało się kępami trawy na dość stabilnym gruncie, zakończonym żwirkową plażą nad wodami Song kul. Przeskoczyliśmy po kępach i okazało się, że woda na wysokości 3500 m. nadaje się do kąpieli! Woda była temperaturowo znośna, ale dno niestety porażka: mulicie i bagniecie, co gorsza wzbijaliśmy tumany mułu, próbując odejść od brzegu w celu znalezienia głębszej wody. Lepsze niż nic, ale bez rewelacji.



Na razie musimy zmierzyć się ze sceną krwawego mordy, który na naszym baranie się odbywa, 20 metrów od nas. Na Kirgizach zaszlachtowanie barana nie zrobiło takiego wrażenia jak na uwiązany nieopodal osiołku. Ten, zorientowawszy się, co się święci wydał z siebie taką przeraźliwą serię rzeń kwików i innych donośnych dźwięków, że całej rogaciznie nad Song Kul, ścierpła skóra na karku. Co tu kryć, u nas ten widok też nie wywołał entuzjazmu.



Po mordzie, jesteśmy świadkami tradycyjnej gry zespołowej zwanej *ulak*. Polega ona na przeniesieniu martwego barana na pole przeciwnika i oczywiście odbywa się to na koniach. Kirgizi, to z koni raczej nie schodzą, naprawdę potrafią na nich jeździć, a taki koń cieszy się ogromnym szacunkiem swojego właściciela. Zresztą po doświadczenia z Tosorem, w niektórych miejscach faktycznie wydaje się być niezastąpiony. W grze wzięły udział dwie drużyny, ale nie wiem, kto grał z kim, ani też kto wygrał. Dość, że walczący wyglądali imponująco oraz poruszali się na swych koniach jakby do nich przyrośli.



Po grze, należało jeszcze spełnić sponsorskie zobowiązania i porobić jakieś grupowe zdjęcia. Dotychczas nie mieliśmy na to czasu, lub byliśmy w rozsypce. Sambor wyznaczył miejsce, ładne serpentyny na drodze do Narynia, które eksplorował dwa lata wcześniej. Ta trasa ładnie wpisywała się w nasze plany zwiedzania okolicy, gdyż objeżdżała jezioro od północy, czyli w przeciwną stronę niż wystartowaliśmy rano.



Wiodła potwornie kurzącą się drogą ziemną, na dwa ślady samochodu przez łąki otaczające jezioro. Coś jak dawno wyschnięte bagno. Drobny pył wpadał w wszystkie szczeliny, po chwili byliśmy biali a wentylacja w kaskach przestała się otwierać.



Trasa była urozmaicona tu i ówdzie płytkimi brodami potoczków wpadających do jeziora, co pozwalało odpocząć, choć na chwilę od wszechogarniającego kurzu....



Na szczęście droga nie była daleka, nie więcej niż po 30min jazdy dojechaliśmy do rzeki wpadającej do jeziora. Przelecieliśmy po betonowym moście i na szutrowej krzyżówce



pojechaliśmy w lewo drogą do Narynia. Po kilku serpentynach prowadzących ostro w górę oczom naszym ukazała się głęboka dolina-kanion przejechanej właśnie rzeki, przecinającej zieloną wyżynę pofalowanych gór ciągnących się po horyzont. Czegoś takiego w życiu nie widziałem!



Te góry nie były wysokie, znaczy były wysoko względem poziomu morza, ale nie wywyższały się szczególnie ponad okolice. Co kawałek wyżyna ta był przekrojona wstęgą rzeki płynącą dnem dolinek. Teren ten wyglądał na nietknięty ludzką stopą, czysta natura, zero jurt czy wypasu -jak wielki, niedostępny ocean zieloności. Odcięty od świata pionowymi ścianami kanionu z jednej i zamknięty łańcuchem 4-ro tysięczników z drugiej strony. Piękne miejsce.



Tuż za wspomnianym oceanem – otworzyła się dziura przez duże „DZ”. Droga urywała się gwałtownie postrzępionymi żółtymi skałami. W dół biegł zygzak drogi o milionie zakrętów i nawrotów. Na dnie doliny daleko, przy samej rzece już, majaczyła droga prowadząca dalej do Narynia. Nie wiem, jaka była różnica wysokości, ale chyba z 1000 m na 200- 400 m. Wprost rzuciliśmy się na ten szuter, gryząc go i szarpiąc zębami drapieźnych TKC. Szuter świstał a migawki sponsora zapisywały kolejne ujęcia...



Powrót wprost pod zachodzące słońce, wydawał się być i piękny i koszmarny jednocześnie. Żałowałem, że nie mam daszku w kasku, bo słońce było tak oślepiające. Osłaniając oczy dłonią jakoś dojechaliśmy te kilkanaście kilometrów do jurtowiska.

Po przyjeździe, gospodyni zaprasza do uprzednio przygotowanej dla nas jurty. Głodni, zbieramy się naszą 18-sto osobową wycieczką wewnątrz, gdzie zasiadamy na dywanach porościcielanych dookoła wzorzystej ceraty w oczekiwaniu baraniej uczyty.



W sumie nie wiem czego się spodziewaliśmy... Jakoś wyobrażałem sobie, pieczone jagnię, podobne do tego, które co roku w gronie przyjaciół godzinami kręcimy na ogniskiem, przesiąknięte zapachem olchowego drewna znad wijącej się u naszych stóp Pilicy... Oczyma wyobraźni widziałem już pieczone, chrupkie, złoto przypieczone mięsko, przesiąknięte kilkudniową bejcą z jarzyn, cząbrku, czosnku i cebuli. Z lekką nutką winnego octu, i delikatną nutą mięty. Gdzie ja tu, durny, widziałem olchy? Jak

chciałem tydzień bejcować jagnię skoro zamówiłem je raptem 7 godzin temu? No i jakie to jagnię, co ma 4 lata!

A więc mamy, co chcieliśmy. Na stół, o pardon, na ceratkę, wjechały miski dymiącego, gotowanego bez przypraw mięsa, mdłego, tłustego, twardego i włóknistego.

Rozejrzałem się po jurcie, i widząc przerażenie w oczach naszych dziewcząt szybko zaproponowałem po lufie na odwagę, i wyciągnąłem rękę po kość do ogryzienia.

Gospodarz tym czasem zrobił rundkę dokoła jurty i zapakował każdemu na miseczkę jakiś lepszy lub gorszy kawałek mięsa z kością. Jacek jakoś wpadł mu w oko i otrzymał najważniejszą i najcenniejszą część – głowę. Rozumiecie? Ugotowaną, w całości, głowę. Szczerniałą, razem z uszami, oczami i powiekami, wargami, policzkami i, nawet z zębami- baranią głowę. Futro jakoś tylko odpadło, ale i tak wyglądało to koszmarnie. Krótka szczecinka zerkała na nas z wnętrza baraniego ucha... Atmosfera w jurcie wyraźnie się zagęściła... Zerkając na Jacka każdy uważa, że i tak miał



szczęście, więc szybko pałaszuje swój kawałek czekając na rozwój sytuacji... Widząc przerażenie w oczach Jacka, oddaję mu swoją giczkę, a głowa jakoś ląduje z powrotem w misce. Czyli gramy w Czarnego Piotrusia...

Takiego ciśnienia nie wytrzymują już niektórzy uczestnicy i pod pretekstem przewietrzenia się próbują opuścić lokal. Na wejściu natykają się jednak na gospoдинię, która wchodzi z kolejnym specjałem z naszego barana.

W pociętej aluminiowej 10cio litrowej misce niesie *bieszbarmak* – danie, które w dosłownym tłumaczeniu oznacza „pięć palców” – to od jedzenia go rękami. To wprawdzie tradycyjna potrawa kazachska, ale jak widać w Azji Środkowej granice się zacierają i nomadowie kirgisy przywlekli je ze stepów Kazachstanu tutaj i traktują jak swoje.



I całe szczęście, bo Kazachowie biorą głowę konia do tego dania. A właśnie zasadniczą częścią *bieszbarmaku* jest gotowana głowa, (ta sama, co ją dostał Jacek) która jednak wcześniej na patyku jest opalana nad ogniskiem (z braku drzewa ognisko pali się *kizjiakiem* – czyli suszonymi odchodami) a zwęglone części głowy

zeskrobuje się do dania, nadając mu niepowtarzalny aromat spalonych zwłok i wspomnianego kizijaku, zapach którego, sam zasługuje na odrębną opowieść. Wiemy już skąd taki przydymiony

kolor wspomnianej głowy...



Qsma, chyba nieświadomy receptury przygotowania powyższego specjału, poinstruowany ręczną obsługą dania, sięga dłonią do miski i zagarnia makaron z kawałkami mięsa pochodzącego z niewiadomych części baraniego nieszczęśnika. Kilkoro równie nieświadomych idzie w jego śladu próbując kirgiskie spaghetti.

W koło nieprzerwanie chodzi kielonek z polską wódką. Co to miał w przepastnych zakamarkach kufrów motorków lub dzipów zostało przyniesione tutaj jako wspomaganie przełykania i psychy. Przechylamy lufę za lufą, ale i tak histeryczny, wybuchający co chwila śmiech, świadczy o naszym trudnym położeniu.

przyniesione tutaj jako wspomaganie przełykania i psychy. Przechylamy lufę za lufą, ale i tak histeryczny, wybuchający co chwila śmiech, świadczy o naszym trudnym położeniu.



Łeb barani łypie na nas z talerza, ale, jako, że to największy przysmak przygotowywany na specjalne okazje i tylko dla specjalnych gości – trzeba się będzie jednak z nim zmierzyć. Honor grupy ratuje Przemek alias Oberżyświat, którego ksywa świadczy o tym, że niejedno w życiu wypił, i różne rzeczy jadł. Odkrawa więc na początek, barani policzek i przeżuwa go w ciszy, ku ogólnemu przerażeniu

gawiedzi. Następnie scyzorykiem otwiera ugotowaną, zaciśniętą powiekę i wydłubuje zastygłe w przerożeniu oko. Nie wierzymy, że je zje, jednak wkłada je do ust i zaciska szczeki... Słyszymy charakterystyczne chrupnięcie i wyobrażamy sobie rozlewający się po ustach płyn gałki ocznej... Brrrrrr!



zbyttno w ciele szklстым, przelknął całość i zapil kielonem czyściochy. Przez jurte przeszło westchnienie ulgi. Nie było już więcej oczu.



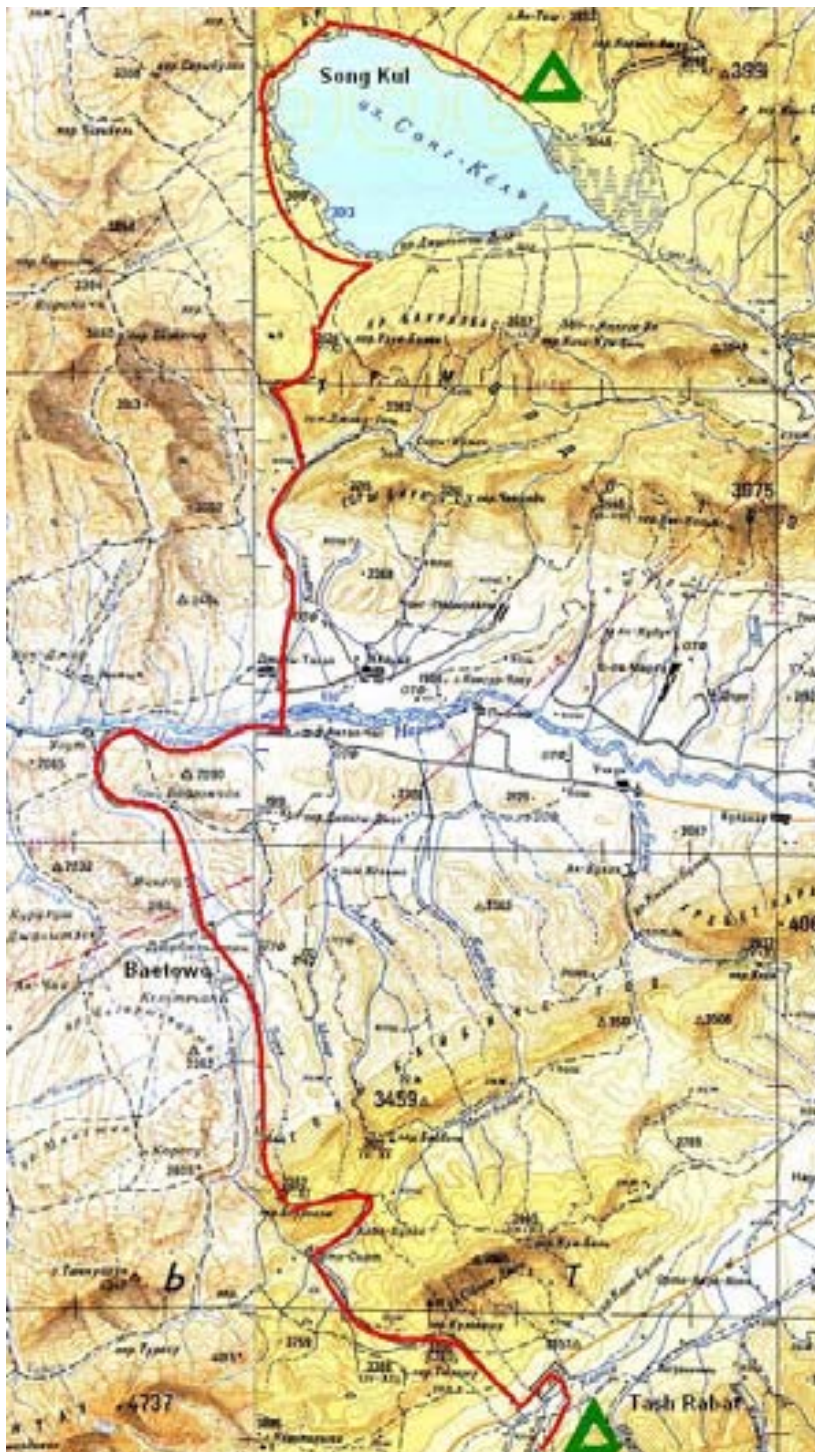
dalszej części uczyty, w której tym razem to ja miałem zagrać pierwsze skrzypce. Biorę wiec głowę w dłoń i zanurzam palec w dziurę w czaszce. Mózg w konsystencji ciepłej szarlotki daje się zakręcić palcem i wyciągnąć na światło dzienne. Smakuje... jak to mózg. Kto jadł ten wie. Kłamię, że dobre i przekazuję głowę dalej. Nieliczni próbują, również kłamią i zachęcają do spróbowania.

No i tak się skończył kolejny długi dzień pod słońcem Kirgizji.



10 sierpnia, Song kul – Tash Rabat (225 km)

Rano zwijamy obóz, śniadanko jeszcze raz serwowane przez gospodarzy i ruszamy w dalszą trasę. Przed nami objazd jeziora w koło, trasą, którego poprzedniego dnia wybraliśmy się na poranny offroad, oraz odszukanie skrzyżowania drogi gdzieś w kierunku na Beatowo i dalej na granicę chińską na przełęczy Torugart. Ciągłe krążymy w jej pobliżu, tak, aby na dany sygnał



najechać ziemię chińską całym naszym regimentem w sile, hmmm, niech policzę..., około siedmiuset koni... Mechanicznych... Droga tą jeszcze nikt z nas nie jechał, ani na tej, ani na poprzedniej wyprawie, więc zupełnie nie wiemy, czego się spodziewać. Liczymy na jakąś stację przed Baetowem, inaczej będzie cienko... O żadnej niestety nie wiemy.

Ruszamy, zatem w szyku bojowym z przykazaniem okrążenia jeziora i spotkani się na rzeczonym skrzyżowaniu. Przelatujemy znany kawałek, słuchając ochów i achów zachwyconych pasażerek. Fakt jazda z pełnym obciążeniem to inna bajka, ale i tak jest fajnie. Mijamy znany nam teren i wjeżdżamy nieznanie! Peleton rozciąga się na przestrzeni wielu kilometrów, teren całkowicie się wygładza, w koło tylko pofalowane pagórki pokryte krótką trawą, gdzieś w oddali widać jezioro, więc przynajmniej wiemy, że jedziemy w dobrym kierunku. Wkoło ogromna przestrzeń, gdzieś widać pojedyncze pasterskie jurty i czarne kropki inwentarza. Żółto-zielone pagórki uniemożliwiają obserwację i utrudniają nawigację, wkoło różne ścieżki prowadzące do

jurt albo Bóg raczy wiedzieć gdzie. Chwila nieuwagi i zostaliśmy sami. Jeszcze przed chwilą widziałem trójkę motocyklistów po swojej prawej, a teraz zniknęli. Każdy z nas grzeje na azymut, w grubsza określonym kierunku, w znacznym oddaleniu od jeziora, gdyż obawiamy się podjechania zbyt blisko ze względu na możliwy teren podmokły. Zmieniam kurs i rozległą łąką atakuje pobliski wzgórek, z którego mam nadzieję wysledzić naszą ekipę. Afri jak po stole osiąga szczyt i ... Nikogo nie ma... Wokół bezkres wzniesień aż po horyzont. Jeszcze tego brakowało żebyśmy się tu pogubili.



W tyle, na horyzoncie dostrzeżliśmy ekipę samochodową, która, jak małe żuczki, ciągnąc za sobą chmurę kurzu, przecinała tą wielką łąkę. Ustawiamy się światłami do nich i dajemy znaki długimi. Z chwilę odpowiadają dachowymi halogenami potwierdzając zmianę azymutu. Za chwilę już są z nami, widać ulgę na ich twarzach, jakoś tak nieswoja się czują bez map, GPSów, z ogólnym tylko zarysem planu dnia. Niby zadanie proste objechać jezioro, ale niepokój w sercu narasta. A może to tylko ja taka dupa jestem, że nie lubię jeździć w nieznane.



Tak czy inaczej czuję, że jesteśmy w sercu dziczy, i niepokój ściska mnie za żołądek. Wtem zza kolejnego pagórka wyskakuje Jojna z Agą, też gdzieś się pogubili w tym pustkowiu. Wspólnie obieramy kierunek, który wydaje nam się dobry, w pewnym oddaleniu od jeziora, ale ciągle jednak wkoło niego. My pełniemy funkcję forpoczty, wjeżdżając szybko na wzgórza i wynajdując przejazdy przez wyschnięte rzeki, a auta, majestatycznie je przekraczają.

Podczas jednego z postojów widzę konia a na nim dwóch Kirgizów jadących w naszym kierunku. Odpalam Afrykę i jadę w ich kierunku, aby zapytać o drogę. W miarę jak zbliżam się koń wyraźnie się płoszy, by w końcu przejść w galop i zrzucić swoich jeźdźców. 2:0 dla Afryki. I to od jednego strzała... W tłumik. Ubaw mamy nie z tej ziemi, wspominam, że przecież Kirgizi to najlepsi jeźdźcy na ziemi, i na Afri gonimy spłoszonego konia po „stepie”. Nie wiem jak wygląda step, ale to miejsce na ziemi właśnie tak mi się kojarzy. W końcu jakoś dotarliśmy do reszty ekipy na wspomnianym szutrowym skrzyżowaniu.

Po chwili odpoczynku ruszamy drogą, by za chwilę dojechać na skraj ogromnej przepaści!



Jeziro Song kul jest przecież położone wysoko w górach. Wjechaliśmy tutaj pokonując przełęcz 3500m od wschodu, na południowy wschód, droga pięknymi serpentynami przez masyw Moldo-Too zjeżdża do Narynia, a tutaj na południu, równie przepaścicie, zygzakiem wyróżnionym w zboczu, opuszczała się gwałtownie z przełęczy Uzun-Bulak 1100 metrów w dół. U naszych stóp, w dole, majaczy kreska drogi biegnąca dnem doliny.

Irma nie pozwala parkować przy skraju przepaści, z jej lekiem wysokości takie spektakularne dziury muszą być traumatycznym przeżyciem. Pewnie jeszcze ma w pamięci ostatnią przełęcz w indyjskich Himalajach, gdzie o mało nie zepchnęła nas z drogi ciężarowa

TATA, zostawiając ślad opony na kufrze naszej Afryki. Irma oswaja się więc z myślą o konieczności zjechać tą drogą a my idziemy popstrykać fotki.



Rura na dół, kilkanaście zakrętów szutrówką, z 20 minut jazdy bez większych przeszkód sprowadza nas na samo dno doliny. Po godzinie jazdy przekraczamy rzekę Naryń i za chwilę jesteśmy w miejscowości Ak-Tal, gdzie dojeżdżamy do pierwszego od dawna asfaltu. Od razu zrobiło się bardzo gorąco, ubieramy się na lekko,

bo jest już ze 30 stopni.

Mamy wszyscy już ponad 300km od ostatniego tankowania więc podejrzewamy, że jedziemy na

oparach albo siłą woli. Na szczęście Allah nas wysłuchuje i ukazuje nam się stacja. 80 znaczy, że mało oktanów, ale lejemy to z zardzewiałego dystrybutora. Wszystkim wlewa się do baku więcej niż mamy pojemności...



Po kilkudziesięciu km docieramy do Baetowa, reliktu poprzedniej epoki komunizmu. Senne, zapyziale, miasteczko, środkiem betonowy, dwupasmowy *highway* z centralnie posadowionym słupem z latarniami w pięciu kierunkach i górującym nad tym sierpem i młotem. Wszystko szare,

zakurzone, zniszczone. Całość beznadziejnego obrazu dopełnia niska zabudowa rodem z lat 70 i 80 i siedzący beczynnymi ludźmi. Przygnębiające miejsce. Ale jest sklep, jest i piwo! Allah Allachem, pijani wszyscy wkoło chodzą.



Zjadamy nawet niezły obiad w „restauracji” rodem z Alternatywy 4, uzupełniamy zapasy wody, browary lądują w lodówkach dzipów i jesteśmy gotowi do kontynuowania podróży.

Rozdzielamy się na dwie ekipy. Jedziemy dwiema trasami – górską i niziną. Motocykle oczywiście pomykają górską. Na cholere żeśmy tu w końcu przyjechali, *no bo co, kurcze blade* - jak mawia Mikołajek.

Sobie tak jedziemy w kierunku na przełęcz Torugart, dnem doliny, którą płynie od czasu do czasu wielka okresowa rzeka i oglądamy urzekające widoczki w prawo i w lewo.



-JEEEEEEEEEEEB!

Coś za długo bez awarii... Motor zrobił BUUUUUUUUU i zgasł. No i świetnie!. Pewnie znów ta pieprzona pompa paliwowa Mikuni. Cale 2000km wytrzymała. Z mną nikogo już nie ma, ciekawe, kiedy się skapną, że trzeba mnie holować... W dodatku w rezerwie tylko spalona już w Kazachstanie pompa elektryczna... Dobra, nie ma co dywagować, przekręcę na rezerwę, chwilę kręcę rozrusznikiem i zapala. Jadę. Szybki teścik jeszcze przeprowadzam, przekręcając z rezerwy i po wypaleniu benzyny z komór pływakowych silnik przerywa. A więc jedziemy na zasilaniu grawitacyjnym. Dobrze, że w baku pełno, nie wiadomo na ile jednak starczy. Doganiam ekipę i informuje o awarii. Nie jadę już ostatni.

A wokoło tak pięknie, że dech zapiera, widok wstecz na dolinę, z której dopiero wyjechaliśmy warta wszystkie pieniądze.



Po drugiej stronie przełęczy jest równie urzekająco, droga z czerwonej ziemi wycięta jest w zielonej górze, i tak kreci się przez wiele fantastycznych kilometrów.



Na horyzoncie widać wielką samotnie stojącą górę, Marcin twierdzi, że ta góra zbudowana jest z ziemi, i jako alpinista, że się na tym zna. Szanujemy go z to, ale wciąż uważamy że góra była ze skały.



Pogoda jednak się psuje, widać ciemne chmury nad górami Tien Shanu, zaczyna nawet mżyć. Jesteśmy zaskoczeni, w Kirgizji raczej mało pada... Zatrzymujemy się i ubieramy. Jak tylko skończyliśmy ubieranie, przestało padać i jeszcze załapaliśmy się na cudne widoki.



Tak dojechaliśmy do głównej drogi Naryń – Torugart. Droga międzynarodowa, główny szlak transportowy towarów z Chin do Kirgizji i dalej – jak przystało – droga szutrowa. Tuż obok skrzyżowania znajduje zjazd na bocznicy niegdysiejszego Jedwabnego Szlaku. Dla średniowiecznych karawan z Europy stanowiło miejsce spoczynku strudzonych wędrowców, w tym najsłynniejszego włoskiego kupca i podróżnika - Marco Polo. To karawanseraj Tash Rabat.

Ulokowany 15 km w głębi doliny, wysoko w górach, ponad 3500 metrów n.p.m. powitał nas zimnicą, wiatrem, chmurami przewalającymi się nad głową. Nad nami cztero i pół tysięczne szczyty jednego z pasm Tien Shanu.

Zaliczamy zwiedzanie karawan-seraju wewnątrz i na zewnątrz i stawiamy namiot pod jutrami. Uważam że w namiocie będzie cieplej nieco niż w jurcie, inni uważają inaczej, więc zakładamy bazę jurtowo – namiotową.

Jadę też z Prezesem, Oberżyswiatem i Samborem do *bani* (czyli sauny) w której napalił nam kirgiski gospodarz. Wrażenia bezcenne, dość syfiaście było w tym lokalu dwa na trzy metry. Ciągłe numerem jeden pozostanie opalana drewnem sauna nad jeziorem w Finlandii gdzie po wyjściu z sauny wchodziło się po oblodzonej drabinie wprost do przerębła w skutym lodem jeziorze.

Ciekawostką był zaś właściciel *bani* – nauczyciel matematyki, który oprócz rosyjskiego władał również językiem angielskim. Nauczył się go sam, z książki do angielskiego. Nie miał do niej taśmy ani tym bardziej płyty, prawdopodobnie nie słyszał tego języka nigdy żywcem, od nikogo. Z trudem łapaliśmy pojedyncze słowa, w końcu daliśmy za wygraną i wróciliśmy do rosyjskiego. Samozaparcie godnie podziwu! Po francusku też podobno umiał, ale nie odważyliśmy się sprawdzać.

Jeszcze tylko ostatkiem sił decyduję się na rozbiórkę pompy Mikuni i potwierdzenie swojej po-himalajskiej teorii „Dlaczego Pompa Mikuni jest do dupy” Wiernie mi w tym towarzyszy grono pomagierów. Teoria szybko się potwierdza, membrana zalana benzyną pociągniętą wprost z podciśnienia, blokuje ruch membrany, stąd brak zasilania. Uwalniam więc benzynę, skręcam całość.



Na dobranoc obaliliśmy jeszcze sfermentowane kobyle mleko zwane tu kumys, oraz, dla detoxu - pierśióweczke koniaku Kirgistan i wskoczyliśmy do zimnego namiotu, zasypiając wśród świstów wiatru i dudnienia deszczu o poły namiotu..

Nie przyśniło nam się niestety to, co by ochroniło nas przed tragicznymi w skutkach wydarzeniami dnia następnego...



11 sierpnia, Tash Rabat- Kazarman (360 km)

Poranek przywitał nas mgłą i przenikliwym zimnem. Podczas gdy wrzątek na kawę dochodził na kuchence, Irma likwidowała wnętrze namiotu. Taki podział nam się wyklął, że ja brałem się za kuchnię a Irma za mieszkanie. Zatem gdy okolicę przeszedł aromat świeżo parzonej kawy therm-a-resty i śpiwory były już zwinięte, i poszczególne elementy ekwipunku wylatywały już z namiotu. Kawkę wypijaliśmy głównie na stojaka, zagryzając kawałkiem oderwanego kirgiskiego chleba-lepioszki - i wyjadając widelcem różne fajne wynalazki z puszek wydobytych z dna kufra.



Mała dygresja dotycząca pakowania. Wewnętrzna torba do kufra alu spełnia swoje zadanie, jeśli jest wykonana z wytrzymałego materiału (cordura) a kufer nie jest zawinięty do wewnątrz, uniemożliwiając wyjęcie torby bez jej uprzedniego wypakowania. Takie zawinięcie powoduje znaczne usztywnienie konstrukcji kufra oraz – w razie dzwona i klepania kamieniem nie traci tak bardzo na szczelności jak np. dość ściśle spasowana Zega. Coś za coś. Dodatkową zaletą torby będzie, jeśli będzie niższa niż wysokość kufra. Na samo dno kufra można wtedy dać te mniej potrzebne szpeja, do których dostęp będzie dopiero po wyjęciu torby. Tak więc na dno poszło kilka paczek chusteczek pampers, kilka kwadratowych konserw, miernik elektryczny itp. Wszystko jak puzzle ładnie się poukładało, wypełniając szczelnie dno. A to dopiero poszła podpinka od kurtki (nigdy nie użyta) i dopiero na wierzch torba kuchenna. Czyli pozostałe żarcie, sztućce, kubki menażki i kuchnia. Torba po zamknięciu wystawała nieznacznie ponad kufer i pozwalała na szczelne dopakowanie jakimś niepotrzebnym elementem ekwipunku denka kufra. Całość w środku nie

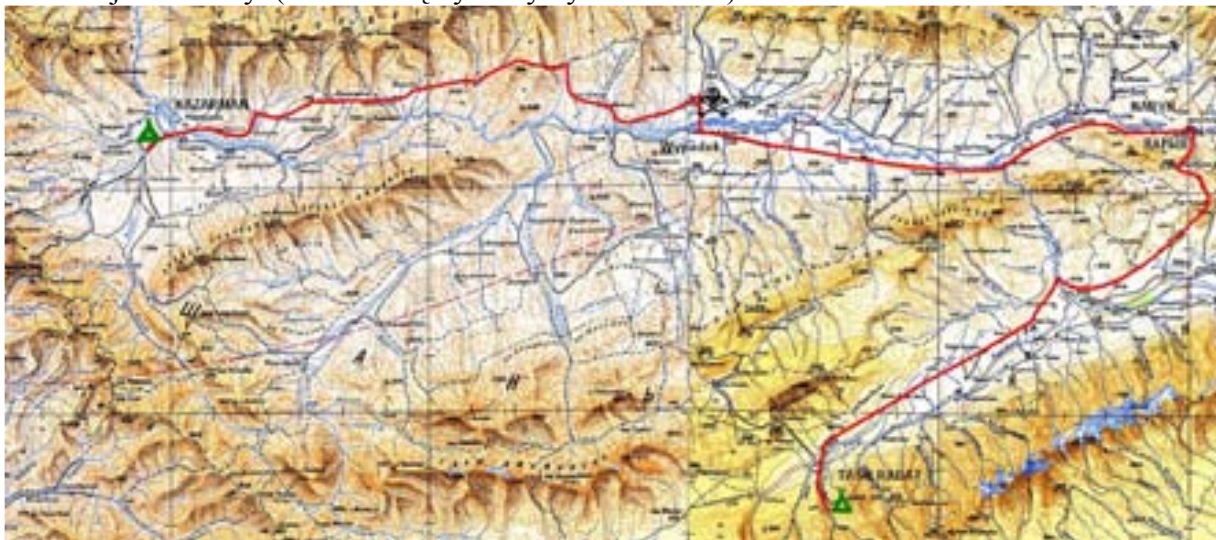
latała luzem, więc i nie brudziła się o aluminiowe ścianki.

W drugim kufrze zasada była identyczna. Na samo dno poszła rozłożona na dnie materiałowa rolka z narzędziami, w tym łyżki i pompka. A na wierzch szła znacznie lżejsza torba z kosmetyczką, adidasami, najmniejszymi możliwymi klapkami i różnymi drobnymi szpejami w jednej zgrabnej cordurowej kosmetyczce. Luźne miejsce ponownie wypełniało się jakimiś wierzchnimi ciuchami (w upały) a w zimne np. butelka mineralnej lub coli. Ten kufer, jako nieco lżejszy, był zamontowany po stronie ciężkiego tłumika. Kufry są oczywiście ze ściąganyymi klapkami, bez zawiasów, co umożliwiało dostęp do ich zawartości bez kłopotliwego demontażu poprzecznie leżącego worka - torby kajakowego Mieściła ona wyłącznie lekkie ciuchy i bieliznę osobistą. Na deklach kufrów z jednej strony znajdował się namiot, z drugiej strony większa mata samopompująca *Therm-a-rest*.

W rowerowych sakwach Ortlieb Front Roller zamocowanych na gmołach, znajdowały się dwa śpiwory i mniejszy *Therm-a-rest* oraz dwa piwa lub para grubszych rękawiczek. W Tankbaku miejsce znalazły telefony, aparat fotograficzny, jakieś słodycze do przegryzienia, ew. rękawiczki, arafatka lub kominiarka. Obrazu wielbłąda dopełniała mini torebka na kierownicę mieszcząca mały zestaw podręcznych kluczy i imbusów, manometr, mini psikaczka do szybki kasku i ładowarkę do komórek.

Ale do rzeczy. Nie było szans na wysuszenie namiotu, więc spakowaliśmy mokry do worka i ubrani we wszystko co mamy, opuściliśmy niegościnne Tash Rabat. Nie ujechawszy 15 km, od razu widać, że brzydka pogoda dotyczy tylko wysokości 3200, a poniżej jest ciepło i słoneczne. Znowu dzielimy się na dwie grupy, jedna jedzie w drogę powrotną do Baetowa a druga grupa, potrzebująca kasę z banku i dostęp do neta, przez miasto Naryń, Kazarman w kierunku na Jalalabad. Prawie 400 km, więc ambitnie jak na Kirgizję.

W dodatku chcemy sprawdzić drogę z Narynia do AK-Tal (gdzie jechaliśmy znad Song kul) a nic o niej nie wiemy. (Okazała się być zwykłym asfaltem.)



Wracając do międzynarodowej szutrówki Kirgizja – Chiny, zapięliśmy czwórkę i grzejemy w kierunku Narynia. Za chwile jest już asfalt. Dość kiepski, bo duże wyrwy i trzeba uważać żeby nie wpaść, ale ogólnie tragedii totalnej nie ma. Po około 100 km najwyraźniej zbliżamy się do Narynia – jednego z większych miast Kirgizi.

Co charakterystyczne dla osad kirgiskich, a raczej muzułmańskich, groby i cmentarze lokowane są na obrzeżach miasta najczęściej na niewielkim wzgórzu. Grobowce, często przybierające

kształt domów, zbudowane z tego, co jest pod ręką, czyli z wypalanej na słońcu gliny, stanowią ciekawy akcent architektoniczny w zróżnicowanym i tak krajobrazie. Nie da się tu nie zauważyć podobieństwa z sąsiednim Kazachstanem.



W naszej skali Naryń to coś mniejszego od Zakopanego. Dwie ulice na krzyż, bazar, parę banków, sklepów, trolejbusy i dostęp do internetu w jakiejś pokomunistycznym wiejskim domu kultury. Zero napisów, trzeba wiedzieć...

Nadszarpnięte dolarowe budżety zostały uzupełnione w jednym z banków, obiad zjedliśmy w jakiejś wypasionej restauracji ze złotymi krzesłami i obrusami, na sekundę wpadłem na Internet dać znać światu, że żyjemy. Potem tankowanie i pomknęliśmy wzdłuż rzeki na zachód.

Jak wspomniałem droga z Narynia do AK-Tal to asfalt, w bardzo dobrym stanie, zatem dość szybko się z nim uporaliliśmy, nie licząc przerwy na rozebranie się z gorącymi motocyklowych



ciuchów. Tutaj daje się już we znaki klimat kontynentalny suchy. Sprawę pogarsza fakt, że jedziemy dnem doliny od wschodu i zachodu zamkniętej pasmami górskimi Tien-Shanu, i gdyby nie rzeka, z której pobierana jest woda kanałami irygacyjnymi, byłaby to z pewnością zapomniana pustynia. A tak po prawej i po lewej stronie drogi widać pola i poletka z różnymi uprawami.

Po dojechaniu do AK-Tal skręcamy z asfaltu na szuter i przekraczamy Naryń. Pierwszy jedzie Sambor za nim ja i potem reszta motocykli. Droga prowadzi lekko pod górę a przed nami wołga ciągnie niewiarygodny warkocz kurzu. Do wyprzedzania zabiera się Sambor...

JEEEEEEEEEB!!!!

Widzę światła stopu hamującego samochodu, i tumany białego pyłu, z którego raz po raz widać ręce, nogi, kręcący się wokół własnej osi motocykl i odpadające elementy owiewek...

- *Ja pier..., ale wypieprzyli...*- powiedziałem do siebie. To już po niespełna ośmiu dniach wyprawa ma się zakończyć? Z wrażenia aż zdjąłem rękę z gazu i zwoleń tocząc się po wyjątkowo głębokim i luźnym tutaj szutrze. Wyprzedza mnie na pełnym gazie Jojna, co otrzeźwia również i mnie i podjeżdżamy razem na miejsce katastrofy.

Chmura kurzu zaczyna opadać i widzimy, że Sambor i Martą podnoszą się z drogi, w szoku, zakurzeni...

Dobra jest, żyją! Kątem oka widząc jak oplakany stan prezentuje sobą Babcia – Samborowa Afryka. Rzucamy się na pomoc poszkodowanym.



Na szczęście Sambor komunikuje brak obrażeń u siebie. Gorzej z Martą, trzyma się za dłoń, palce po natychmiastowym zdjęciu rękawiczki puchną w oczach. Dalej akcja jest już błyskawiczna. Nie pamiętam kto i co, ale w po chwili znajdujemy się już obok drogi w cieniu drzew, Marta, po dwóch ketonalach, leży sobie na kurtce, z palcami usztywnionymi śrubokrętem ze standardowego zestawu narzędziowego Afryki. Technologia *Rejli*, chciałoby się rzec, lecz nie jest nam do śmiechu

Marta ma złamane palce w prawej ręce a my jesteśmy 100km od Narynia i tyleż samo od Kazarmanu. Obydwa są raczej zapyziałymi dziurami. Tyle, że Kazarman jest w kierunku Dżalalabadu i Osh- trochę większych miast gdzie można spodziewać się pomocy.



Motocykl z kolei ma połamane plastki, szybę, zmasakrowany kufer, poobrywane kable zwisają smętnie spod owiewki. Więcej strat nie widać na razie.

Samochodami pojechały inną drogą, nie ma z nimi kontaktu, za nami jedzie tylko Qśma, o ile nie zmienił planów i nie pogonił za chłopakami.

Nasz wieczorny biwak z dżipami w Jalalabadzie, raczej będzie niemożliwe.

Na podstawie powyższych punktów powstaje plan dalszej akcji.

1. Jedziemy dalej.

2. Afrykę reanimujemy na miejscu

3. Na szczęście u nas jest jeszcze zasięg GSM, do Qśmy dzwonię i za drugim razem odbiera.

- *Co tam* – pyta.

- Słuchaj, mamy tu takiego małego dzwona, daleko jesteś za nami? – zagajam.

- Około 60 km za Naryniem, Stało się coś? – słyhać ze słuchawki.

- *Nieeee* - kłamię - *ale Martę trzeba by wziąć do auta. To jedź spokojnie, czekamy na Ciebie* - kończę swój wywód, mając na dzieję nie będzie teraz gnał na sygnale.

4. Udaje mi się wysłać SMSa do reszty ekipy, że mamy „*nieprzewidziane opóźnienie*” i żeby na nas nie czekali w Kazarmanie, tylko szukali sami noclegu.

No to pora na remont generalny babci. Brygada TT, czyli Taśma –Trytka w osobie Jojny i Marcina, przy użyciu srebrnej taśmy zbrojonej oraz kilku długich plastikowych „Legrandów” powoduje, że z opłakanego złomu, jakim była Babcia, wyłoniła się z powrotem królowa. Trochę



po przejściach, ale i tak dumna.

Zdecydowanie gorzej jest z kufrem. Ten jest mocno odkształcony, zerwane nity uchwytów do stelaża, zdeformowane ściany. Kłapa nie ma opcji, żeby się zamknęła. Pancerny stelaż-wydumka a’la Pastor, bez śladu uszkodzenia, leciutko minimalnie odgięte jedno ramię. Widać rękę mistrza. Ręki Marty nie widać, bo spuchła.



Brygada KK- czyli Kufer-Kamień, w osobie mojej i Waldka zabiera się za kufer. Kilka otoczków, precyzyjna robota blacharska oraz doświadczenie w prostowaniu moich ZEG rozwalonych przy glebie w Himalajach i za 15 minut kufer ponownie przykręcony i spakowany wisi na motocyklu. Ścięte nity mocowań i lekko przestawiony stelaż powodują, że kufer już nie rozstanie się z taśmą transportową trzymającą wszystko do kupy. Grunt, że jechać się da.

Ani się oglądamy a tu ze skarpy nad nami woła do nas Qśma. Nie uwierzył, i grzał chyba na złamanie karku, bo w 15 minut nie da się przejechać Patrolem 40 km...



Wszystko gotowe, pora jechać. Martę wsadzamy do Patrola, Sambor grzeje do przodu szukać lekarza w Kazarmanie, a reszta normalnym tempem podąża za nim.

Sambor – w ramach przełamania stresu pourazowego – zostawił za sobą tuman pyłu i zniknął za zakrętem. Teraz w spokoju musi poświęcić swobodne pokonywanie zdradzieckich szutrowych kolein. To właśnie jedna taka bura suka go obaliła, najpierw powoli składając cały motor na bok, a potem, w reakcji na gwałtowne skręcanie kierownicą napierała całą siłą na bok opony i obaliła dzielnego jeźdźcę.

Żaden szuterek już nie był taki sam. Jechaliśmy jak ostatnie pokraki, wykonując w koleinach ewolucje, które tylko pogarszały sprawę. Baliśmy się jechać szybciej, co

ustabilizowałyby motocykl, w efekcie jechaliśmy wolniej, i co rusz, przednie koło łapało jakiś uślizg na bok, i było jeszcze straszniej. Próg odporności Irmy na moje szutrowe wygibasy wyraźnie się obniżył, nie miała ochoty na spotkanie z matką ziemią mimo kompletu ochraniaczy, które mamy na sobie. Obiecujemy sobie, że nawet w chwilach największej słabości nie ruszamy się na motocyklu bez odpowiedniego stroju. Było to chyba najgorsze 140 km przejechane po jednym z najpiękniejszych terenów, jakimi w życiu jechałem.

Zwłaszcza przełęcz Kara- Koo, z widokiem na dolinę Narynia, w popołudniowym świetle, nie pozwoliła nam przejechać bez wyciągnięcia aparatów.





Za przełęczą Kirgiski pasterz informuje nas, że do Kazarmanu jeszcze z 2h jazdy, choć odległości w kilometrach nie potrafi określić. Jakoś nie chcemy w to uwierzyć, bo ta droga miała być na skrót, ale ziarenko niepewności zostało zasiane. I niestety sprawdziło się w całej rozciągłości. Kolejne bite dwie godziny mordegi i nieskończonej ilości zakrętów, zjazdów i podjazdów między górskimi przełęczami uświadamiają nas, że skrót był o 40 km dłuższy od normalnej drogi doliną.



Gdyby nie dzisiejszy wypadek, mogła to być jedna z ładniejszych dróg, z jakimi dane nam był się zmierzyć w Kirgizji. A tak w pamięci pozostanie jako istna mordęga. Mam nadzieję, że ktoś tam jeszcze pojedzie i doceni ją jakimś miłym opisem – gdyż jest tego warta



W końcu, późnym popołudniem zjechaliśmy z gór i ponownie przekraczając rzekę Naryń, wjechaliśmy na przedmieścia Kazarmanu. Przy Naryniu to dopiero jest dziura. Jedna główna droga i cała cywilizacja wzdłuż niej, ot kilka sklepów stacja benzynowa, szkoła. Nic! Zatrzymaliśmy się na poboczu i postanowiliśmy poczekać na pozostałych uczestników. Jojna z Anieszką już byli, Waldek z Kubą jechali tuż za granicą naszego kurzu, ale z kolei zgubili gdzieś jadącego za nimi Marcina z Kasią. Trochę byłem zły, za nie trzymanie szyku i gnanie na złamanie karku bez oglądania się za siebie, zwłaszcza, że zauważyliśmy kiedy Marcin „się zgubił”. To było długie pół godziny, i tylko dlatego nie zaczęliśmy się wracać, bo wiedzieliśmy, że Qśma z pewnością zamyka pochód swoją patrolową karetką. I dlatego jak zobaczyliśmy ich auto na horyzoncie, miny nam zrzedły. Ostatnie kilkaset metrów zanim do nas dojechali, poświeciliśmy na snucie czarnych scenariuszy, co też takiego się stało z ostatnim motocyklem w szyku?

- *To nie jest jeszcze koniec dnia* – oznajmił Qśma grobowym głosem – a nam kolek stanął w gardle.

- *Złapali gumę 8 km stąd* – oświadczył żartowniś – a w oddali echo poniosło łomot kamienia spadającego nam z serca.



Na szybko ustaliliśmy, że Qśma jedzie znaleźć Sambora, a reszta szuka miejsca na biwak nie dalej niż 20 kilometrów za Kazarmanem. Ja wracam do Marcina z łyżkami i szpejami do opon. Równiutko po 8 km, stoi przy drodze jego Afryka, trochę już rozgrzebana.

Tutaj mała uwaga na przyszłość - śrubokręt z zestawu standardowego niezbyt nadaje się do odkręcania plastikowych osłonek lag. Wypada mieć większy. Do zdjęcia przedniego

koła wystarczy odkręcić tylko dół plastikowej osłonki i tylko z prawej strony motocykla.

Podczas gdy instruję Marcina jak dokonać wymiany dętki, dziewczyny robią kawę próbując przy tym wzniecić pożar naszym MSR-em (odpalanie jest bardzo podobne do ruskiego Szmiela) i spalić otaczające wkoło chaszczce. Dymu nie starcza jednak na komary, które na odchodne jeszcze nas popróbowaly. Jadowne placki z tego wieczora nosiliśmy jeszcze po powrocie do Polski. I było by już prawie cacy, gdyby nie Afryka, która bez przedniego koła wyważona była za pomocą bagażu i centralnej podstawki. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę wiatru od rufy, który jednym małym szkwałem uziemił Marcinową królową.

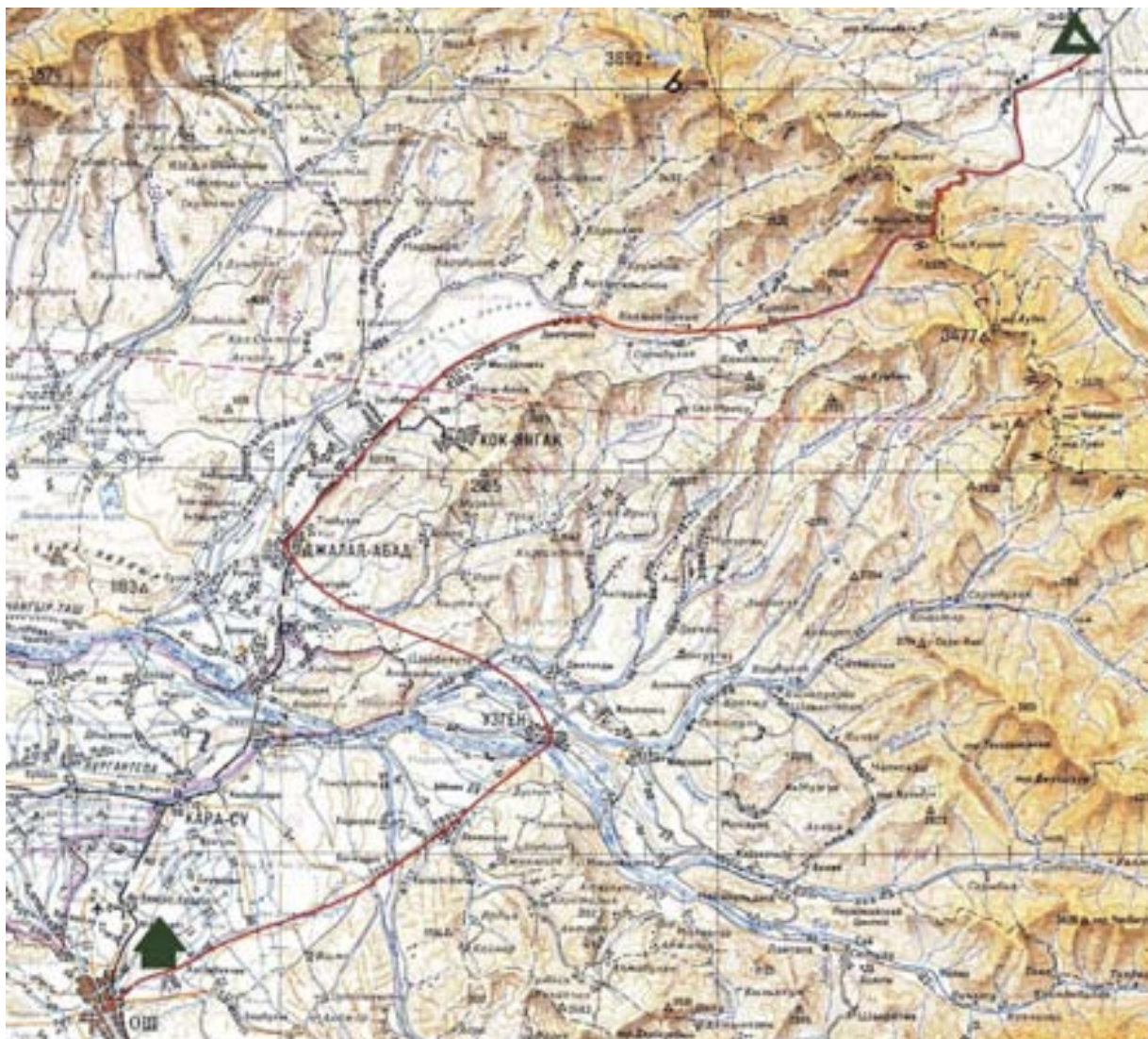
Po zmroku dojechaliśmy wreszcie do Kazarmanu, gdzie na stacji czekał już na nas Sambor z zagipsowaną Martą. To, co zobaczyli w „bolnicy” zasługuje na ich osobną opowieść, ja ograniczę się do przytoczenia diagnozy – jeden palec złamany, drugi wybity. Marta kontynuuje podróż w dzipie, my tankujemy siano i piwo, ponieważ mamy ogromną ochotę się dzisiaj nawalić.

Po 16 km za Kazarmanem widzimy migającą czołówkę Petzla, nasz znak rozpoznawczy, i za chwilę, po małym offroadzie w kompletnych ciemnościach rozbijamy namioty. Jakże byliśmy szczęśliwi, że ten dzień się już skończył.

Trochę nas pokarało przez to rozdzielenie się. Wygoda wożenia betów w samochodach brała nieraz górę nad rozsądkiem i nagle okazało się, że to ktoś nie ma śpiwora, inny materaca albo zapasów żarcia czy wody. I z czystej wygody zakupy, zamiast na naszych objuczonych rumakach, lądowały w czeluściach samochodu lub w mroźnych otchłaniach lodówki. I przyznać się muszę, że tej ostatniej pokusie nie byłem w stanie niejednokrotnie sprostać. No może nie mogłem jeszcze się powstrzymać przed zbieraniem różnych kamieni zamówionych przez moją córkę oraz forumowiczów. Miałem taką torbę u Kajmana, która z dnia na dzień stawała się, cięższa i cięższa i na szczęście zanim zwróciła jego uwagę trzeba było już wracać. Dzięki Gosiu.

12 sierpnia, Kazarman – Osh(200km)

Rano obudził nas upał. Miejsce biwaku było ulokowane na trawiastej półce na zboczu dopływu Narynia i wystawione było całkowicie na bezlitosne palące promienie słońca. Błyskawicznie wyskoczyliśmy z namiotów, wiadomo, szybkie dobudzanie kawką i poszliśmy sprawdzić możliwość wykapania się w rzece. Powoli przedzieraliśmy się przez nadrzeczne krzewy, pomni uwag Sambora o skorpionach i węzłach, występujących już tutaj w znacznej liczbie. Wagę tych



przestróg pojeśliśmy przepłaszając jakąś metrową „anakondę” wygrzewającą się na ścieżce wprost u naszych stóp. Woda okazała się za zimna i zbyt rwąca na kąpiel, ale wystarczająca by zmyć z siebie kurz i wspomnienia dnia wczorajszego. Marta spała dobrze, nafaszerowana środkami przeciwbólowymi, wsadzamy ją do Qśmy, szybko zwijamy obóz i wyruszamy podgonić resztę ekipy. Chcemy dziś dotrzeć przez Dżalalabad do Osh, już na spokojnie, i tam zamelinować się na dzień dwa w cywilizacji. Całość coś ponad 200 km, z czego połowa asfaltem. Startujemy i po godzinie wspinaczki, tuż przed przełęczą Kołbama (3100m) doganiamy



ostatniego w kawalkadzie samochodowej. Za chwilę jesteśmy na przełęczy – już wszyscy razem. Widok z góry w stronę Jalalabadu jest naprawdę imponujący, znowu kawał dziury i gdzieś daleko na końcu na dnie widać kresczkę drogi. Wszystko oczywiście po szutrze i kamieniach. Marzenie motocyklisty. Dla takich dróg wszakże tu przyjechaliliśmy. Puściliśmy się na dół, pomni wydarzeń dnia wczorajszego, ale też w znacznie lepszej już formie fizycznej i psychicznej. Sztywność ruchów minęła zupełnie, silniki dudniły równomiernie no i kompletną już ekipą ponownie posuwamy się naprzód.

Jazda na dół zajęła nam chyba z godzinę, taki kawał trzeba było przejechać. Potem jakoś nic nie utkwilo mi specjalnie w pamięci no może oprócz specyficznego sposobu suszenia ziaren słonecznika... Rozsypany wprost na asfalcie zajmował połowę drogi i po wyschnięciu ląduje pewnie na stołach europy jako czysty produkt ekologiczny.

Wczesnym popołudniem dojeżdżamy do Jalalabadu, sporego miasta, ale, jako że było tylko miastem tranzytowym, wspomnienia z niego związane będą wyłącznie z szaszłykami baraniami popitymi coca-colą w przydrożnej knajpce pod parasolami. Tu się nauczyłem, że trzeba zamawiać minimum 3 takie szaszłyki, bo jeden to może robić, co najwyżej, za nędzną *hors-d'oeuvre*. Co do coli, to tradycyjnie służyła ona jako środek bakteriobójczy, stosowany doustnie, każdorazowo do posiłku z niewiadomego źródła. Zasadniczo stosowanie zasady „[Boil it, cook it, peel it, or forget it](#)” (Obierz, ugotuj albo zapomnij) przywieziona z Indii, miała tutaj również swoje



zastosowanie, jako że azjatycka flora bakteryjna różni się od naszej, a jej skutki bywają zgubne. Przekonał się o tym kiedyś dotkliwie Jojna, więc nie chcieliśmy pójść jego śladem. Surowiźnie mówiliśmy nie, no chyba, że kupionej własnoręcznie i umytej. Po pewnym czasie, gdy uznawaliśmy, że nasze żołądki są już odporne, pozwalaliśmy sobie na małe sałatki pomidorowo – cebulowe – tak jak teraz.

Droga z Jalalabadu do Osh w swojej najkrótszej wersji biednie przez Uzbekistan, który, nie wiedzieć skąd, wbija się tu swoim językiem, przez lata kompletnie zakłócając sensowną komunikację między dwiema częściami Kirgizji. Sambor w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku (sic!) przejechał na własne ryzyko tą trasę w bagażniku Łady, my zaś, ponieważ byliśmy na wakacjach, skorzystaliśmy z nowo wybudowanej autostrady przez Ozgon. Droga ta wprawdzie nadrabia kilkadziesiąt kilometrów, ale biegnie po równym jak stół asfalciku, którego byliśmy już spragnieni. Dobrze jest wiedzieć o istnieniu tej drogi, bo nie ma jej na wielu dostępnych mapach. Pewnie niedługo się to zmieni.

Tak więc, odkręciliśmy manetki tyle na ile pozwoliły zapakowane sprzęty, opony i zdrowy rozsądek. Znaczy się jechaliśmy stówką. No dobra sto dziesięć. Cała trasa mająca około sto kilometrów przeleciała jak z bicza trzask i po południu byliśmy w Osh. Jako że Sambor został z Martą w Jalalabadzie w celu sprawdzenia czy doktor w Kazarmanie wykonał swoją robotę prawidłowo, byliśmy zdani całkowicie na siebie. Na wjeździe do miasta pozostawiliśmy całą kawalkadę i z Irma oraz z Waldkiem na drugim moto rzuciliśmy się w wir zatłoczonego miasta w poszukiwaniu noclegu. Pokręciliśmy się po mieście odkrywając, że w dużej mierze składa się z dwóch dużych skrzyżowań i kilku mniejszych ulic przecinających je prostopadłe. Zasięgnęliśmy języka i znaleźliśmy hotel, w którym ponoć zatrzymują się wszyscy cudzoziemcy. Irma poszła go eksplorować a my w tym czasie pilnowaliśmy motoru i odpowiadaliśmy na pytania ciekawskich gapiów. Standardowy zestaw pytań dotyczył pojemności mocy, rodzaju chłodzenia, ilości biegów i ceny. Nie było też dla nich jasne, że Honda nie jest produktem polskim. Podobnie jak leżąca w mapniku Nokia, wzbudzała sensację nie będąca jak powszechnie uważano, produktem chińskim. Po chwili Irma, mocno zniesmaczona, wyszła z hostelu, i jak stwierdziła tylko cena nie odstraszała. Zdecydowaliśmy się na pomoc lokalnego biura turystycznego, którego przedstawiciel zawiózł nas do prywatnego hoteliku. Niestety nie było w nim miejsc. W końcu wylądowaliśmy przy głównej ulicy w hotelu o dumnie brzmiącej nazwie PEKIN. To chyba po to, aby móc w czuć się w klimaty czekającej nas chińskiej odysei. Nie był tani chyba po 40 dolców za dwójkę, ale mieliśmy już dość i było nam strasznie gorąco. Żeby było śmieszniej, wszystko, ale to absolutnie wszystko, było w tym hotelu po chińsku. Nawet guziki pilota do klimatyzacji.

Zabukowaliśmy 9 pokoi i Waldek skoczył na przedmieścia ściągnąć resztę ekipy. Za chwile parking zatłoczył się naszymi pojazdami wzbudzając niemałą sensację i niezłe zamieszanie. A my już po prysznicu, w klimatyzowanym wnętrzu, gotowaliśmy się do wypadu w miasto.

Niestety agent turystyczny potwierdził całkowite zamknięcie granic Chin dla ruchu turystycznego własnymi pojazdami. Zrazem z nami w Osh znajdowały się jeszcze dwie zagraniczne grupy, niemogące wjechać swoimi pojazdami do Chin. W patio hotelowym trwają więc dywagacje co robić dalej. Problemem naszym była ważność wizy tadżyckiej – zaczynająca się dopiero za 10 dni. Moglibyśmy spędzić czas w Tadżykistanie, znacznie dłużej niż to zaplanowaliśmy w oryginale. Opcja były nawet taka żeby jedna osoba poleciała do Biszkeku i załatwiła nam przedłużenie wiz tadżyckich. Z tej zrezygnowaliśmy, więc pozostała opcja kręcenia się po Kirgizji do 22-go lub wjazd do Chin na kilka dni. Prezes, ze względów prestiżowych (celem wyprawy przedstawionym klientom przecież były Chiny) naciskał na wjazd, niezależnie od środków transportu. Chcąc nie chcąc, musieliśmy się dostosować i ustaliliśmy, że

za 3 dni jesteśmy na granicy kirgisko chińskiej Irkeshtam gdzie mamy spotkać naszego agenta, który ma nas przeprowadzić. Jak się uda, to ze sprzętami, a jak nie, to jedziemy dalej autobusem. W między czasie zostajemy na dwie noce w Osh.

Szkoda, że Osh nie było w naszym oryginalnym planie podróży, więc ani nie przeczytaliśmy o nim, ani nie mieliśmy żadnych specjalnych materiałów. Kirgizja miała być tylko dość szybkim tranzytem do Chin... Tymczasem jesteśmy w niej już 10ty dzień i zanosi się na więcej. Wieczorkiem zaliczamy wspólną kolację w restauracji, przerywaną brakiem w zasilaniu eklektycznością, częstym problem azjatyckich krajów. Kolacja trwała długo, bo obsługa 18 osób na raz, jest nie lada wyzwaniem... Cóż, przyjemności podróży w grupie. Wreszcie nocleg w łóżku...

13 sierpnia, Osh – Gulcza, biwak(84 km)

Jedną z największych atrakcji Osh – wydaje się być tutejszy bazar. Ubieramy się leciutko i ruszamy na podbój miasta. Na początek śniadanko w knajpie na ulicy. W Osh sporo restauracji i innych jadłodajni znajduje się wprost na ulicy, często pod prowizorycznymi zadaszeniami w celu osłony przed palącym słońcem. Kuchnia i piec opalany węglem drzewnym też jest ulokowany na zewnątrz, i kucharzenie odbywa się na oczach klientów. Jeden z takich właśnie barów wybieramy.



Szaszłyki – to chyba podstawowe dane mięsne serwowane o każdej porze dnia i nocy w tym regionie. Tradycyjnie szaszłyki pieczone są na stalowych pręcikach, na specjalnych wąskich stalowych szaszłycznikach (Шашлычница) – często specjalnie zdobionych. Mięso przekładane jest na zmianę kawałkiem litego białego tłuszczu, i po upieczeniu posypane koperkiem lub z drobno pokrojoną cebulą. Osobiście uwielbiam baraninę, tak niestety rzadką w Polsce, że urosła ona u nas do rangi delikatesu. Wykorzystuję ten fakt niestrudzenie, objadając się nią w każdej dostępnej tu formie.

Na początek zupka - rosółek barani, wprost z ogromnej miski stanowiącej stały element pieca kuchennego. W przeźroczystym rosółku pływały dostępne tu jarzyny, ziemniaki kapusta papryka. Do tego oczywiście lepszki – wspomniane wcześniej placki – tutaj mające jednak znacznie bardziej oryginalne kształty i zdobienia oraz przyprawione są ziarenkami czarnuszki i sezamu.



Potem wjeżdżają wspomniane szaszłyki i zielona herbata, w porcelanowych miseczkach. Oczywiście lekko brudnawych. Posilamy się jednak z przyjemnością, profilaktycznie zapijamy wszystko zimną Colą, płacimy jakieś śmieszne pieniądze (w stylu 3 dolary za osobę) i ruszamy w poszukiwaniu bazaru.



Ciekawi nas bardzo życie ludzi w tym mieście. W zacienionym parku, w środku tygodnia, zaskakująco dużo ludzi w wieku produkcyjnym leży sobie na stoliko-leżankach popijając herbatkę. Mały biznesik wszędzie się kręci, to lody, tu jakiś automat do nie-wiadomczego, tam dystrybutor z wodą z sokiem. Jak u nas za komuny!

Pytamy starszego tradycyjnie ubranego Kirgiza o drogę na bazar a on pięknym książkowym, chciałoby się powiedzieć

Puszkiniowskim rosyjskim dokładnie tłumaczy nam drogę. Dotychczas spotykani Kirgizi albo porozumiewali się językiem rosyjskim w stopniu dość podstawowym, a dzieci – w ogóle nie mówiły w tym języku. Ten starszy pan – był tego zaprzeczeniem – widać zdobył wykształcenie w czasach CCCP.



Dość ze jego wytyczne były wystarczające dokładne abyśmy bez pudła trafili na bazar, który był po prostu po drugiej stronie drogi. Rozmaitość sprzedawanych towarów przyprawiała o zawrót głowy, dominowała totalna chińszczyzna i wszelkie badziewie. Ten kraj jest w 99% zależny od nieodległego potężnego sąsiada! Doszło do tego, że kultura kirgiska praktycznie nie istnieje, ciężko trafić na jakikolwiek ślad kultury czy rękodzieła, tak, jakby ten kraj w ogóle jej nie posiadał. Jedyne, co obfitowało to tradycyjne kirgiskie kałpaki – czyli haftowane na czarno i złoto czapki z białego filcu. Czarny haft dla starszych panów, a złoty dla młodzieniaszków.



Kramy z badziewiem ciągnęły się kilkaset metrów do momentu, kiedy zaczęła się cześć spożywcza, a to już była zupełnie inna bajka. Bazar jest podzielony na coś w rodzaju kwartałów, ze ścisłym podziałem na specjalności. Na początek, w specjalistycznych okrągłych piecach, przyklejone do ścianki pieca wypiekane są tradycyjne bułeczki.

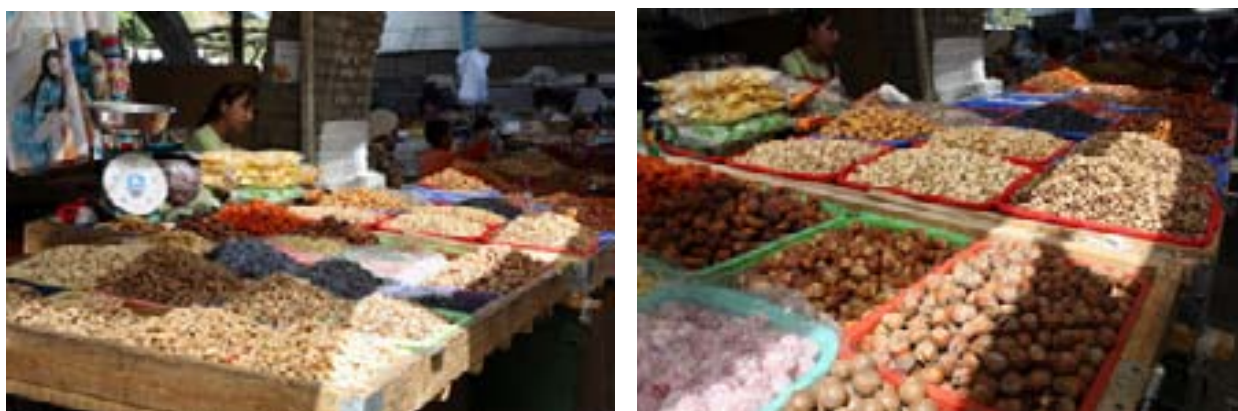


Sprzedawcy pieczywa z kolei, zaolejoną szmatką pucują swoje chlebki żeby lepiej wyglądały, i ustawiają je długimi rzędami. Wyglądają naprawdę apetycznie.

W dziale przyprawowym unosi się zapach orientu, aż w nosie wierci, W płóciennych workach widnieją całe tony suszonych sproszkowanych pomidorów, cynamon i goździki, kardamon, chili czy kurkuma. Kolejny dział to owocowo warzywny – dostępne są tradycyjne, znane nam warzywa jak i cała mnogość suszonych owoców i przeróżnych orzechów - zarówno znanych jak i nieznanych. Daktyle, figi, śliwki, orzeszki pistacjowe, laskowe – kusią z każdego straganu.



Tu i ówdzie można było znaleźć w niewielkiej obfitości stoiska rybne, w upale ryby nie wyglądały zachęcająco, a te, które wyglądały już całkiem źle, były smażone i serwowane na tym samym stoisku.



Zdecydowanie największe wrażenie, zapewne nie tylko na nas, wywarło stoisko mięsne... Ten kwartał bazaru górował nad wszystkimi ekspresją wyrazu, zapachem i... ilością much. Rzędem stały odrąbane od krowy głowy, pod ścianą poustawiane nogi z kopytami.



Na ladach leżały flaki i podroby, a wkoło wisiały sprawione udźce i inne mniej lub bardziej cywilizowane części rogaczyny. Wkoło roznosił niecharakterystyczny słodkawy zapach psującej się na upale krwi...



Takie widoki spowodowały i przypomnieliśmy sobie, że zbliża się pora obiadowa.... Przechadzając się wzdłuż zabudowań i kramów bazaru Osh zaglądaliśmy tu i ówdzie do lokalnych jadłodajni aż trafiliśmy na taką, w której nam się spodobało. To znaczy spodobał się mnie, Irmie i Kajmanowi, natomiast Gośka skwitowała to miną, niepozostawiającą wątpliwości, co o tym wszystkim myśli. Zaraz po tym, czując

narastające ciśnienie oddolne, połączone z wystąpieniem perlistego potu na czole Gocha opuściła lokal i kontynuowała przechadzkę na zewnątrz. My zaś oddaliśmy się kontemplacji serwowanych potraw oraz obserwacji produkcji Lagmana. Jest to wprawdzie tradycyjne danie ujgurskie, więc koniecznie chcieliśmy go spróbować, nie wiedząc czy dane nam będzie do Chin wjechać.

W dodatku ujugurski Kirgiz zaprosił nas za ladę produkcyjną i zaprezentował sposób rozciągania ciasta. Z miski pełnej zrolowanego ciasta grubości palca, jakimś cudem niesklejającego się razem, wyciągnął kilka metrowych zwojów i ruchami podrzucająco-okrężnymi, podwoił lub potroił długość zwoju jednocześnie pocieniając ciasto do średnicy grubego spaghetti. Muszę przyznać, że jego technika zasługiwała na szacunek.



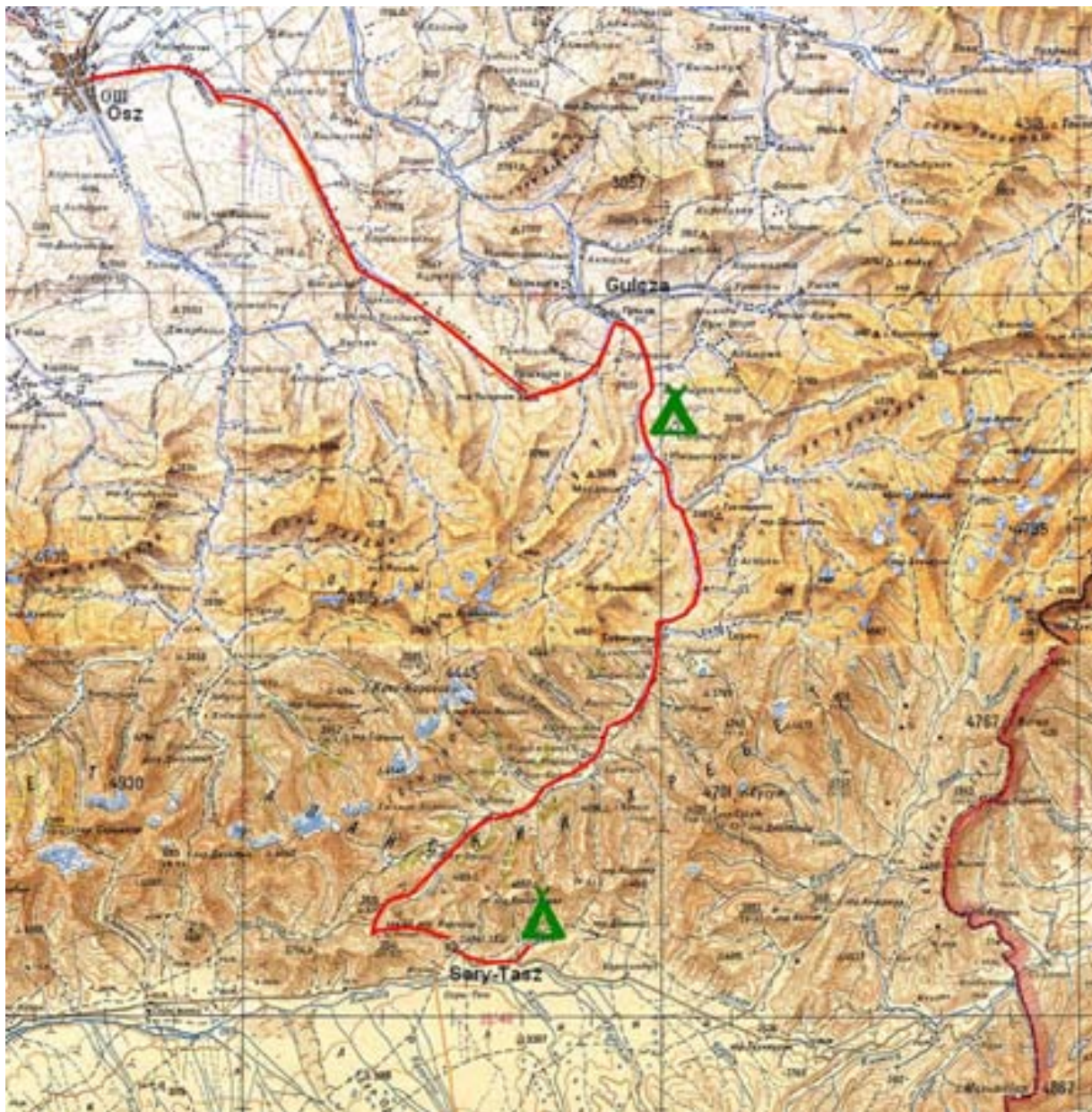
Zamówiliśmy, więc Lagmany oraz faszerowane zielone papryki. Makaron został ugotowany i zalany czymś w rodzaj mięsno jarzynowego baraniego rosółu z kawałkami mięsa i tłuszczu. Zasiadliśmy przy stolikach-leżankach z dywanami, tradycyjnie zostawiając buty tuż obok. Wkoło

sami lokalsi, w tradycyjnych nakryciach głowy. Zero komerchy! *Pure life*, O, *pardon*, samo życie. Zaskakiwała konsystencja makaronu, taka trochę gumowato sprężysta, coś jak ślaska



kluska. Smakowało tak jak wyglądało, czyli super. Zupełnie nie rozumiem Gosi, czyżby obrzydziły ją brudne ręce podających, czy też naczynie płukane w wiadrze z mętą wodą? Czy czajniczki i miseczki z od lat nie zmytym herbacianym nalotem? A może wszechobecne muchy spacerujące wkoło? Doprawdy, nie wiem. Dość, że zjedliśmy, wypili, dokonczyli zakupy na targu i dojrżeli do popołudniowego wyjazdu z miasta.

Ustaliliśmy z kierownictwem, że zaczniemy przecierać szlak w kierunku Chin a dokładnie pojedziemy drogą w kierunku Irkesztam. Zanocujemy gdzieś po drodze w Okolicach Gulczy, tam gdzie nam się spodoba. Czyli 80- 100 km na dzisiaj.



Ekipa chętna do wcześniejszego wyjazdu, czyli ja z Irmą oraz dwa Patrole Kajmana i Gizma, była gotowa koło godziny czwartej i opuściła miasto udając się drogą na południe. Trasa ta jest jednym z dwóch szlaków transportowych towarów chińskich do Azji Centralnej i znajduje się w stanie permanentnej budowy i remontu. Drogę budują chińskie brygady, chińskim sprzętem i chińskim człowiekiem. Odcinki asfaltowe, raz po raz przeplatane są odcinkami szutrowymi a odcinki ruchu wahadłowego, są sterowane ręcznie, przez chińskie dziewczyny, z twarzami osłoniętymi anty-pyłowymi apaszkami. Bo okrutnie się tu kurzy.

Blisko Osh panuje spory ruch, wykorzystujemy jednak przewagę motocykla i wkrótce wysuwamy się na prowadzenie. Droga specjalnie nie zachwyca, prowadzi przez zamieszkałe okolice, są to oczywiście zapadłe wioski, ale nic podobnego do europejskich wiosek i miasteczek.



Droga biegnie lekko wznosząc się doliną z przełęczą Czyrczyk wznoszącą się na 2408 m n.p.m. Gładko ją przejeżdżamy a po drugiej stronie śmigamy długimi szerokimi zakrętami, aby zjechać do Gulczy, po osiemdziesięciu paru kilometrach. Tam tankujemy i jedziemy dalej niecierpliwie rozglądając się na boki w nadziei wypatrzenia jakiegoś fajnego miejsca. W końcu jest! Od głównej drogi odchodzi do góry asfalcik, który wygląda jak pozostałość starej drogi, częściowo oberwanej i nieuczęszczanej. Po kilkuset metrach podjazdu

przy samym zboczcu, pod skałą jest mała zielona półeczka, z miejscem na samochody i namioty. 50m w dół widać główną drogę i wijącą się rzekę. Podoba nam się. Zostajemy.



Szybko stawiamy namioty, i zabieramy się za pierwsze poważne gotowanie. W ruch idą noże i jarzyny kupione na targu w Osh- posiekane lądują w garnku. Smażymy wszystko na oliwie, dodajemy przyprawy i mięsko zapeklowane przez Gosię jeszcze w Polsce. Pałaszujemy polsko-kirgiskie leczo przy stole, siedząc na krzesłach. No cóż, podróżowanie terenówką ma też swoje niezaprzeczalne zalety. Np. miło sobie gawędzimy przy piwku

z lodóweczki. Pierwszy raz nigdzie się nie spieszymy, na niebie mrugają gwiazdy.

14 sierpnia, Gulcza – Sary Tash, biwak(121 km)



Rano budzi mnie odgłos rozgryzanych landrynek. Do niczego nie mogę dopasować tego dźwięku, więc wstaję zastanawiając się, jakież to zwierze zżera nam ekwipunek. Okazuje się, że to zwykłe krowy spomiędzy kamieni wyjadają suche, kostropate rośliny, a one odrywane od korzenia wydają taki trzask.

Słońce dawno już wstało my jeszcze w cieniu góry nie jesteśmy narażeni na upał. Spokojne, bez pośpiechu

zjadamy proste śniadanie i zerkamy na mapę. Reszta ekipy ma nas dziś dogonić na popołudniowym biwaku w okolicy granicznej miejscowości Sary-Tash. Tam mamy znaleźć jakąś przyjemną miejscówkę. Sary-Tash, to ponoć dziura, jakich mało, leżąca na styku trzech państw. Kirgizji, Tadżykistanu i Chin. Dwa pasma górskie – Tien-Shan i Pamir oddzielone są dwudziestokilometrową, surową, trawiastą doliną. Dwa lata temu nasza afrykańska ekipa dosłownie wyczyściła półki w sklepie ze wszystkiego, co nadawało się do zjedzenia. Ciekawe czy coś się zmieniło?

Zanim to sprawdzimy, zwijamy obóz i zjeżdżamy powrotem do drogi. Krajobraz wreszcie się zmienia, droga zaczyna się wcinąć w naprawdę wysokie i pionowe góry. Dziurawy asfalt nie sprawia większych trudności, choć często we wsi napotyka się szutrowy garb. Łatwo go przeoczyć a wtedy można nawet oderwać się od ziemi. Z początku sądziłem, że to pozostałość po zasypaniu płytko położonej rury kanalizacyjnej, odprowadzającej wodę ze wsi do rzeki, ale teraz myślę, że to chyba jednak „leżący policjant”, czyli próg zwalniający. Życie we wsi przy takiej drodze, gdzie każda przejeżdżająca ciężarówka wzbija tumany białego kurzu, osiadającego na wszystkim wokoło, musi być nie lada wyzwaniem. W niektórych wioskach specjalnie polewano drogę wodą, chyba, że była wyasfaltowana.

Kolejnym dużym zaskoczeniem był zmasowany atak wielkich ważek, latających stadami w okolicy rzeki. Kilka razy wpadłem w taką chmurę, i gwałtownie chowałem się za szybą, szybko zamykając kask i podciągając zamek polara pod szyję. Na samą myśl, że takie wielkie bydle miałyby mi wpaść do kasku lub za kołnierz dostawałem drgawek. Więc prowadziliśmy sobie taką małą wojnę: ja się gotowałem w kasku o one próbowały mnie ominąć. Widząc z daleka chmurę zamykałem kask, wtulałem szyję w ramiona i słuchałem dudnienia trupów o plastik. Brrr.

Okolica jednak zachwycała...













Wkrótce dolina się skończyła i drogę zastąpiła nam grań pocięta zygzakiem drogi prowadzącej pod szczyty gór. To droga na przełęcz Taldyk (3615 mnpm). Ten *pierewał*, najwyraźniej był ostatecznym sprawdzianem dla wszelkich pojazdów pokonujących drogę z Chin do Osh. Na drodze leżały oderwane elementy zwieszenia, śruby, na poboczu stały rozkraczone ciężarówki, odpięte przyczepy, rozwalone opony czy całe mosty. Jeśli były jakieś braki techniczne – to wychodziły właśnie tutaj. W prawdziwie żółtym tempie, pod górę, poruszały się zapakowane ciężarówki, dymiąc na czarno i wzbijając niewiarygodne chmury kurzu. Cała droga zasypana była na głębokość kilku centymetrów białym pyłem o konsystencji mąki. Oczywiście pył ten skutecznie maskował wszelkie nierówności i kamienie utrudniając motocyklowi jazdę. Obyło się na szczęście bez niespodzianek, choć naginałem bez obciążenia psychicznego, jako że Irma postanowiła

sprawdzić jak się jeździ Nissanem Patrolem.

Po drugiej stronie przełęczy łagodny i niedługi zjazd w dolinę doprowadził mnie w okolice celu dzisiejszego dnia. Zanim jednak dojechałem do Sary-Tash oczom moim ukazała się rozległa i płaska dolina, zamknięta olbrzymim masywem ośnieżonych Pamirów. Ogromnym, surowym i zniewalająco groźnym. Zaczęły się prawdziwe góry.





Sary-Tash okazało się być ciągle dziurą zabitą dechami, kilka sklepików z podstawowym asortymentem. Benzyna 80-tka, oczywiście w plastikowych butelkach po napojach. W sklepie wódka, tuszonka i poradzieckie *skumbrje w tomacie*. Ale było piwo no i nasz ulubiono koniak Calvados, produkcji kirgiskiej. Zakup chleba okazał być się nie lada wyzywaniem. Bo obsługująca młoda kirgiska po rosyjsku niezbyt mówiła. W dodatku chleby miała jako dodatki do obiadów, które serwowali w swojej nieco odstraszej restauracji a stalowym baraku.

Zdecydowaliśmy się zamówić jajecznicę na obiad w sklepie obok, który przynajmniej wyglądał w miarę czysto i przyzwoicie. Wykupiliśmy jajka w całej wsi jednakże okazało się, że z powodu



przerwy w dostawie prądu z jajecznicą. Nie poddaliśmy się jednak i wyciągnęliśmy naszego benzynowego MSRa. Wzięliśmy sprawy w swoje ręce, i już za chwilę sklep wypełnił zapach smażonej cebuli a my wcinaliśmy pyszną jajeczniczkę.

Po uzupełnieniu zapasów wody, benzyny, piwa i kilku wydartych prawie siłą lepioszek, ruszyliśmy w kierunku Chin...

Skrajem płaskiej jak stół doliny, szerokiej na dwadzieścia kilometrów, prowadził szutrowy dukt, dziurawy jak cholera, bez jednego zakrętu. Z prawej, na południu

przeogromny zasypany śniegiem chiński Pamir. Dziko pięknie!



Po pięciu km walki na dziurach, miałem już przedsmak tego, co czeka nas jutro. Siedemdziesiąt kilometrów tej drogi do Irkeshtam, jak nic, wytrzepie nam wszystkie plombę z zębów! Zaczynam się rozglądać za biwakiem, ale wszędzie niebotycznie płasko i w dodatku mocno wieje. Dlatego widząc dochodzący z lewej potok, płynący w naturalnym, nie głębszym niż dwa metry jarze, bez namysłu skręcam i jadę wzdłuż niego, czując, że za chwilę coś tu znajdziemy.

I rzeczywiście, po chwili, w łagodnym obniżonym meandrze potoczku, otwarła się płaska trawiasta półeczka, w sam raz wszystkie nasze namioty i samochody. Idealna. Osłonięta od wiatru i schowana przed światem. Niewidoczna z żadnej strony. Zakładamy bazę. A że słońce przypieka, a nam się nigdzie nie śpieszy, wylegujemy się w cieniu patentu z dżipa.



Na nic-nie-robieniu z chodzi nam cały dzień. Wprawdzie jesteśmy umówieni na szóstą w „centrum” Sary-Tash, ale na wszelki wypadek wystawiam motocykl „na górę” żeby była szansa dojrzeć go z drogi.

Dojrzeli go jednak kirgiscy pasterze i podjechali do nas koniem. Scena zresztą była prześmieszna, bo koń za nic nie chciał podejść do zaparkowanej Afryki. Rżał i boczył się, szerokim łukiem obchodził motocykl wkoło. Trwało to dobre kilka minut, zanim zbliżył się na tyle, żeby w spokoju obwąchać to niecodzienne zjawisko.

Kirgizi równie zainteresowani proponują przejażdżkę na swoim wierzchowcu.



Nigdy w życiu nie siedziałem na koniu, nie wiem, co mnie podkuśliło, ale wsiadłem na chabetę... Usłyszałem jeszcze od Kajmana, że aby ruszyć trzeba konia trącić piętami.



Dla pewności trąciłem go dwa razy, Kirgiz gwizdnął, coś krzyknął, klepną konia w zad, dwa towarzyszące im psy szczekając rzuciły się za galopującym koniem.

- *Kurwa, koniku pięknie Cię proszę, zwolnij!* – ryknąłem, ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

Dwa psy pędziły po jego dwóch stronach ujadając, a koń rozpędzał się cwałując w nieznane! Wyglądało, że i koń i psy mają frajdę, a ja zaś modłę się jak przeżyć.



Nieśmiało spróbowałem zagaić.

- *Prrrr, koniku* – wydałem dźwięk paszczą - a koń nic.

- *Prrryyyy, pierdolona chabeto* – powtórzyłem - a koń nic. Nie rozumie bydle po polsku-konstatuję.

Rzuca mnie niemiłosiernie w górę i w dół na twardym drewnianym siodle. Kurczowo trzymając się lęku przedniego zerkam na dół. Choć Pamiry coraz bliżej, postanawiam jednak nie zsiadać w locie. Na oko ze 3 razy wyżej niż na Afryce.

Nagle zauważam, że w rękę trzymam jeszcze uzdę.

- Hej! – olśniło mnie - Tym się chyba steruje!

Ciągnę trochę jedną ręką – koń lekko skręca.

- *Ha!*- myślę - *Mam cię, dziadu!* Przynajmniej nie grozi mi już nielegalne przekroczenie granicy tadżyckiej.

I wtedy przypomniałem sobie wszystkie westerny, które oglądałem jako dziecko. Szarpnąłem cugle dwiema rękoma i pociągnąłem mocno do siebie. Jak John Wayne! Koń zarył się kopytami w trawie. Pamir przestał się przybliżać. Żyję!

Skoro umiem już skręcać i zatrzymywać się, nabrałem pewności siebie i postanowiłem wrócić do swoich w siodle. Tym razem raz trąciłem konia pietami i powolutku stępa, wróciliśmy do obozu. Ale przygoda! Wszyscy mają niezły ubaw.

Kajman nie pozostawił mi złudzeń, że potrafię już jeździć, Wsiadł na konia i ... zresztą popatrzcie sami...



W rewanżu, wożę Kirgizów na Afryce po otaczającej nas równinie, Widzę, że mają dużą ochotę na przejażdżkę w roli kierowcy, ale nie godzę się na to. Trudno. Oni są u siebie, a jak daleko od domu. Nie możemy sobie pozwolić na żadne straty. Na do widzenia, Gizmo przehandlował jeszcze z nimi siodło dla swojej żony. Siodło było gdzieś w ich gospodarskich zabudowaniach za niedalekim pagórkiem, więc jeden z miejscowych wsiadł do Patrola z Kajmanem i pojechali na zakupy.

I tu nastąpił mały zgrzyt, którego nie jestem niestety w stanie zrozumieć. Jadąc po siodło, Kirgiz ukradł z auta telefon Goški, schowany w podłokietniku. My kupujemy siodło za 100 dolców, co dla obu stron jest świetnym interesem, integrujemy się, jeździmy sobie na swoich sprzętach, częstujemy papierosami, jest super, a na koniec tak nam odpłacają! O co chodzi? Dobrze, że nie dałem im się przejechać, bo mógłbym Afryki już nie zobaczyć...

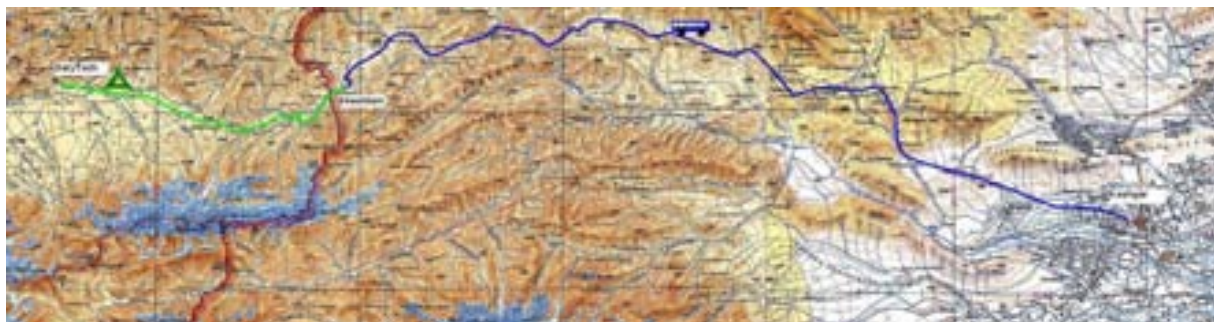
Późnym popołudniem zaczynają się zjeżdżać po kolei uczestnicy w rozciągniętym peletonie. Oczywiście mojej Afryki nie widać z drogi, więc stoję na straży i świecę światłami, tak żeby każdy dobrze skręcił. Zeszło długo, bo część była na zakupach, tankowaniu, szukaniu ropy do samochodów itd. Ostatni zjeżdżają koło 18tej.

Sambor mówi, że jego babcia Afryka coś niedomaga, że ledwo podjechał pod Taldyk Pass i że podejrzewa zapchany filtr powietrza. Tak było w istocie, chłopaki z Dzipów mają kompresory więc po przedmuchianiu filtra Afryka ożywa a Samborowi wraca humor. Obalamy po parę łyków koniaku rozchodniaczka i zaszywamy się w ciepłku namiotów. Na zewnątrz wiucha zimny pamiński wiatr a my śnimy już o Chinach ...



15 sierpnia, Sary Tash – Kaszgar, Chiny (74 km+250km)

Tym razem pobudka znacznie wcześniej niż zwykle, bo o piątej! Na granicy mamy być o 9 rano, a potem jeszcze 250 km do Kaszgaru.



Ciemno zupełnie, zimno jak jasny gwint. Zwijanie obozu zawsze zajmuje nam dużo czasu i tym razem nie było inaczej. Godzina i 45 minut, niczym nie wyjęte, z gotowaniem, zwijką namiotów materacy, śpiworów, a potem przytroczeniem wszystkiego do motocykla. Startujemy przed siódmą. Mroźno, więc ubrani jesteśmy we wszystko, co mamy. Odkręcam do 70km/na godzinę i w pierwszej dziurze mało nie zostawiam zawieszenia.

Im dalej tym gorzej. Droga, to szeroka szutrówka, prowadzona dnem doliny, miejscami bardzo widokowo. Olbrzymi Pamir po prawej milcząco tkwi w porannej mgłę. Czujemy jego ogrom, choć nie mamy sekundy by na niego spojrzeć. 2 pary oczu, wpatrzone w nawierzchnie przed nami, wypatrują nierówności, aby zareagować natychmiastowym uniesieniem czterech liter w górę. Nieuwaga, lub próba kontemplacji otoczenia równa się z natychmiastową i bolesną karą wymierzona dobijającym zawieszeniem w kręgosłup. Po kilku takich strzałach zwalniamy do 30km na godzinę. Jest jeszcze gorzej. Przyspieszamy i znów ratujemy się gwałtownym hamowaniem przed jakąś jamą. Niewiarygodne, co ciężarówki mogą zrobić ze zwykłą drogą. One same poruszają się w zastraszająco wolnym tempie – góra 10km/h. Inaczej wszystko by pourywały. Nie chce mi się myśleć, ile dni musi im zajmować 250-cio kilometrowa podróż z Irkeshtam do Osh.

Próbujemy jechać samym skrajem, ale droga wiedzie po nasypie i czyhają na nas wypłukane lub zarwane leje. Wjechanie w taki kończyłoby wycieczkę. Szukamy, więc drogi środkiem i znowu dupa. Irma ma łzy w oczach, a mnie aż serce boli. Taka droga to najgorszy sen, znikają uroki wędrówki, chce się do domu. Masakra. Nadwątlony kufer Sambora obrywa mocujące go paski i cała zawartość rozpieprza się na 100 m drogi...



Na szczęście słońce wschodzi wyżej i robi się cieplej. Droga prowadzi rozległymi łąkami i pojawiają się tak bardzo charakterystyczne w Azji drogi równoległe oraz skróty. Podążamy takimi i choć jazda terenowa jest bardziej wymagająca to jest jednak nieco równiej. Leciutko mija napięcie poranka. Nie na długo niestety, teren robi się trudniejszy i „lewe” drogi wracają do tej głównej. Tą już znamy, więc mamy drgawki. Na nierównej walce z dziurami schodzi nam 2,5 godziny i 70km. To zdecydowanie najgorsza droga, jaka przyszło mi jechać. Nie chce jej pamiętać ani myśleć o tym, że trzeba nią będzie jeszcze wrócić.



Wreszcie dojeżdżamy do kirgiskiego przedgranicznego postu. Za szlabanem widzimy piękny, równiuteńki, czarny asfalcik. Szybka kontrola paszportowa, unosi się szlaban i już rozkoszujemy się drogą bez dziur. Mijamy ostatnią przed granicą chińską kirgiską wioskę Nura, którą miesiąc później zmiecie z powierzchni ziemi potężne trzęsienie ziemi, a życie straci 60 osób. W nieświadomości czającej się grozy mijamy ją bez emocji i

wszyscy zajeżdżamy z przełęczy na oficjalne przejście graniczne. To obrzydliwa baza samochodowa, zardzewiałe baraki, kurz i mini biznesy przeznaczone dla kierowców kirgiskich i chińskich.

Formalności celne załatwiamy w drewnianym baraku, na tyle sprawnie, iż nie warto o nich się rozwodzić. Wszystko idzie tak gładko, że przez chwilę mamy nadzieję, że po prostu wjedziemy do Chin na motocyklach. Kilkadziesiąt minut później jedziemy dalej, jeszcze jeden kirgiski posterunek paszportowy, sprawdza czy ci poprzedni wbili pieczętki wyjazdowe i po 4 km jazdy



naszym oczom ukazuje się posterunek graniczny Państwa Środka. To taki stalowy barak przy drodze. Nieco dalej w głębi, widnieje betonowy klocek otynkowany na biało, z chińskimi literami na czerwono. Ani chybi Chiny!

Wraz z żołnierzami w białych rękawiczkach podchodzi do nas nasz „chiński łącznik” – agent wywiadu zapewne, sprawca wszelkich kłopotów – nazwijmy go roboczo TW Ujgur. Wygląda po europejsku mówi niezłe po

angielsku i przynosi złe wieści. Za 4km znajduje się główne cywilizowane przejście graniczne i skład celny, na którym będziemy zmuszeni zostawić nasze sprzęty. Czeka na nas też busik, którym odbędziemy dalszą drogę. Potwierdził się zatem czarny scenariusz, z którym niektórzy

byli już podświadomie pogodzeni, a w innych tliła się jeszcze naiwna iskierka nadziei. Nie potarasiemy pustyni Taklamakan naszymi maszynami, nie zdechniemy z upału w depresji turfańskiej, nie polecimy na kołach po Karakorum Highway pod wielgachnymi siedmiotysięcznikami. Nie tym razem.

Na razie musimy poddać się drobiazgowej kontroli celnej, łącznie z wybebeszaniem zawartości kufrów, worków i sakw. Co ciekawe, pytają nas o mapy i przewodniki i każą je sobie pokazać. Bardzo drobiazgowo analizują okolice Tajwanu. Do Chin nie wjedzie niepoprawna politycznie mapa. Duże kłopoty miałyby też Lonely Planet „China” gdzie Tajwan jest zaznaczony innym kolorem. Ale wiedzieliśmy o tym i nie wzięliśmy całej cegły tylko



parę kser interesujących nas miejsc. Emocje wzbudza mapa Bieszczad znaleziona w Patroli pod siedzeniem. Na tę okoliczność zawezwano nawet wyższego rangą oficera.

Skoro nic nie znaleźli wojskowi postanowili przynajmniej uczcić okazję i sfotografować się z naszymi motocyklami. Humor stracili natychmiast, kiedy my chcieliśmy sfotografować się z nimi.

Jedziemy! Jesteśmy w Chinach. Jedziemy po chińskiej ziemi. Koła naszych Afryk toczą się po chińskim asfalcie. Całe cztery kilometry. Trochę się cieszymy, że chociaż tyle, bo równie dobrze mogli nas nie wypuścić z Kirgizji. Po kilku minutach docieramy do właściwego przejścia. Biały murowany budynek. Bramki, szklane gabloty, umundurowani celnicy. Niestety na obiedzie. 2h przerwy. To nam nawet pasuje, gdyż potrzebujemy kompletnie



się przepakować. Wszystkie luźne bądź nieprzytwierdzone na stałe bety pakujemy do aut. Do ręki bierzemy po torbie z kufra z podstawowymi rzeczami na 4 dni. Tyle właśnie będzie trwała nasza chińska przygoda autobusowa.

Wizyta w kiblu przywraca nas do rzeczywistości – to, co z zewnątrz wygląda na trwałe i piękne od wewnątrz rozpada się i gnije. Warto pamiętać o tym będąc w tym dziwnym kraju.

W końcu odprawa. Nie pamiętam przez ile rąk przeszliśmy. Pierwszy pan sprawdził czy mamy paszporty, drugi czy mamy wize, trzeci podbił pieczętkę potwierdzającą, że sprawdził, to co poprzedni już sprawdzili, kolejny sprawdził poprzednie sprawdzenie, aby dla odmiany sprawdzić

nas w komputerze. Kolejny wbił pieczętkę, a jeszcze jeden lub dwóch sprawdziło czy na pewno tą pieczętkę wbił. Wszystko odbywało się w idealnym szyku, staliśmy poustawiani w linii prostej, bez klasycznego polskiego zamętu i kolejkowego chaosu. A jak już to wszystko się odbyło i byliśmy po drugiej stronie bramek, TW Ujgur poprosił kierowców o wzięcie kluczyków, i po prostu przeszliśmy bokiem z powrotem, kompletnie przez nikogo nie zatrzymywani. Ale cyrk!

Motocyklami przejechaliśmy wzdłuż budynków na centralny plac przed budynkiem granicznym. Od strony Chin wyglądał zdecydowanie bardziej reprezentacyjnie.

Zatem jesteśmy w Chinach! Wystarczyło skrócić w lewo i wmieszać się w tłum chińskich kierowców, kramów, biznesików i po prostu jechać przed siebie. My skręciliśmy w prawo i wjechaliśmy do wielkiej hali magazynowej, gdzie przyszło na dobre pożegnać się ze sprzętami. Hala była otwarta, tylko zadaszona, wkoło kręciło się pełno robotników noszących różne towary. Tak wyglądało miejsce gdzie nasz sprzęt miał samotnie spędzić najbliższe dni.

Pożegnaliśmy się z nim czule, jak byśmy mieli go więcej nie oglądać. Wróciliśmy obchodząc budynek od drugiej strony. Dalej nikogo to nie obchodziło.auta utknęły w niewiarygodnym korku tirów, który zablokował dojazd do hali i zeszło im z dwie godziny zanim do nas dołączyli.



Ostatni żołnierze wypuszczali nas z placu przed budynkiem. Oczywiście w obowiązkowym szyku staliśmy gęsiego. Ostatni raz pokazaliśmy paszporty, tradycyjnie pierwszy sprawdził czy mamy pieczętki wjazdowe, a drugi sprawdził, czy pierwszy sprawdził. W końcu Chiny nie cierpią na braki w ludności chętnej do pracy.

Welcome to China!



Zapakowaliśmy się do 20 osobowego busika marki bliżej nam nieznaney, jak większości zresztą marek widzianych na ulicy. Ale sam autobus cywilizowany, wygodne rozkładane fotele, klima itp. Jeszcze tylko Jojna sprawdził czy potrafi odpalić autobus i byliśmy gotowi na uprowadzenie, jeśli nie na własnych kołach, to przynajmniej z własnym kierowcą. Jojna autobus potrafił odpalić, ale nie potrafił już zgasić. Plan wziął w łeb.



Koło szesnastej udało się wyjechać. Przed nami 250km jazdy do Kashgaru. Kluczowego miasta niegdysiejszego Jedwabnego Szlaku. Ten średniowieczny trakt niczym nie przypomina tego po stronie kirgiskiej. To równiutki porządny asfalt. Szybko okazało się, że do mamy czwórkę do brydża a że widoków gór mamy po dziurki w nosie, organizujemy prowizoryczny stolik i rozgrywamy parę roberków.

Co gorsza zaczynam się źle czuć, boli mnie głowa i czuję, że mam gorączkę, oddaje więc karty i szybko zasypiam, zmęczony chorobą, wczesnym wstawaniem i emocjami dnia. Więcej nie pamiętam, dość, że wylądowaliśmy w jakimś dużym hotelu w Kashgarze, w którym walnąłem się do łóżka aplikując sobie odpowiednią dawkę paracetamolów.

Chiny

16 sierpnia, Kaszgaru - miasto

Tego dnia miałem przesrane i...
...nie będę tego opisywał.

W zastępstwie Sambor:

„No, ponieważ Podos miał przesrane tego dnia i niewiele zobaczył, a to, co widział nie nadaje się do opisanego zostałem poproszony o uzupełnienie...



Może trochę smrodku dydaktycznego? Xinjiang oznacza po chińsku Nowe Terytoria, przeszłość tych okolic niekoniecznie jest związana z Chinami od wieków. Historia trochę podobna do Tybetu... Dwukrotnie Turkiestanowi wschodniemu udało się wybić na niepodległość, po raz pierwszy w 1932 - 1934 roku, później w latach 1944-49. Niestety całe kierownictwo nowego państwa zginęło w katastrofie lotniczej, gdy lecili na spotkanie z Mao. Pewnie przypadek.





Tak czy owak Kaszgar niewątpliwie pozostaje miastem islamskim. Trochę ten komunizm ma tu inny wymiar niż na wschodzie kraju.

Na ulicach widać sporo dzieci, Ujgurzy jako mniejszość narodowa mają swoje przywileje, należy do nich prawo do posiadania większej liczby dzieci. Oficjalna polityka partii pozwala na posiadanie 1 dziecka...

Większość kobiet chodzi ubrana od stop do głów. Trochę jest dla nas to nieoczekiwane, bo jednak Chiny nie kojarzą się z takim islamem

Zaczęliśmy naturalnie od wymiany kasy. Nie załatwia się tego oczywiście w kantorach, bo ich w Chinach nie ma. Trzeba się z tym wybrać do Bank of China i mieć ze sobą paszport. Mieliśmy tu zostać dwa dni tylko więc rzuciliśmy się "w miasto".

Tego dnia powłóczyliśmy się trochę po ichnich meczetach, skosztowaliśmy potraw pysznej ujgurskiej kuchni (niestety piwo jest w nich niedostępne). Zamawianie potraw jest wielką hecą, dostajesz takie menu jak widzisz poniżej i po chwili studiowania tego albo zamawiasz najdroższe licząc że cena przejdzie w jakość, albo udajesz kurę lub śmiesznie pochrząkujesz jak świnia (w ujgurskiej knajpie trochę bez sensu, bo świnii też nie mają)





No i ruszyliśmy na podbój starego Kaszgaru.



Labirynt uliczek starego Kaszgaru jest ciekawy, ale stopniowo jest wypierany przez nowe budynki. Ujgurzy nie chcą w nich mieszkać, wolą swoje stare domy. Wiele spośród nowych stoi pustych.

Kaszgar nie przypomina miast kirgiskich czy kazachskich. W porównaniu z nimi jest nowoczesny. Oczywiście nie umywa się też do miast Chin wschodnich. Mimo wszystko jest czysto, no i oczywiście tanio... Przemierzamy się wszechobecnymi taksówkami. Przejście na drugą stronę ulicy jest nie lada wyzwaniem. Poszukiwania kawy kończą się tego dnia fiaskiem. Wyobrażaliśmy sobie że w związku z tymi zamachami miasto będzie przypominało oblężoną twierdzę, coś w rodzaju tego, co zaobserwowaliśmy rok wcześniej w kaszmirskim Srinagarze, posterunki wojskowe z Kaem-ami otoczone workami z piaskiem, etc. Nic z tego, trwają Igrzyska Olimpijskie i nie ma śladu po wydarzeniach, które jeszcze tydzień temu musiały być wstrząsem dla tego miasta.



17 sierpnia, Kashgar, Sunday market

Na dzisiaj organizator przewidział dwie atrakcje. Wizytę na niedzielnym targu zwierzęcym oraz zakupy na słynnym kaszgarskim bazarze. Schodzimy na śniadanie, (Sambor przestrzegł, że nie będziemy niczego znali, i tak było)



Potem autobus zabiera nas spod drzwi hotelu i zanurzamy się w odmęt miasta.

Po kilkudziesięciu minutach jazdy jesteśmy na miejscu. Targ zwierzęcy to miejsce historyczne. Znajduje się tutaj nieprzerwanie od czasów rzymskich. Kupcy podążający jedwabnym szlakiem z Europy musieli zmierzyć się z otaczającym Kashgar z trzech stron górami Pamir, Tien-Shan i Karakorum. Wycieńczone karawany tutaj znajdowały odpoczynek i nabierały sił przed kolejnym morderczym etapem podróży: pustynią Taklamakan (tłum. Wejdz, a nie wyjdiesz).

Na tej bazie Kashgar wyrósł na poważnych rozmiarów metropolię, która w innych warunkach nigdy by tu nie powstała, a wraz z nią targ zwierzęcy. Dawniej pewnie większość utargu stanowiły wielbłądy i konie, teraz na ogromnym placu mieszczą się, co najmniej cztery różne branże – zwierzęca, metalowa, drewniana i owocowo warzywna.





Tak więc, na wybiegu piaskowym, również przeznaczonym do testowania jakości sprzedawanych koni, tradycyjnie ubrani Ujgurzy badali jakość towaru



Całymi rzędami, skrupowane za szyję stały w szpalerze barany i owce. Można było nabyć również kozy, krowy a nawet wielbłąda.







Oczywiście, wkóło mamy do czynienia z rozbudowaną siecią usługową



jak również całej gamy jadalnej dbających o żołądki zarówno sprzedających jak i kupujących. Oczywiście króluje baranina pod wszelkimi postaciami – tutejsza kuchnia bazarowa nie tak bardzo różni się od tej w Osh.



Po półtorej godzinie mamy dość i przenosimy się do centrum, gdzie rozdzielamy się i zaczynamy buszowanie po bazarze oferującym wszelakie różności.

Niestety słynny Sunday Market niedzielę ma tylko w nazwie, odbywa się codziennie, i jest po prostu wielkim bazarem baziw. Całe uliczki butów i ciuchów, klasycznej chińszczyzny, które przechodzimy dość szybkim krokiem.

W końcu trafiamy do części z biżuterią i wyrobami kultury ujgurskiej.

Najbardziej ujgurskie z ujgurskich są noże. Każdy mężczyzna nosi taki nóż przy sobie. Pełni on rolę zarówno użytkową jak i ozdobną. Miejscem ich produkcji jest Yengisar, miejscowość na południe od Kashgaru, gdzie noże te produkowane są nieprzerwanie od 400 lat. Produkuje się je tradycyjnie, a ich ostrza i rękojeści są wyjątkowo zdobione. Szlachetna stal kusi matowym blaskiem – muszę więc taką kosę posiąść.



Pierwsze negocjacje – przybliżają cenę – od 10 janków za mini scyzoryczek wielkości palca, do 650 za wypasioną dużą, zdobioną kosę. Ujgur, zachwalając swój produkt ostrzem drogiego noża



nacina ostrze taniego. Odcinany metal spada na podłogę, a ja się ślinię coraz bardziej. Na klindze nie ma nawet śladu wyszczerbienia. Szybkie targi i kupuję za 250. Coś za szybko się zgodziłem... Paradoksalnie nóż w kieszeni ułatwi negocjacje w następnych sklepach. Każdemu, który mi oferuje kolejną kosę, mówię, że już nie potrzebuję, bo już mam, i natychmiast ceny kolejnych egzemplarzy lecą na łeb na szyję. 200, 150! Irma bezczelnie proponuje stówkę i już po chwili jesteśmy właścicielami kolejnego

niezłego egzemplarza. Temu też nie mógłbym się oprzeć, zwłaszcza po prezentacji ostrzenia na jedwabnej szmatce i golenia włosów na ręce... teraz to już jesteśmy mądrzy i nasza bezczelność negocjacyjna nie zna litości. Jojnie kupujemy hurtowo dwa ładne egzemplarze, z podpisami ich wykonawców – *knifemakerów*.

Z każdego straganu wychodzimy z jakimś trofeum wydartym metodą na „nóż”, albo na bezczelnego, czyli: „jak nie - to wychodzę”. Ta metoda okazała się szczególnie skuteczna. Wykosiliśmy słynne jaspisy hotańskie, unikalne, bo nie zielono-przeźroczyste pakistańskie podróby, tylko zabarwione czerwono pomarańczowym piaskiem pustyni. „Na jaspisy” potem, bezczelnie zbijaliśmy cenę kolejnych koralików, już nie tak ładnie wybarwionych, jak te pierwsze. Kolejny smutny kupiec zostawał na swoim straganie, a my jak jastrzębie spadaliśmy na następnego. Ozdobne lusterka dla wszystkich koleżanek naszej córki? – proszę bardzo – 5 sztuk? – to już zakup hurtowy, cena ciach na pół. Ale chcemy 20! I znów trzeba będzie spuścić z ceny. Kosimy jak leci. Germańscy oprawcy!



Kolejny smutny kupiec zostawał na swoim straganie, a my jak jastrzębie spadaliśmy na następnego. Ozdobne lusterka dla wszystkich koleżanek naszej córki? – proszę bardzo – 5 sztuk? – to już zakup hurtowy, cena ciach na pół. Ale chcemy 20! I znów trzeba będzie spuścić z ceny. Kosimy jak leci. Germańscy oprawcy!



Potem przyszedł czas na herbaty, przyprawy, suszone owoce i orzechy no i suszonego penisa jelenia, największego, jaki był. Taki prezent dla Pastora. Były też fiuty morsów, ale nie dostatecznie duże. W konspiracji chciano nam też sprzedać suszoną łapę chronionego i żadkiego irbisa – pantery śnieżnej, jednakże trochę się już baliśmy...

Równie interesująco prezentowały się też boczne uliczki miasta, zatłoczone, pełne życia i gwaru, Tak odmienne od szerokich betonowych chińskich highway'ów.



Podobnie jak w Indiach, panowała tu uliczna specjalizacja. I tak, na jednej z nich, natrafiliśmy na zakłady lutnicze – produkujące całą gamę przeróżnych instrumentów



Uliczka ciesielska, dekarska i elektrotechniczna...



Albo uliczka krawców.



Ale i tak, największe wrażenie robiło na mnie serwowane na ulicy, z mini straganów-kuchni, żarcie. Mimo ciągle trwającej rewolucji w żołądku, z zainteresowaniem zerkałem w wystawiane wynalazki.

Tak więc, pije się tu taki rozwodniony jogurcik. Zapewne jest idealny na upały. Jakoś baliśmy się spróbować. Lód pochodzi oczywiście z lodowców Karakorum – i stamtąd jest przywożony metodami tradycyjnymi. Około 200km, może trochę mniej.



Po takim jogurciku najlepiej na żołądek zrobiłaby świeżutka figa...



A jak ktoś nie lubił owoców, mógłby sobie zaserwować np. ręcznie robioną podrobową kielbasę. To białe na dole to żywy tłuszcz!



Innych gotowanych specjalów jest cała masa, nic się tu nie zmarnuje.



Nie brakuje również baranich szaszłyków, dostępnych praktycznie na każdym rogu.



Mięso zagryziemy albo pilawem – czyli gotowanym ryżem z marchewką albo znanymi nam z Kirgizji bułeczkami przygotowywanymi i wypiekаныmi na oko tradycyjnie...



Jak już nic dla siebie nie znajdziemy to można posilić się jakimś chipsem.



I zapić tradycyjnymi, cywilizowanymi drinkami

Piwo też nie nazywa się piwo. Ale na szczęście da się kupić. No coś się chińczycy jednak przydali Ujgurom. Zmęczył nas ten dzień, łapiemy na ulicy taksówkę, żeby wreszcie zawiozła nas do jakiejś mniej ekstremalnej knajpy.



Taksówki w Kashgarze są dostępne wszędzie. Prawdopodobnie działają lepiej niż londyńskie metro. Są wszędzie, dostępne na wyciągnięcie ręki, w cenie biletu komunikacji miejskiej. Nigdy nie zapłaciliśmy innej ceny niż 5 juanów. Wszystkie pojazdy taksówek to VW Santana – chińska wersja starej Jetty. Tych samochodów sprzedaje się w Chinach, bagatela, ponad 100 tys. kwartalnie i jest najlepiej sprzedającym się pojazdem.

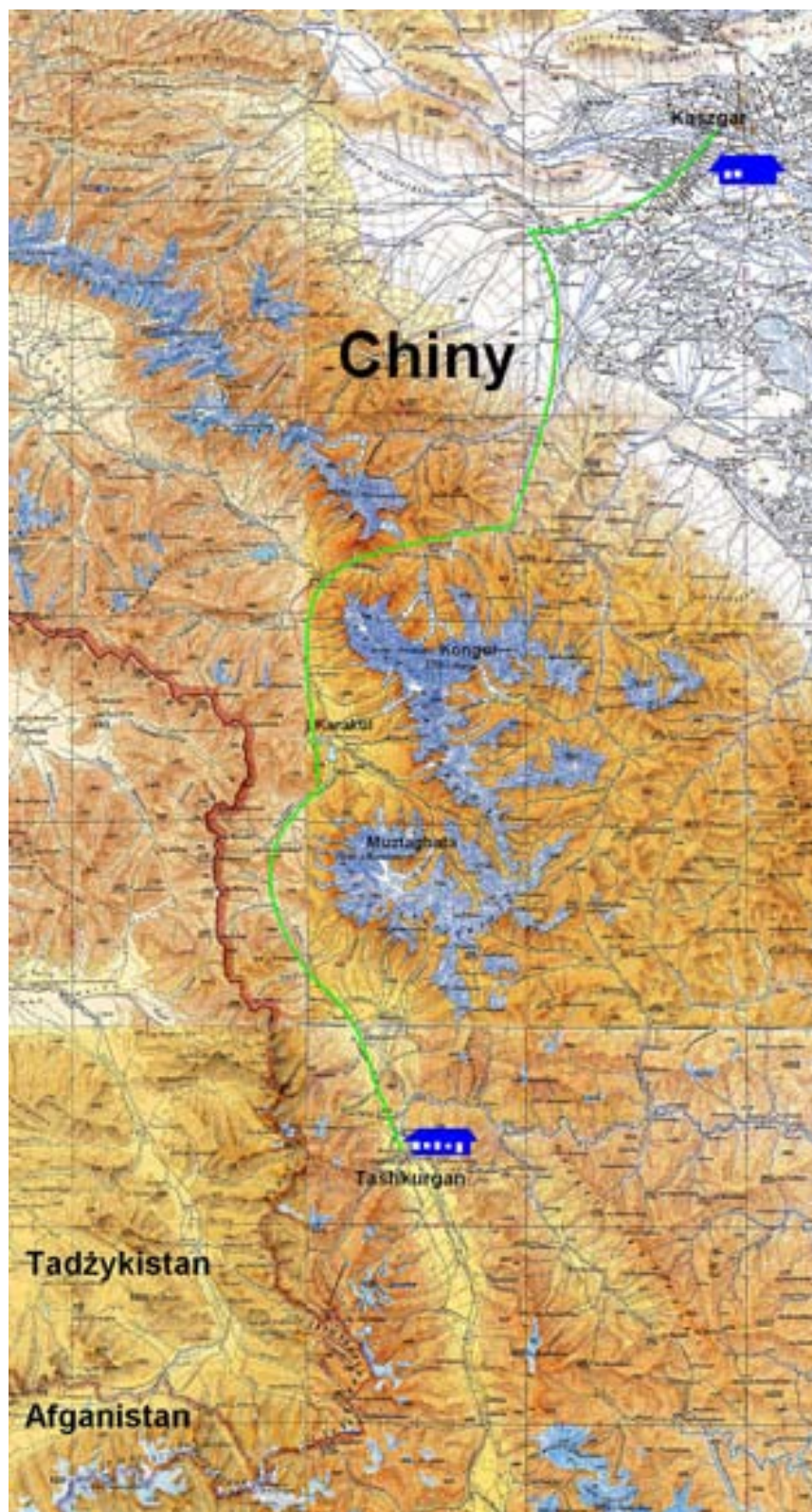


Taką to Santanę, poruszamy się głównie metodą: ”na wizytówki”, czyli – pokazujemy karteczkę napisaną przez naszego opiekuna, albo mamy wizytówkę z knajpy, w której byliśmy ostatnio. Taxi podrzuca nas zwykle w okolice ronda, które przynajmniej wiemy gdzie się znajduje, i poruszamy się wyłącznie w jego okolicy. Dalsze wypady, z powodów językowych, nie należą do najłatwiejszych eskapad.



Na koniec dnia zaliczamy ujugorską knajpę dla turystów. Zamawianie oczywiście na migi. Czyli kurczak to: ko-ko-ko, a baranina: be-ee-ee. Działo. Nie umieliśmy pokazać gołębia...

18 sierpnia, Karakorum Highway, Kaszgar – Tashkurgan (250km)



Bardzo raniutko zrywamy się z hotelu i ładujemy do naszego autobusiku. Przed nami dwudniowa wycieczka, po której tak wiele sobie obiecywaliśmy. Karakorum Highway.

KKH, znana również jako 9 cud świata, jest najwyżej położoną utwardzoną drogą górską świata i łączy Chiny z północnym Pakistanem. Przez to najwyżej położone przejście graniczne na świecie, Kunjerab Pass, wiedzie droga na wysokości ponad 4600 m n.p.m.

Nic dziwnego, że drogę budowano aż 20 lat, a życie przy jej budowie straciło prawie 900 osób. Jej długość liczy 1300 km, przy czym jej 2/3 znajduje się w Pakistanie. Ma ona ekstremalnie duże znaczenie militarne dla Pakistanu, przebywającym w wieloletnim konflikcie zbrojnym z Indiami o Kaszmir. Nasza zeszłoroczna trasa przebiegała właśnie przez ten zapalny region, przez Kargil i Śrinagar a ciąga obecność wojska przypominała o przebiegającej niedaleko umownej linii kontrolnej oddzielającej te dwa kraje i niebędącej nawet ich granicą.

KKH jest również spektakularną atrakcją turystyczną. O jej atrakcyjności niech poświadczy lista najwyższych szczytów świata leżących w jej bezpośredniej bliskości.

Są to:

K2, na granicy Pakistanu i Chin,
druga najwyższa góra świata
8,611m.

Nanga Parbat, Pakistan, 8,125m

Gasherbrum I, na granicy
Pakistanu i Chin, 8,080m.

Broad Peak, na granicy Pakistanu
i Chin, 8,047m.

Gasherbrum II-IV, Pakistan,
8,035m-7,932m

Masherbrum (K1), Pakistan,
7,821m.

Muztagh Ata, China, 7,546m.

Kongur Tagh, China, 7,719m

(źródło: wikipedia)



Trudno się więc dziwić, że miejsce to przyciąga rzesze turystów nawet w takie zapalne regiony jak pogranicze pakistańsko indyjskie, czy pakistańsko afgańskie. To mekka alpinistów i

trekkingowców, ale także cel wypraw motocyklistów całego świata.

Przyciągnął też nas. O jakże pokarał nas los, żebyśmy tę piękną drogę musieli podziwiać z okien autobusu! Chcieliśmy motocyklem a A wyszło jak zwykle.



Jadąc od Kaszgaru przemierzyliśmy rozległą równinę leżącą u podnóża Karakorum, które dość szybko wyłoniło się na horyzoncie połyskując swymi lśniącymi lodowcami. Zatrzymaliśmy się jeszcze po drodze w wiosce, w której odbywał się lokalny targ, widocznie uboższy niż ten w Kaszgarze, wyskoczyliśmy szybko coś przegryźć, bo kuchnia hotelowa wyraźnie nam nie służyła.



Wraz ze zbliżaniem się do gór okolica surowiała, a szczyty stawały się coraz to bardziej pionowe.



Asfalcie równiutki jak stół, nawet śladu najmniejszej dziurki czy nierówności.

Podziwiając krajobrazy za oknem, poczytując epopeję Marco Polo w National Geographic, rozgrywając kolejne partyjki brydża lub po prostu śpiąc dojechaliśmy do pierwszego wojskowego postu.

Tutaj już nie było zmiłuj się, wysiadanie z autobusu i przegląd paszportów w okienku murowanego

budynku strażnicy, sfotografowanej oczywiście spod pachy, bo obowiązuje zakaz fotografowania obiektów wojskowych.

Nad naszymi głowami zaczęły się już góry o nazwach, które przynajmniej Marcinowi coś mówiły. 10 lat wcześniej, wraz z grupą polskich alpinistów atakowali jeden z siedmiotysięczników - [Kongur Shan](#) (7,719m), od lat niezdojty przez Polaków, a w swojej historii w ogóle tylko cztery razy.





Kolejnym przystankiem na naszej drodze jest przydrożny handelek minerałami położony przy fantastycznie i naturalnie pokolorowanych wzniesieniach. Faktycznie to zatrzymały nas widoki, kramy tam po prostu stały, bo chyba wszyscy się tam zatrzymywali... Kolor gór i okolic dotychczas niespotykany, nie wiemy czy to piasek, czy śnieg? Pstrykamy...





Niedługo później jesteśmy nad Karakul lake. To pięknie położone jezioro w górach jest płąną atrakcją turystyczną, poza widokami nieoferującą niczego w zamian. Leży na 3600 m np. m i otoczone jest zaśnieżonymi szczytami. Dlatego odjeżdżamy kawałek dalej i wpatrujemy się w odbicie siedmiotysięcznika Muztagh-ata w kryształowej toni jeziora.



Plącząc się po okolicznych piargach trafiam jeszcze takie ujęcie. W tle pasmo ze wspomnianym już siedmiotysięcznikiem– Kongur Shan.

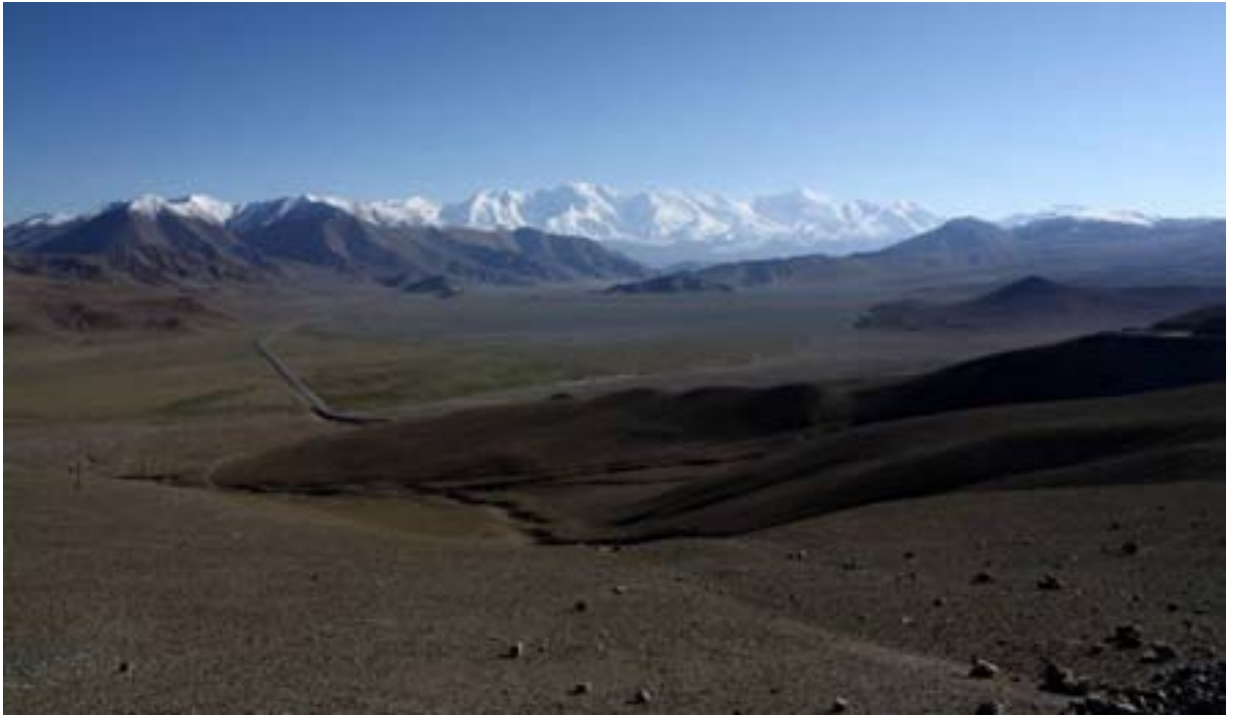


Od teraz autobus pnie się ciągle w górę, aż osiąga Subash plateau z 4100m przełęczą tuż u podnóża Muztagh-Ata. Poprzecinana lodowcami olbrzymia góra wznosi się nad nami jeszcze 3400 metrów i nie wygląda na jeden z najłatwiejszych siedmiotysięczników.



Widoki nas przygniatają, sponsor wykorzystuje okazje i wskazujemy w organizacyjne koszulki i strzelamy sponsorską fotę.





Humor nieco psuje nam widok bazy alpinistycznej pod Muztagh-Atą – rząd jurt jest odlany z betonu. Chińczycy za nic mają sobie tradycję...



Zjeżdżamy w dolinę i dalej podążamy drogą na Kunjerab Pass do Pakistanu. Po południu dojeżdżamy do Tashkurgan, mijając po drodze odjazd do Tadżykistanu - za kilka dni będziemy za tym pasmem górskim Pamirów.

Po południu lądujemy w Taskurgan, miasteczku na końcu świata, otoczonym ze wszystkich stron górami i granicami obcych państw skąd krok już tylko do Pakistanu, Afganistanu i Indii.

Leży ono w autonomicznym regionie tadżyckim (Tajik Autonomous County) po ujgursku się pisze tak: **رغان و تاشق**. A po chińsku tak: **塔什库尔干** a po naszymu oznacza Kamienną Fortecę. Miasto to przez stulecia pełniło ważną rolę na Jedwabnym Szlaku, oraz pełniło strategiczną rolę jako przedsiónek Chin.

Samo miasteczko niczym specjalnym nie imponuje. Ma jedno skrzyżowanie asfaltowych dróg, na latarniach propagandowe szczekaczki zagłuszają ciszę górskiej przyrody.



Ograniczyliśmy się do spaceru po ulicach i ścisłym centrum oraz podglądaniu życia Tadżyków.

Rozśmieszały przepisywane nieudolnie angielskie słowa na budynkach. „Spuer Markep” czy „posto f china” raczej nikomu tu nie przeszkadzało.

Myślałem przez chwilę, że kupię sobie jakieś wyjściowe ubranie, ale jakoś nic mi nie podeszło...



Po obiedzie w lokalnej knajpie udajemy się do starej części miasta, nad którym góruje średniowieczna twierdza. W praktyce to kupa kamieni, mająca jednak jedną ogromną zaletę. Była okropnie fotogeniczna.



To, co jednak ujrzelśmy z jej szczytu, wprawiło nas w zachwyt i uwielbienie dla tego miejsca. Niskie popołudniowe słońce, rzucało długie cienie w zieloną dolinę, upstrzoną białymi kwiatami jurt i przeciętą błękitną wstęgą rzeki. Dolinę zamykała ściana płomiennych i surowych gór, na których pewnie nie stanęła jeszcze ludzka stopa...





Oniemiali powróciliśmy do hotelu, typowo chińskiego i o zdecydowanie za wysokim standardzie, jak na ten, do którego przywykliśmy w Kirgizji. Wieczór dopełnił się kilkoma partyjkami brydża, w którym, nie chwając się, powieźliśmy przeciwników hmm, na dużo punktów.





19 sierpnia, Tashkurgan – Kashgar (250km)

Właściwie spędziliśmy cały dzień w autobusie, tą samą drogą (innej nie ma) i na wczesne popołudnie wróciliśmy do Kaszgaru. Tutaj jeszcze zdążyliśmy zjeść obiad w znajomej westernerskiej knajpie (ceny też raczej zachodnie) Przemek postanowił również uzupełnić trochę relację na www.variant-adventure.pl



Znalazła się też chwilka, aby zaznajomić się z chińskim Internetem i napisać kilka słów na naszym forum.



YYY!,

Meldujemy się!

Obiecałem sobie że będę twardszy niż własna kupa, ale niestety się nie udaje. Więc od razu ostrzegam, że długość mojej relacji jest wprost proporcjonalna do ciśnienia wytwarzanego... no wiecie czym.

Faktycznie, jesteśmy w Kitaju. Faktycznie motorki przejechały się po Chinach 4 km zanim nam je zamknęli na składzie celnym. Z powodów takich, że Ujgurzy chcą niezależności. Ponieważ aby korzystać z Internetu trzeba było podać nr paszportu pozwolicie ze chwilowo przemilczę ten aspekt. Co maja do ataków ujgurskich na chińczyków turyści to nie wiem, nie widać żadnego wojska, policji, parę checkpostów z uzbrojonymi chińczykami i tyle. Żadnego, ale to żadnego powodu, dla którego nie mielibyśmy sobie tu jeździć na naszych sprzętach. Ale trudno. Nie żałuję (w przeciwieństwie do Marcina) wjazdu do Chin w charakterze turysty autobusowego, choć bezsprzeczne bym wolał na kolach. Wspomniane KKH (Karakoram Highway) to cudowny asfalcik (300 km) równy jak stół, z Kaszgaru do Tashkhurgan, przebiegający dnem głębokiej doliny, z formami skalnym powalającymi na kolana. A żeby wszystkiemu dodać klimatu bajkowego - z piachu i kamieni surowej ziemi wyrastają ośnieżone siedmiotysięczniki z ogromnymi jezorami lodowców - Muztagh Ata(7400) oraz Kongur (7500) No, naprawdę robią wrażenie, zwłaszcza, że załapaliśmy się na bezchmurna i bezwietrzna pogodę...

Zwieńczenie dnia w Tashkurganie to wizyta na resztkach średniowiecznego fortu z którego rozciąga się widok na cała zielona dolinę, poprzecinaną wstążkami lodowcowych potoków i

upstrzona jurta Tadżyków (bo to ich region autonomiczny). Wszystko w promieniach zachodzącego słońca na długo pozostanie w mojej pamięci.

Wracając do Kaszgaru, klimat tego sporego miasta, leżącego na rozwidleniu Jedwabnego szlaku jest niesamowity. Istny tygiel. 90% mieszkańców to Ujgurzy, nawet nie wyglądają na chińczyków - w dodatku wyznają islam. Choć to naród kupiecki, od wieków zajmujący się handlem, nie czuje się tej nieznośnej nachalności towarzyszącej mi przy spacero-zakupach po stambulskim Grand Bazaar. Zakupy i targi to czysta przyjemność, na ogół osiąga się 30% (lub mniej) ceny otwarcia. Trzeba oczywiście dać raz ciała, żeby się nauczyć - ale i tak warto. Żarcie, - głównie baraninka w różnych wersjach - od szaszłyków po nadziewane pierogi w lekkim rosółku z jarzynami, Lagman (czyli spaghetti po ujugursku), pilaw - ryz gotowany z marchewką, no i różne wynalazki na żywych skorpionach kończąc, sprzedawane są prosto z ulicy na chodnikowych grillach, wokach i innych bardziej lub mniej obwoźnych pojazdach. Żarcie wyłącznie dla twardych - do których ciągle się zaliczam, mimo wspomnianej na początku postu konsystencji kupy. Ceny wszystkiego - śmieszne - benzyna poniżej dolara, obiad (z ulicy) dla dwójki od 5 -20 juanów- (0.8- 3 dolarów) Coca Cola 3j, woda 2-3j, chleb (taki placek) -1 juan. Żarcie w wypasionej restauracji dla westenersów 150 juanów za 4 osoby- 20 dol.

Jutro się już stąd zwijamy - przed nami droga powrotna na granice z Kirgizją - Irkeshtam. Stamtąd najgorsza droga świata, jaka w życiu jechałem - szutrówka rozpierniczona w iment przez chińskie i kirgiskie ciężarówki... To nawet nie jest offroad, bo zapierniczać się nie da, pełno dużych o ostrych kamieni i dziur, słabo mi na myśl o powrocie. No, ale innej drogi nie ma. Od Sary Tash i zatankowaniu z butelek (nic się nie zmieniło) walimy pod Pik Lenina aby sprawdzić czy nasza studencka ekipa afrykańska zaliczyła już ten szczyt. Tam pewnie sprzedamy im Jojnę - który - odeskortuje Agnieszkę na samolot do domu. (musi wrócić wcześniej) To, że Jojna jest niepiśmienny, zauważyliście pewnie parę postów temu, za co i tak dostanie w ryj, więc zdradzę Wam jego tajny plan jakim jest powrót na kolach do Polski. Zatem spodziewajcie się go pod koniec miesiąca..

Reszta ekipy zaatakuje z Sary Tash Pamir Highway ze jego 4600 m przełęczą. Pamir jest cały w śniegu, Magnusy pisza o zadymkach śnieżnych więc chyba w końcu dostaniemy w d...

No to trzymajcie się. Następną relację pewnie najwcześniej z Osh koło 25 sierpnia.

Na zakończenie dnia zostaliśmy zaproszeni na *full* wypas mega kolację przez właściciela



biura turystycznego, który chciał nam jakoś wynagrodzić niemożność pojechania na motocyklach na pustynię Taklamakan. W końcu cała nasza kasa poszła na unieważniony permit, a reszta na tę czterodniową wycieczkę, która właśnie dobiegała końca. Trzeba przyznać, że facet zachował się, obiad był naprawdę wykwintny, obfitujący we wszelakie dobra, których nazw nie potrafię nawet wymówić. Z tego, co rozpoznałem – to była kaczka po pekińsku, w wyśmienitych placuszkach

sułtańskich. Upieczone kaczki sprawiali panowie w maseczkach na twarzy i rękawiczkach chirurgicznych.

Kawałeczki lądowały w miseczki na obrotowym stole, gdzie pomieszenie z różną zielenią, sosem Hoisin i zawinięte we wspomniane naleśniki, znikają pochłonięte przez nasze żołądki. Pychota! Po stole kręciły się całe mnóstwa dodatków, różnych noodli, sałatek wędlin i pieczonych mięs. W okolicach końca wjechała też duszona ryba. Na moje oko – leszcz. Ryba raczej podła, ale za to ładnie podana.



Na koniec wykazałem się nie lada odwagą – zjadłem sławetne chińskie zgniłe jajo.



Jakie ono było, to zostawię tą wiedzę dla siebie – jak będziecie – spróbujcie sobie sami!
O dziewczętach teraz będzie. Dzieci do spania!

Wybraliśmy się na chiński masaż stóp. Znaczący zostaliśmy zabrani, więc nie zdążyliśmy się pozbyć naszych kobiet. Siedliśmy sobie rzędem na fotelach w pokoju hotelowym, a tu jak na komendę wchodzi siedem chińskich lasek. Identycznych. No może dla nas. Każda się przedstawiła w następujący sposób:

- *Dobry wieczór* –wydeklamowała po chińsku - *mój numer to 253, jestem masażystką i jestem do pańskich usług.*

No po takim tekście, też chciałem coś powiedzieć o numerkach, ale się trochę bałem, więc tylko dumnie się uśmiechnąłem i zrobiłem zdjęcia, żebyście uwierzyli.



Potem kazały się rozbierać i smyrały nas włosami tu i ówdzie, aż nas prądy jakieś dziwne przechodziły, no znały się na tym... ech...

Wychodzi na to, że chiński masaż stóp jest ściemą wracających z delegacji facetów...

20 sierpnia, Kashgar – Pik Lenina (Kirgizja), Base Camp(250+162km)

Po ciemku jeszcze zebraliśmy się na recepcji naszego hotelu. Zasady są takie, że zanim wyjdiesz przez drzwi, obsługa dokładnie sprawdzi „straty” w pokoju. Zatem nie wystarczy powiedzieć, co się skonsumowało z mini baru, recepcjonistki zresztą nie mówiły ani słowa po angielsku. Zatem nasz TW Ujgur, po kolei informował nas, co żeśmy zużyli, a co zabrudzili, w sposób uniemożliwiający powtórne użycie. Podnieśliśmy sobie nieco ciśnienie, płacąc za brudny ręcznik czy prześcieradło, chcąc już mieć to za sobą uregulowaliśmy rachunki i wskoczyliśmy do busa. Przed nami 5-cio godzinna podróż na granicę z Kirgizją, gdzie oczekiwały na nas nasze sprzęty. Te 4 dni bez naszych dwóch kółek, wypościły się nas wystarczająco mocno, byśmy bez

żalu opuszczali Chiny. Co innego gdybyśmy poruszali się tu sami, ale w tej sytuacji te 4 dni to było maksimum naszej wytrzymałości. Smutna jest też ta ciągła kontrola naszych opiekunów nad tym, co robimy i gdzie jesteśmy. Zaskakujące sytuacje „przypadkowych” spotkań z kawiarenkach internetowych w cztero milionowym mieście świadczą chyba same za siebie o totalitarnym charakterze tego państwa.

Podróż minęła nam dość szybko, w okolicach południa byliśmy z powrotem w Irkeshtam. Cała cyrkowa procedura odprawy miała miejsce ponownie, tyle że w kolejności odwrotnej niż podczas wjazdu. Znow o dziwo z naszego tłumu wyłowiony został Przemek, i poddany nieco bardziej szczegółowej kontroli, wraz z przeglądaniem zawartości komputera i zdjęć w aparacie. Przypadek, prawda?

Po odprawie z drżącymi sercami ruszyliśmy w kierunku hali, gdzie stały nasze sprzęty. W milczeniu,

przyspieszaliśmy kroku, wyciągając szyję by pierwsi zobaczyć czy mamy, po co wracać. Już nie kamień z serca a łomot skalnej lawiny będzie najlepiej opisywał wielkość naszej ulgi gdy zobaczyliśmy nasze sprzęty tak jak je zostawiliśmy. Wszystko się zgadzało, nic nie zginęło, najwyżej robotnicy siadali i robili sobie zdjęcia, co ostatecznie możemy im darować. To przecież błahostka, w porównaniu z opcją otwarcia fabryk Afryk w Chinach, opartych na rozebranych 5ciu prototypach z Polski... Zdolność tej nacji do kopiowanie wszystkiego jak leci, powodowała, iż jeszcze w autobusie z Kaszgaru na granicę zakładaliśmy się, czy nie zobaczymy jakiejś wiernej kopii HRC pędzącej po szosach Xingjangu.

Pakujemy sprzęty i przejeżdżamy do znanego już nam postu kirgiskiego.



Na granicy kirgiskiej mamy mały przestój, w czasie którego zaznajamiam się z koleśkiem ważącym chińskie TIRY z towarem. Jeden po drugim wjeżdżają na wagę towarową i uiszczają łapówkę za przekroczenie wagi. Np. w naturze, ręczną pompką ściągają mu 20 litrów ropy do

agregatu obsługującego post. Rzykuję łapówkę za przeładowanie i pytam czy też możemy się zważyć.

- *Dawajcie*- mówi – więc nie czekając jak się rozmyśli, odpalam i pakuję się na płytę. Zaraz po mnie Jojna.

- *Wy – 400, Wasz drug, 420 kg* - poinformował

No ładnie, mam dokładnie cały bagaż, plus przytroczone ciuchy Irmy, ważymy 460 kilo i to mamy góra pół baku. I przed nami wyrypiasta droga powrotna do Sary tash, która tak dała nam w dupę, że Irma zapobiegliwie zasiadła w Patrolu z Gizmem. I ma rację, też bym się przesiadł, gdyby nie czterodniowy motocyklowy post. Ponownie jesteśmy podnieceni perspektywą jazdy i wkrótce po kontroli sanitarnej i epidemiologicznej u *naczalnowo wracza* jesteśmy wolni! Piękna pogoda, biały Pamir po lewej i nitka wijącej się drogi przed nami poprawia nam humory.

Przed nami znany już nam odcinek do Sary Tash a za nim, około stówy do bazy pod Pikiem Lenina – najwyższej góry niegdysiejszego związku radzieckiego. Tam właśnie planujemy nocleg i spróbujemy dowiedzieć się coś o losie naszego formowego przyjaciela- Adama, który na Afryce przyjechał tu aż z Polski by zdobyć ten pierwszy z siedmiotysięczników. Nasza samochodowa ekipa wiozła za nim dodatkowy sprzęt wysokogórski, który nie zmieścił mu się już na motorze. Jojna podał mu go nad Song Kulem i tyle go widzieliśmy.

Na razie jednak przyjdzie się zmierzyć ze wspomnianymi wybojami autostrady międzynarodowej.



Kluczem do powrotu jest zjechać z niej zaraz za ostatnim postem kirgiskim (na końcu asfaltu) w prawo na ziemną drogę. Takie objazdy wytyczone na nowo przez ciężarówki i inne pojazdy omijają zniszczoną kamienistą drogę i łąką zakładają nowy trakt, objeżdżając wzgórza i pagórki zupełnie inną drogą. Jadąc w drugą stronę, nie zjechałem na taki objazd, ponieważ wyglądało że wjeżdża w inną dolinę, okazał się jednak, że prowadził sobie żółto zielonymi łąkami, i jeśli nie był krótszy to na pewno równiejszy.



Jechałem dodatkowo bez Army, miałem możliwość jazdy na stojąco i łatwiejszego manewrowania, motocykl prowadził się zupełnie inaczej, nie dobijał na dziurach i jechał zupełnie dobrze. Makabryczna droga zmieniła się w przyjemną przejażdżkę w samo południe. Po 1,5h z bananami na twarzy byliśmy w Sary Tash. Wszystkim świetnie się jechało, nikt nie zauważył żadnych dramatycznych dziur czy utrudnień. To, o co chodziło?

Tutaj nasz Prezes oddziela się od nas i swoimi ścieżkami będzie podążał dalej. Wjedzie do Tadżykistanu już dziś, a potem przez trzy morza – Aralskie, Kaspijskie i Czarne wróci do Polski.



Tradycyjnie tankowanie i zakupy w Sary Tash, i podążamy dalej drogą wzdłuż pasma pamińskiego. Do bazy pod Pikiem jest 100km, z czego najbliższe 60 prostą drogą asfaltowo szutrową. Faktycznie najbliższe 60 km to dziurawy asfalt, dość kiepski, trzeba uważać, ale bez



przesady, po drodze jest kilka małych wiosek, klasyczne zdupia, bez żadnego zaplecza, więc trzeba być przygotowanym i samodzielnym. Rozciągnęliśmy się nieprzyzwoicie, bo dzipy szukały ropy w Sary Tash, potem lali ją przez sitko, a na koniec gdzieś jeszcze *obiedali*, więc skończyło się to czekaniem na nich 2h na moście na rozjeździe pod Pik Lenina.

Okazuje się, że z tego miejsca jest około 40km do widocznych jak na dłoni gór. Niesamowite

jak czyste jest tutaj powietrze, wydaje się, że są na wyciągnięcie dłoni, a tu do nich jeszcze dwu godzinna wyprawa...



W dodatku szlak rozdziela się już na starcie 3 razy i bardzo łatwo się pomylić. Można jechać wszędzie, bo zielone pagórkowate łąki są równe jak stół. To raj offroadowy, tak tylko do czystej zabawy, na pusto i solo. Szkoda że nigdy nie ma się czasu...

Zrobiła się już 5 po południu jak w końcu zjechaliśmy się do kupy. Sambor za przewodnika wziął Kirgizkę, która z podwiezienie do swojej jurty obiecała poprowadzić pod bazę.

Jazda w popołudniowym słońcu, wprost na biały Pamir, z cudownie oświetlonymi górami za plecami, zielonożółtymi łąkami na zawsze zostanie mi w pamięci. To jeden z najpiękniejszych dni spędzonych w Kirgizji.





Szutrowka na dwa koła wiła się pomiędzy pagórkami, tak że po paru minutach jazdy wszyscy potraciliśmy się z oczu. Cały czas jechałem na ślady TKC odbite na ziemi lub piasku, nie mogąc uwierzyć w piękno otaczającego krajobrazu. Sielankową drogę przerwał nam jednak bród. To potok z roztopiającego się lodowca, w kolorze kawy z mlekiem. Tutaj dogoniłem Jojnę, który właśnie zamierzał przepłynąć się, instruowany z drugiego brzegu. Jojna – najlepszy z nas jeździec - instrukcji posłuchał i wrąbał się w najgłębsze koryto rwącego nurtu. Prząd jeszcze jakoś przeskoczył, ale tył utknął.

JEEEB!

Afryka weszła z kuframi pod wodę, i siła napierającej wody przewróciła motocykl na bok.





Max coś strasznie się awanturował, na nasze „polskie” pokonywanie potoku, na bo my, to kawałek powoli, ale potem zaraz Dzida! To kłóciło się z jego amerykańskim 30 letnim doświadczeniem pokonywania brodów, czego nie omieszkał skwitować przekleństwami na „F” Mało nas to obchodziło, bo przecież chcieliśmy mieć fajne zdjęcia z wodowania kolegi. To już doprowadziło Maxa do białej gorączki, nie mógł wyobrazić sobie, że nie stoimy rzędem w rzece i nie pomagamy sobie przejechać. Ale mieliśmy go już serdecznie dość, on nas chyba też. Na złość kolejno przejeżdżamy „na dzidę”.



Za potokiem znajdowała się już jurta naszej Kirgizki, która załapała się ma dwudziesto kilometrową przejażdżkę Afryką. W rewanżu zaproponowała nocleg, na co oczywiście nie przystaliśmy, za to objealiśmy ją z chleba maczanego w gęstym jogurcie. Miodzio!



Za nami pogoda wyraźnie się psuła, co tylko dodawało urody pięknemu już i tak krajobrazowi. Zaciągnięte czarnymi chmurami niebo na północnym wschodzie – podświetlone zachodzącym słońcem i wzmagający się wiatr był sygnałem do odjazdu.



Przed nami, na wyciągnięcie ręki otwierał się widok na masyw piku Lenina.



Kirgizka wskazała kierunek na czerwonawą górę i zaczęliśmy kombinować jak do niej dojechać. Dróg było kilka i znów nie wiadomo było, na którą się kierować, więc na siagę, przez pagórki jechaliśmy w kierunku wskazanej czerwonej góry. U jej stóp znajdowała się wyraźnie główniejsza droga, wjeżdżająca w dolinę zamkniętą olbrzymim masywem gór i wiecznego śniegu.



Kolejne kilka kilometrów wspinaczki w wjeżdżamy do rozległego kotła w dolinie, upstrzonego namiotami, jurtami i kilkoma budynkami. Zachodzące słońce odbija się w jeziorze, podczas gdy my szukamy miejsca na obóz.



Dojeżdżamy do samego końca rozległego obozowiska, zerkając czy nie zobaczymy gdzieś Afryki Adama. Ponieważ się ściemnia zatrzymujemy się przy jurcie turystycznej, gdzie część z nas decyduje się nocować. Reanimujemy też Joję, który po lodowatej kąpieli z Afryką jest przemarznięty do szpiku kości. Bez gadania przysysa się do piersiówki 80% rumu Stroh, którą wozilem na czarnej godzinie, a jeśli taka nie nadchodziła, podpijałem z niej

wieczorami zdrowie Pastora. Dziś w ramach czarnej godziny podratował się nią Jojna. Jest zimno i wieje, pakujemy się do jurty, gotujemy jakiegoś viet-conga zagryzamy chlebem, zapijamy koniakiem i zaszywamy się w rozkosznie ciepłych śpiworkach.



21 Sierpnia, Pik Lenina– granica tadżycka (116 km)

Budzi nas przepiękne słońce, błękit nieba i ostry jak żyłeta majestatyczny Pik Lenina



Wyskakujemy z namiotów i jurt i napawamy się widokiem potwornej masy śnieżnej, jaka roztacza nad nami masyw Piku Lenina. 7134 m n.p.m. robi piorunujące wrażenie.



Mrużymy oczy chcąc wypatrzeć maleńkie postacie schodzących z grani... Ida jacyś! Okazuje się, że alpinści ukraińscy.

- *Da, Da, Paljaki* – odpoczywają w drugim obozie, mają dziś schodzić – informują nas. Jeden zdobył z nimi szczyt! Brawo! Cieszymy się wraz z nimi i gratulujemy sukcesu! Zatem chłopaki będą dziś na dole! Są też złe informacje. Adam odmroził palec u nogi. Na szczycie było -20 stopni Celsjusza.



Szybko analizujemy nasz dzisiejszy plan. Musimy już liczyć dni do końca wyprawy, trzeba już jakoś zaplanować powrót, mieć czas na spakowanie Afryk i nie spóźnić się na samolot. Raczej nie poczeka. Sytuację komplikuje brak wiz powrotnych przez Rosję dla chłopaków z Patroli, których ambasada rosyjska nie chciała nam wydać. Mamy rzekomo bez problemu dostać je w Almaty. Jeszcze nie wiemy, że Polska włączyła się w aktywnie w międzynarodowy spór o Ostetię Południową w konflikcie rosyjsko-gruzyńskim i Polacy nie będą najmilej widzianymi gośćmi w ambasadzie Rosji.



Dziś, spod Piku chcemy jednak wjechać do Tadžykistanu, przekroczyć granicę i spać gdzieś w górach Pamiru, poniżej postu. Potem 3 dni kręcimy się po bezdrożach trójkąta pomiędzy Chinami, Afganistanem i rozpoczynamy odwrót. Dziś przed nami pół dnia jazdy. Do 14 możemy zaczekać na chłopaków. Teraz suszymy Jojnę, którego zanurzony całkowicie pod wodą kufer nabrał wody i zmoczył swoją zawartość.

Zaliczamy przyjemne śniadanko z kurczących się dramatycznie zapasów z dna kufra w pięknych okolicznościach przyrody. W tej sielance zastanawiamy się, co zrobić z tak pięknie rozpoczętym dzionkiem. Spróbujecie zgadnąć? Dla odmiany postanowiliśmy pojeździć na motocyklach. Plan opierał się na naiwnej nadziei dotarcia motocyklami do bazy pierwszej, wzięcia chłopaków lub chociaż ich betów, i zwiezienia ich do Base Camp. W tym celu nie bierzemy żadnego bagażu ani pasażerów i na lekko wyrywamy ostro pod górę. Dwa kilometry drogi prowadzącej kamienistą ścieżką kończą się raptownie kilkuset metrowym osuwiskiem, którego dno żłobi lodowcowy potok.

Dalej biegnie ostro w górę stroma pieszka ścieżka, niepozostawiająca wątpliwości, że dalej to droga już nie dla nas.

Mimo iż PIK jest jednym z najłatwiejszych siedmiotysięczników i rokrocznie przyciąga rzesze wspinaczy cieszy się także złą sławą.

W 1974 cała rosyjska wyprawa kobieca (osiem osób) zmarła w obozie na wysokości 7000 m n.p.m. z powodu nagłego pogorszenia pogody.

W 1990 roku 43 wspinaczy zginęło w lawinie, która była spowodowana trzęsieniem ziemi.

Decydujemy się jeszcze na pieszkie wejście kilkuset metrów w górę, aby za pierwszym garbem mieć lepszy widok na naszych schodzących bohaterów.

- Łooo Jezu- westchnąłem po paru krokach w górę. Jednak wysokość prawie 4 tys metrów robi swoje, krótki oddech, wysokie tętno, serce bije w tempie biegacza maratonu, aby napompować



wystarczającą ilość ubogiej w tlen krwi. Stajemy co kilka kroków, żeby zaczerpnąć tchu. W końcu docieramy na pierwszą grani padamy na trawę. Wystarczy tej wspinaczki na dziś. Zatrzymujemy się, więc i podziwiamy bajkowe kształty i kolory okolicy.



Nie możemy też darować sobie kilku lansiarskich sesji fotograficznych „zdobywców”.



Widzimy przed sobą kawał doliny w kierunku piku, jak i całą bazę i otwierającą się dalej dolinę Alajską. Aż po majaczące na horyzoncie masywy Tien Szanu

Pogoda niestety szybko się zmieniała, Pik zniknął w chmurach, lodowiec złowieszczo zerka spod czapy chmur. Przepuszczamy kilku schodzących alpinistów, niestety żaden z nich to nie nasi. Siedzimy do południa i rezygnujemy. Zjeżdżamy zwijać obóz.



Nie tylko my, jak się okazuje, zwijamy obozowisko. Jest koniec sierpnia, to koniec sezonu wspinaczkowego na Pika. Nikt już nie wychodzi z bazy, pozostali nieliczni wspinacze właśnie schodzą, kończy się biznes dla obsługi bazy. Zwijane są jurty na zimę. Namioty straszą pustką.

My też pakujemy sprzęty, ciągle zerkając czy ktoś nie schodzi z gór. Jakże miło było by się spotkać... W międzyczasie namierzamy Afrykę Adama. Stoi kilkaset metrów stąd, w drewnianej szopie przy stałej bazie. O 14 wiemy już, że nici ze spotkania, trzeba jechać. Zostawiamy chłopakom na siedzeniu Afryki piersiówkę z resztą pastorowego Stroha, z dedykacją i gratulacjami, oraz naklejką PL zdjętą z kufra.

Jazda! Wspaniała droga powrotna, nie zawiodła nas i tym razem. Nigdzie nie zbaczając jechaliśmy nitką wyglądającą na główną drogę. Tradycyjnie nieco niższa woda potoków z roztopiającego się lodowca tym razem nie stanowiła już problemów przeprawowych, pokonujemy je z buta.





Mijamy ciekawostki z życia codziennego jak na przykład wieloosobową rodzinę podróżującą UAZem, czy dojenie kobyły na kumyz.



Po godzinie z okładem docieramy do asfaltu wiodącego dnem doliny Alajskiej. Umawiamy się w Sary Tash i nasza kawalkada rozciąga się na przestrzeni wielu kilometrów. Znam drogę, więc zasuwam ile wlezie, znaczy 70, bo więcej się boję po szutrach i dziurawym asfalcie. Znowu mija godzinka i ląduję w Sarytash. Dolewam z butelek do baku, tutejsza 80ka jest niczego sobie, silnik nie okazuje niezadowolenia z tego paliwa, praktycznie zero stuków zaworów, czy ubytku mocy. A może się już odzwyczailiśmy. Za rok będzie tu już normalna stacja benzynowa z 93ką. Teren już zryty, a zbiorniki wkopywane. Mija pewna era...

Uzupełniam też zapas koniaku, paru konserw i wody. Udaje mi się przekonać „restauratorkę” ze znajomego lokalu o sprzedaży mi 10 chlebowych placków. Podzielę się z ekipą, choć to trochę mało jak na 14 luda.

Powoli dojeżdżają kolejni. Za chwile musimy pożegnać już Jójnę z Agnieszką, która musi już wracać do pracy, Maxa, który nie ma wizy tadżyckiej ani rosyjskiej ani w ogóle żadnej, a w dodatku ma plan jechać do Mongolii a potem jakoś dalej do Tajlandii. Nie zna też rosyjskiego, i chyba też nie do końca orientuje się gdzie te kraje leżą. Amerykański dyletant. Notabene utknął oczywiście w Almaty nie wiadomo na jak długo i jakoś wrócił do swojego Idaho.

Tak czy inaczej strzeliliśmy ze wszystkimi misia i już mieliśmy jechać, ale okazało się, że nie ma kierownika. Okazało się, że Sambor złapał gumę 25 km wcześniej, o czym poinformował nas Qsma, który zamykał stawkę. Jako, że to ja byłem narzędziowym tym razem, bez zbędnych ceregieli ustaliliśmy, że jadę z odsieczą a reszta czeka na granicy kirgiskiej. Równiutko na 25km stała już rozbebeszona Afri, ściągnięte tylne koło – wszystko gotowe. Wyciągam łyżki i zestaw do klejenia. Przyszła kryska na Matyska, stare przysłowie Sambora, że gumy łapią tylko ci, co je umieją zmieniać, okazało się najprawdziwsze z prawdziwych. Raz, raz raz, opona spadła z felgi i po chwili kleimy dętkę. Pompowanie rowerową pompką zajęło nam całą wieczność – wyliczyliśmy, że aby



wbić dwie atmosfery trzeba machnąć około 1000 razy. Klniemy zmieniając się, z niepokojem obserwuję gumową uszczelkę pompki, niszczącą się o wentyl. Nie jest raczej przystosowana do takiego traktowania. Po godzinie nareszcie jedziemy.

Słońce jest już tuż nad górami, kiedy skręcamy z głównej na prosta jak strzała drogę prowadzącą wprost w Pamir. Droga przecina w poprzek dolinę Alajską i prowadzi do przejścia granicznego kirgiskiego. Zostało 16 km.



JEEEEEEB!

U Sambora znów kapeć z tyłu. Nie no, co jest! Cóż pech! Przejechaliśmy tylko 30km!



Znaleźliśmy przecież gwoździa w oponie i wyciągnęliśmy go... Sambor ściąga koło a ja lecę na granicę po kompresor od Patrola. Nie ryzykuje rozpadu pompki w tej dziczy i to po nocy... Za szarówki dolatuję do granicy, gdzie czeka na nas reszta ekipy, już odprawiona, po drugiej stronie płotu. Przez siatkę dają mi kompresor, obiecują szukać spania gdzieś niedaleko za przejściem. Wracam 8 km. Sambor jest już ekspertem od wymiany opon. Dętka leży już obok koła – bez śladu łątki!!! Biorę do ręki nową i zaczynam rozumieć. Przykleiłem łątkę odwrotną stroną i się nie zwulkanizowała!!! Idiota, głupio mi potwornie. Chyba się nawet nie przyznałem, i zwałem na wszystko na przedatowany klej... Zakładamy już zapasową dętkę, tą się zajmujemy, na postoju. Na granicy dojeżdżamy już po ciemku. Formalności nie trwają długo, ale przenikliwie zimno Pamiru i lodowaty wiatr dają się nam we znaki. Paszporty, pieczętki i po 20 minutach napieramy w ciemność w głąb nieprzyjaznych gór.

Ogromne wyrwy w drodze są całkowicie niewidoczne w ciemności, dobrze że obstawione przez kamienie. Ostatnia rzecz jaką bym chciał zaliczyć po ciemku, to taka dziura. Trzy dni później tak wyglądała:



Nagle widać migotanie Petzli. To już nasz stały znak rozpoznawczy. U podnóża góry mający maleńkie obozowisko. 3 Patrole, 4 Afryki, namioty. Jesteśmy na miejscu! Zimno i straszno. Jesteśmy gdzieś „nigdzie” pomiędzy granicami, na pasie ziemi niczyjej Kirgizji i Tadżykistanu. Po ciemku rozbijamy namiot, gotujemy późną kolację, koniak znika podawany z ręki do ręki. Nad głowami szumi

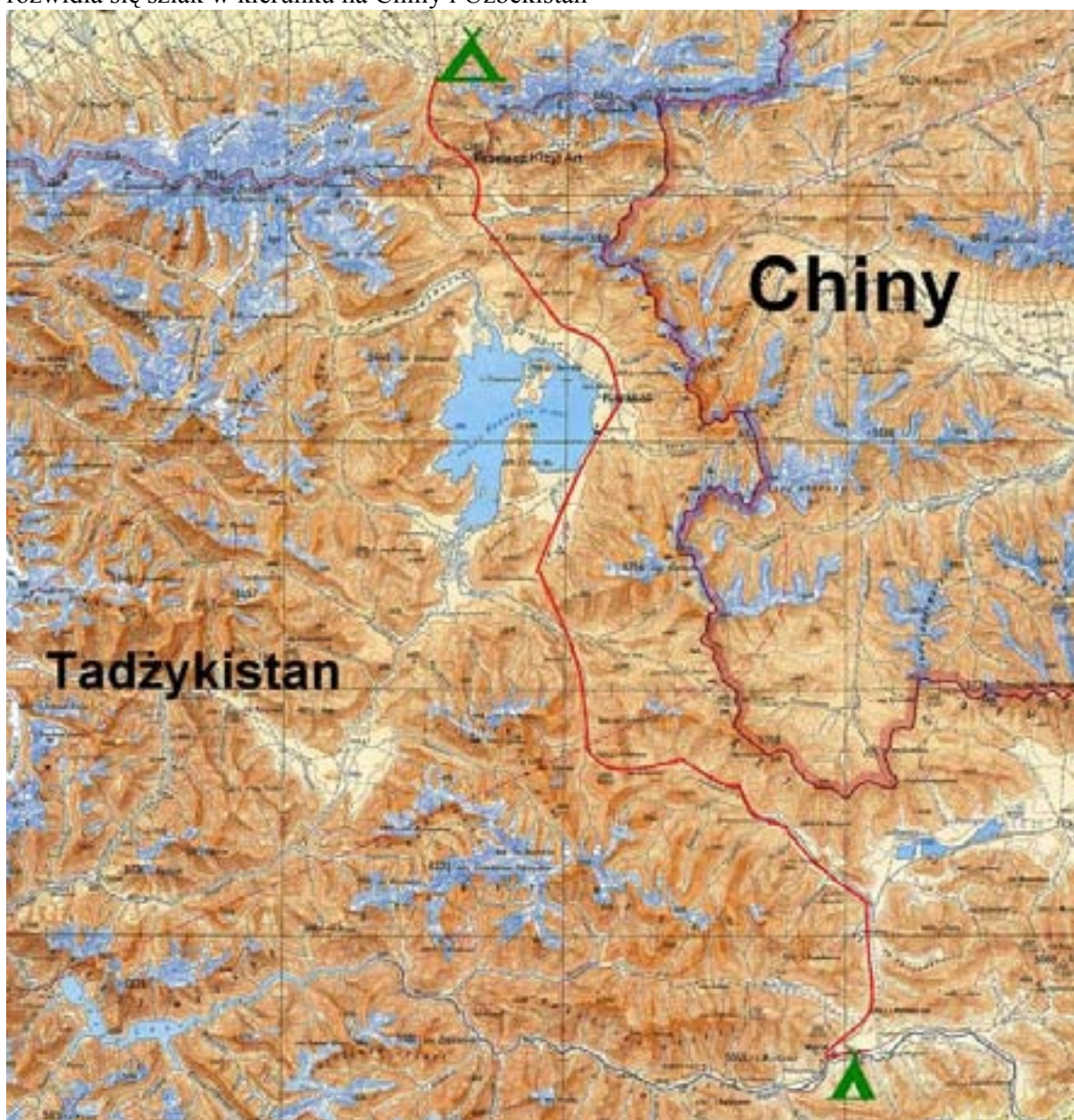
zimny wichur. Przytulamy się w spiętych razem w puchowych śpiworach. Dobrze, że mamy siebie.



Tadżykistan

22 sierpnia, Granica tadżycka- Murgab, Tadżykistan (217 km)

Nasz plan na dzisiaj to ok. 250km do miejscowości Murgab leżącej nad rzeką Murgab, gdzie rozwidła się szlak w kierunku na Chiny i Uzbekistan



Przed nami wspinaczka na przełęcz graniczną z postem tadżyckim, raptem kilkanaście kilometrów, ale do pokonania przełęcz Kizyl Art pass, bagatela, 4280m npm. I to wszystko w temperaturze ujemnej.

Zimna nocka wygnała nas z namiotów bladym świtem, po szóstej. Świat wkoło, okoliczne góry i łąka u naszych stóp okryta była białym szronem. Podobnie jak motocykl i płachta tropiku namiotu. Mamy nadzieję, iż wraz ze wschodem słońca, nieco się ociepli. Na razie wkładamy wszystko, co mamy na siebie i po kawie zagryzionej chlebem wjeżdżamy z powrotem na główną drogę. To oczywiście bita szutrówka pnąca się zakosami pod górę.



Cały czas jedziemy w cieniu gór, więc temperatura się nie podnosi, w stopy zimno, dłonie, mimo



grzanych manetek, też z wierzchu zziębnięte. Nie ma się co dziwić, lód cienką warstwą skuwa kałuże.



To trudny teren, nękanymy ciągłymi trzęsieniami ziemi – stąd osuwiska i lawiny to zjawisko częste tutaj. Po naszej drodze też coś „zjechało”, ale inne coś na szczęście przejechało i wyrównało przed nami.



W końcu, wraz ze wchodzącym słońcem, wynurzamy się z cienia i wjeżdżamy na spektakularną przełęcz wyraźnie już oznaczającą gdzie jesteśmy – przed nami w dole rozciąga się wypełniona



porannym słońcem dolina wjazdowa do Tadżykistanu. Czerwone skały, kontrastują z czerwonymi i szarymi – kolory z jednej strony żywe, z drugiej jednak podkreślające surowość krajobrazu. Szczyt przełęczy wieńczy słup „Tadżykistan” napisany cyrylicą, wraz z obrysem kształtu kraju i zdaje się jego symbolem – pomnikiem górskiego kozła – Marco Polo.



Oczywiście nie możemy się powstrzymać i nasz rodzimy alpinista Marcin, zalicza ten atrakcyjny punkt przełęczy.



Odpozywamy chwilę, zawsze to cieplej niejechać niżjechać. Spędzamy tu kilka miłych chwil, czekając aż okolica odtaje...



Kilkaset metrów w dół drogę zamyka zamknięty na kłódkę szlaban i widać kilka dziwnych budynków przejścia granicznego. Pogranicznicy akurat dokonują porannej ablucji za budą wyspawaną ogromnej beczki, w której mieści się między innymi punkt odpraw. Tadżykom za bardzo się do nas nie śpieszy, więc i my nieśpieszno grzejemy się w porannym słończku.



Formalności nie trwają bardzo długo, ale są trzy stopniowe. Najpierw kontrola paszportowa, potem celna i na końcu antynarkotykowa. Tadżykistan, nieposiadający wielu złóż ani innych bogactw naturalnych, oprócz bawełny, słynie również z produkcji narkotyków. Dlatego trzecia z kolei buda, to bardziej szczegółowa kontrola i rozmowy z faciem, byłym żołnierzem Specnazu, na okoliczność a po co, a dlaczego. Faceci z „antynarkotykowej” podobno, są na liście płac Unii Europejskiej, która finansuje ten trzeci post by zablokować ten uczęszczany szlak przemytniczy z Afganistanu i Tadżykistanu. Mają tu taka suczkę cocker spaniela, co tylko w zeszłym roku wykryła łącznie ponad 2 tys. kg narkotyków. Działanie suczki zademonstrował chowając paczuszkę z narkotykiem za zderzak. Znalazła. Tak czy inaczej ich buda nie różniła się bardzo od pozostałych, więc UE chyba oszczędza...

Turystów się zbytnio nie czepiają, czas upływa na pogawędce, są to rozmowy ciekawe i humorystyczne. Im imponuje fakt, że ciekawi nas ich kraj, a którego urody chyba nie są do końca świadomi. Dziwi ich, że przyjechaliśmy tu z dalekiej Polski, na motocyklach. I jeszcze ciągnemy ze sobą kobiety, niewątpliwej urody. Takiej oto rozmowy byłem świadkiem.

- *Odkuda wy przyjechali?*

- *Iz Polszy,*

- *A kuda jedziote?*

- *W Tadżykistan i nazad.*

- *A za cziom? Nie nada wam było na kanikuły w Turcji pajechat?*

Da. Nada, nada. Ale jakoś woleliśmy wybić sobie zęby na wertepach Tadżykistanu niż taplać się w ciepłym Morzu Śródziemnym i zdaje się, nie byliśmy jedyni. Zamarznięte ślady terenowych kostek motocyklowych opon są aż nazbyt dobrze widoczne. Te np. Magnusa sprzed tygodnia...



Po godzinie z okładem jesteśmy po drugiej stronie szlabanów przed nami region GBAO - Autonomiczna prowincja Gorno-Badakhshanu – jedna z czterech składających się na Tadżykistan. GBAO zamieszkują „Pamircy”. I choć należą do grupy etnicznej Tadżyków mocno różnią się pod względem językowym i kulturowym od pozostałych mieszkańców Tadżykistanu. Chociażby są wyznawcami Ismaili a nie jak większość tadżyków odłamu sunnickiego a w dodatku mówią językami bliższymi wschodnio irańskich niż tadżyckich.

My rozpoczynamy długi zjazd przełęczą w głąb skalistego pustkowia.

Jesteśmy przecież na słynnej PAMIR Highway



Pamir Highway to odnoga Jedwabnego Szlaku łącząca afgański Mazar-e Sarif z tadżyckim Duszanbe i przez góry Pamiru, Murgab i kończąca się w kirgiskim Osh. Uznawana jest za drugą najwyżej położoną drogę międzynarodową na świecie, gdyż przebiega przełęczą Ak-Batal na wysokości 4665m npm.



Oczywiście jest autostradą tylko z nazwy, to ordynarny szuter, przeplatany krótkimi odcinakami asfaltu, z dziurami zdolnymi schować autobus. Niejednokrotnie droga bywa zniszczona przez rzekę, czy leży przysypana osuniętym zboczem. Klasyczna „pralka” jest niestety częstym widokiem.



Na szczęście surowe widoki rekompensują straty w spręcie i plombach w zębach, zatrzymujemy się podziwiając widoki i zastanawiając się nad sensem utrzymywania post-sowieckiego wynalazku zwanego „Sistema” – płotu z drutem kolczastym i zaoranego pola oddzielającego Chiny od niegdysiejszego Związku Radzieckiego.





Po godzinie jazdy i jednym bardzo ostrym hamowaniu przed zaczajoną na końcu usypiająco długiego asfaltowego odcinka dziurą, wyjechaliśmy na skraj zbocza oddzielającego górskie jezioro Karakul





Karakul – to słone, bezodpływowe jezioro, będące największym jeziorem Tadżykistanu. Zajmuje powierzchnię 380 km², przy głębokości ok. 250 m. Lustro wód jeziora położone jest na wysokości 3914 m n.p.m. Znad jego brzegów widoczny jest w pogodny dzień położony nieopodal (30 km na północo-zachód), jeden z wyższych szczytów Pamiru -Pik Lenina. Ten sam, który dzień wcześniej atakowaliśmy od południa.



Objazd jeziora zajmuje nam kilkadziesiąt minut – jest ono ogromne! Jego brzegi otaczają piaszczyste pustynie, wystarczająco twarde i stabilne, żeby zdecydować się na odrobinę szaleństwa, daleko od domu.



Po chwili dojeżdżamy do jedynej miejscowości na brzegu tego jeziora – miejscowości o swojsko brzmiącej nazwie Karakol. Miejsce to robi na nas piorunujące wrażenie swoją prostotą. Białe,



niskie lepianki na klepisku, kilkadziesiąt zabudowań, stawiają pytanie o sensie istnienia tej miejscowości w tym miejscu świata.



Wioska wygląda na wymarłą, zieją puste okiennice okien, wybite szyby zastąpione tym, co było pod ręką, stanowią marną ochronę przed czterdziestostopniowymi mrozami.



Zatrzymujemy się w poszukiwaniu lokalnego jedzenia, Sambor szuka jakiegoś znajomego nauczyciela, co go spotkał tu dwa lata wcześniej, nauczyciela nie ma, ale jest mała *gastinica* dla turystów i zrobią nam *lagman* – znane już nam z Osh, ujugurskie spaghetti. Zamawiamy go,



ale ponieważ jest nas 10 osób, mamy wolną godzinkę w czasie gdy będzie przygotowywany. Gdy znikliśmy między budynkami drogą przeleciał niezauważony Kajman i samotnie pomknął zdobywać Pamir. My zaś przechadzamy się po wsi, zaglądamy w różne dziury, aż dziw, że można wieść takie surowe życie.



Wnętrze chatynki naszej gospodyni, jest czyste i przyjemne, tradycyjny niziutki stół stoi na



czymś jakby podwyższeniu, a goście siedzą po turecku lub polegają przy stole. Bardzo przyjemna forma spędzania posiłku w ciągu dnia.



Wsuwamy podany lagman. Żeby było śmieszniej – jest też cennik – po angielsku!!!
Ceny wysokie jak na środek niczego, oczywiście w porównaniu do cen, do których przywykliśmy w Kirgizji, bo to ciągle śmieszne pieniądze.



Ale czysto i schludnie, a przecież dawno nie jedliśmy niczego domowego, więc zajadamy się z prawdziwą przyjemnością.



Palimy maszyny i mkniemy dalej zostawiając jezioro za nami. Opuszczamy kotlinę, w której zamknięte jest jezioro i podążamy pamiirskim traktem dalej na południe. Droga powolutku pnie się w górę. W końcu musi kiedyś osiągnąć swój najwyższy punkt na trasie, dzięki któremu jest drugą najwyższą drogą międzynarodową. O zbliżaniu się do przełęczy informuje tablica, pod którą ma zdjęcie chyba każdy nią jadący. Mamy i my.



Qśma posiada model Nissana Patrola z wymarżonym przez większość posiadaczy silnikiem 4.2L bez turbo. Słynie on z niezawodności i kultury pracy, nie wspominając oczywiście o potwornym momencie obrotowym. Pieszczotliwie, Qśma nazywa swego Patrola, Bizonem.

Pozostałe Patrole to 2.8L doładowane turbiną. Okazuje się, iż takie silniki dużo lepiej spisują się na dużych wysokościach niż taki wielkiego smoka 4.2L. Ten zaś kocił niemiłosiernie pod każdym podjazdem, męczył się okrutnie, tracąc połowę lub więcej mocy powyżej 3500 m. Qśma bardzo był zmartwiony dotychczas-



sowymi osiąganymi swojego Bizona i podjazd pod AK- Bajtał spędzał mu sen z powiek od wjazdu do Tadżykistanu. Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Podjazd pod tą przełęcz to bułka z



masłem. Przewyższenie rozciąga się na wielu kilometrach, by na końcu jednym długim i łagodnym trawersem osiągnąć przełęcz na wysokości ok. 4650 m, będącą najwyższym punktem Pamir Highway.



Co ciekawe, znowu spotykamy zwariowanych rowerzystów, tych dwoje to szwajcarskie dziadki na emeryturze, n-ty miesiąc w podróży. Niezli hardkorowcy, nie ma co... A ten drugi, co mu owacje na stojąco zgotowaliśmy w momencie wjazdu na przełęcz, to Bułgar.



Od szczytu zaczynamy się martwić z Samborem o paliwo. Przekreśliśmy właśnie na rezerwę a po przygodach z kaptami przed Sary Tash drugi raz już nie tankowaliśmy. Przed nami około 60km do Murgab, spalanie na 4 tysiącach różni się diametralnie od tego na nizinach. Mamy duże

szanse nie dojechać. Kajman z baniakami na dachu daleko przed nami... Doimy Waldka Afrykę po litrze, tradycyjnie do butelki od kuchenki i postanawiamy oszczędzać. Przed nami głównie zjazdy z przełęczy do doliny rzeki Murgab, będziemy jechać na luzie ile się da.



Rozpędzam się, wyrzucam na luz i gaszę silnik. Kładę się na baku i chowam się za szybę. Toczę się aż Afryka zwalnia na tyle, że można odpalić wyrównać obroty i wrzucić dwójkę bez szlifowania zębów w skrzyni. Sambor podglądam, ma inną technikę. Gazuje na czwórkę, wciska sprzęgło a silnika nie gasi.



Nie wiem, która metoda była oszczędniejsza dość, że po godzinie takich kombinacji, kiedy już się wypłaszczyło, i trzeba było jechać po ludzku, zobaczyliśmy napis Murgab i byliśmy wystarczająco szczęśliwi. Udało się!

Murgab (Мурғоб (tadżycki), Mypraб (rosyjski) a po persku مرغاب znaczy Ptasia Rzeka. Mieszka tu około 4000 ludzi, a miasto położone na wysokości 3,650m jest najwyższym położonym miastem Tadżykistanu. Stąd odchodzi droga do znanego nam już z KKH chińskiego Tashkurgan a dalej prowadzi do Khorogu w Tadżykistanie. Lub odbija do korytarza Wakhańskiego – do Afganistanu. Oba te kierunki są w centrum naszego zainteresowania. Ale to dopiero jutro. Na dziś, oczywiście tankujemy z beczek benzynę, o dziwo, dziewięćdziesiątkę trójkę, którą ludzie mają tu po domach sobie dorabiają sprzedając ją miejscowym oraz turystom. Stacji nie ma ani jednej, a benzyna tutaj była najdroższa na całej dotychczasowej trasie, ale i tak po przeliczeniu jej cena zabrzmiłaby wystarczająco śmiesznie by jej tu nie przytaczać.



Wybraliśmy się na targ. Miał ze 150 m. Na klepisku w dwóch rzędach, stały wypawane z blachy kontenery-sklepy. W środku na półkach towary pierwszej potrzeby, większość chińska, nic niemówiące nam marki, znane zachodnie koncerny nie dotarły tu jeszcze w takim stopniu, więc Cola czy Snikers nie są towarem łatwo osiągalnym. Kupujemy jeszcze ciepły chleb – klasyczna lepioszka, zdzierają ze mnie za wodę drożej niż za benzynę, jakoś mnie zaćmiło. Koleś zaryzykował, łoś z Polski zapłacił, i od razu przestałem lubić Tadżyków.



Najbardziej na wyjazdach lubię wynajdywać fajne miejscówki na biwak. Oczywiście wyobraźni ustawiam sobie biwak po jakąś spektakularną skałą, albo w meandrze rzeki czy potoku. I wyobrażam sobie jak to wszystko będzie wyglądało jak zacznie zachodzić słońce. Tym razem rzeka Murgab – wijąca się dnem zieloniutkiej doliny - dawała obietnicę znalezienia jakiegoś fajnego miejsca. W trzy motocykle wyruszyliśmy w kierunku na Chiny i po około 15 km zaczęliśmy szukać czegoś fajnego. W końcu zdecydowaliśmy się na piaszczysto trawiastą łąkę nad samą rzeką, osłoniętą o wiatru wysokim brzegiem i z ciekawą w kształcie górą w tle. Miejsce spodobało nam się, więc zostaliśmy. Fakt, trochę gryzły komary, ale na szczęście krótko. Wkrótce zjechało się całe towarzystwo i powoli, spokojnie, nie na zapalenie płuc, nie po ciemku w chłodzie i mrozie, tylko w popołudniowym słońcu, przyjemnie i bez ciśnienia założyliśmy bazę, ugotowaliśmy zupę, umyliśmy się w rzece. Z wódeczką lub zimnym piwkiem w ręce oddaliśmy się kontemplacji zachodu słońca.







23 sierpnia, Murghab – Rangkul (120 km)



Długie wieczorne dysputy zaowocowały aż trzema różnymi planami w trzech podgrupach. Samochodami, Kajman z Gosią i Martą oraz Gizmo z Przemkiem, jako, że mogą jechać również po ciemku, wybrali najdłuższy wariant trasy – w stronę Afganistanu i korytarza wakhańskiego. Trzy motocykle – Sambor Waldek i Marcin oraz pasażerowie Kuba oraz Kasia – Zasuważą w stronę pogranicza chińskiego i z powrotem. Jak się uda spotykają się z trzecią grupą nad jeziorami Rangkul, około 30 kilometrów w bok od Murgab.

Trzecia grupa, Qśma z Kasią i ja z Irma, bez pośpiechu przeprowadzamy się nad jeziorko Rangkul. Mamy zamiar solidnie odpocząć, ponieważ z tego właśnie miejsca niechybnie rozpoczynamy odwrót, na który mamy trzy dni i 1320 km, z czego 413 km po wertepach do Osh. A zatem zapraszam na trzy odrębne relacje z ostatniego dnia poprzedzający Wielki Odwrót. Oto wariant wakhański - Kajmana, chiński - Sambora i mój - wypoczynkowy.

Mój wariant:

Poranek to jak zwykle w tych okolicach lampa! Błękitne niebo, przejrzyste powietrze i poranny chłodek towarzyszy składaniu namiotów i śniadaniowej krzątaninie. Grupy ustalone wieczorem dogrywają ostatnie szczegóły tras, omawiają jedyne ksero mapy i umawiają się na wieczór.



Początkowo my z Irną startujemy z ekipą Samborową i w 4 motocykle przemieszczamy się w kierunku Chin. Bardzo szybko kończy się asfalt a szeroka szutrowka prowadzi równoległe dnem doliny rzeki Murgab. Pusto i dziko. Surowe skały zamykają szeroką dolinę po obu jej brzegach.

Szczęśliwie dla nas w weekend granica chińska jest zamknięta, więc ruch całkowicie zamiera. I droga jest cała dla nas. Po 40km chłopaki odkręcają manetki i znikają w tumanie kurzu za horyzontem. Nas ta szybka jazda mocno męczy, Irma też się czuje niespecjalnie, więc zatrzymujemy się.



Czy ja mam *de ja vi*? Co jest z tymi drogami w jedną stronę? Identyczna historia zdarzyła nam się w Indiach. Też pod koniec trasy, ciężka wyboista droga kończąca się w sercu Zanskaru – Padum. 250 km w jedną stronę. Miejsce marzenie do odwiedzenia. 12 h jazdy w jedną stronę, po dzikich wertepach Himalajów. Czy to świadomość konieczności powrotu tą samą drogą czy uczucie bezsensowności jazdy tam i z powrotem zabija przyjemność jazdy, choć otaczające krajobrazy powalają na kolana? Czy niewypowiedziane cierpienia ukochanej osoby na tylnym siedzeniu potęgują ten efekt? Do dziś nie wiem skąd to się bierze, ale wiem, że są to miejsca dla mnie jeszcze niespełnione, że jeszcze muszę tam wrócić...

Sambor jakby wyczuwa sytuację i zawraca, rozumiemy się bez słów. Oddaję zestaw do naprawy opon, im może się bardziej przydać. Wymieniamy się aparatami, zwłaszcza, iż w moim jest wycinek mapy sfotografowany poprzedniego wieczora. Ten patent uratował mi dupę w Rumunii niech teraz pomoże im. Wtedy zapomniałem jak się nazywa polska wioska (Kaczyca) i miałem tylko zdjęcie zrobione z monitora komputera, sprzed wyjazdu. Ale to był wyjazd na wariata, a to zupełnie inna opowieść. Umawiamy się wieczorem nad jeziorkiem Rangkul, 25km za Murgabem, lub rano następnego dnia, gdzieś na drodze do Sary Tash.

Śmigamy gładko do Murgabu i tam spotykamy zaskoczzonego Qśmę, jeszcze na targu, na zakupach. Tradycyjnie wrzucam mu do lodówki piwko, ciepłego nie będziemy przecież pili. Irma też wsiada do Bizona. Odnajdujemy jeszcze chętnego sprzedać nam benzynę, a raczej to on znajduje nas, i zalewamy bak do pełna. Podobno to 93-ka. Musi nam to starczyć na drogę

powrotną do Sary Tash, gdzie planujemy nocleg w naszej sprawdzonej dziurze nad potokiem. Za chwilę wyjeżdżamy z Murgab, i kierujemy się w stronę Kirgizji, gdzie po 20 km ma odchodzić boczna droga w kierunku małej miejscowości Rangkol. Po drodze znajduje się jezioro o tej samej nazwie – i tam planujemy założenie biwaku.



zaprawy na Błędowskiej... Dotarłem w końcu do pozostałości radziecko – chińskiej granicy.

Faktycznie po około 20 km w bok odchodziła szeroka dolina a wraz z nią droga, oczywiście szutrowa, o wyraźnie gorszej jakości niż dotychczasowa. Jej podła nawierzchnia, a głównie cholerna pralka, zmusiła mnie do zjechanie z niej i zacząłem jechać drogami alternatywnymi, wytyczonymi przez inne pojazdy, które doszły chyba do tego samego wniosku, co ja. Były to ścieżki wąskie, lecz równe, czasem mocno piaszczyste i wymagające dla obciążonej Afryki. Przydały się

Na betonowym poście widniał ledwo już widoczny napis:

„Granica CCCP, święta i nieprzekraczalna”

Uśmiechnąłem się pod nosem, jedynka, i grzmot silnika Afryki poniósł się między skałami.



Chwilę później po lewej ukazało się jezioro. W zasadzie to dwa, rozciągnięte na przestrzeni jakiś 5 km. A ich wąski łącznik dawno wysechł a dno pokryte skryształizowaną solą dodawało kolorytu temu i tak kosmicznemu krajobrazowi.



Dojechałem do końca drugiego jeziora i zawróciłem w poszukiwaniu najlepszego możliwego miejsca. Oczywiście szukałem miejsca nieprzeciętnie pięknego, skoro mamy tu spędzić kilka miłych godzin popołudnia i noc.



Dojeżdża ekipa w Bizonie i zjeżdżamy suchym jak wiór i płaskim stokiem do jeziora. To Tutaj.



Pozornie wyglądający równo teren pokryty był maleńkimi i kamyczkami i równie kłującymi roślinkami. Długo szukałem czegoś, na czym można by było bez przeszkód rozbić namiot, tak,

aby nie uszkodzić podłogi. W końcu znalazłem stawkę czegoś, co wyglądało jak piasek pokryty skryształowaną solą. Postawiliśmy tam namiot, a Qśma po prostu otworzył dach Patrola i jego namiot już stał. Sprytnie.



Leniwe popołudnie minęło nam na pogaduchach z Kasią i Quśmą, o ich dalszych planach podróży z Kazachstanu do Mongoli. Mieli tam rozbić za obstawę zagłowozów przemierzających pustynię Gobi (<http://www.mongolia.info.pl/>) i wrócić do Polski jeszcze miesiąc później niż my.





Co ciekawe, dopiero w ostatni dzień, można było się bliżej poznać, pogwarzyć. Duża grupa i napięty program nie sprzyja integracji. Aż dziw, że do tej pory obeszło się praktycznie bez żadnych konfliktów.

Zrobiliśmy małe gotowanie i ostatnią przepierkę przed ostatnim ponad tysiąc kilometrowym przelotem do Kazachstanu.



Feria kolorów i niespotykanych barw rozpoczęła się równo z zachodem słońca. Czerwonawe narośla na słonym gruncie nabrały jeszcze bardziej wyrazistego koloru, a nasz skromny biwaczek prezentował się na tym tle wyśmienicie. Wyobraźcie sobie jak musiało nam smakować piwo!



Po cichu liczyliśmy, że zjawi się jeszcze wariant chiński z Samborem na czele, ale plan mieli napięty, i gdy całkiem się ściemniło – wiedzieliśmy, że śpią gdzieś po drodze i zobaczymy ich jutro na Pamir Highway.



23-24 sierpnia, W stronę Afganistanu – Wariant Kajmana (702 km)

Wariant Kajmanowy: <http://www.africatwin.com.pl/showthread.php?t=862&page=37#361>

Tak jak pisał Podos, wieczorem została podjęta decyzja że jedziemy w stronę Afganistanu. Jeszcze konsultacje z Samborem który był tam dwa lata temu gdzie można spodziewać się najładniejszych widoków. Postanawiamy dojechać do Lyangar, przenocować w okolicy i następnego dnia powrót do Sary Tash. Do północy musieliśmy wyjechać z Tadżykistanu, aby uniknąć obowiązku meldunku – wiąże się to z wysupłaniem trochę dolarów.

Rano pobudka, zwijanie maneli, Przemek jak zwykle jeszcze chrapie, gdy my już jesteśmy spakowani. Wreszcie koło 10 a.m. jesteśmy z powrotem w Murgab, aby zatankować samochody. Liczymy ile nam potrzeba – według mapy to jest ok. 250 km w jedną stronę, czyli 500 w obie. Po drodze nie ma co liczyć na stację. Zakładamy jakieś 100 km rezerwy i przy spalaniu miejscami 15 l na 100 km to wychodzi nam po ok. 90 litrów ropy na samochód.



Tankowanie oczywiście pod domem jednego z miejscowych. Podjeżdżamy, pytam – że potrzebujemy *solarku pakupit, tolko mnogo* – ok. 200 litrów (mam pewne obawy bo dotychczas sprzedaż odbywała się z butelek i czy gość będzie miał na tyle ropy). Okazało się że „no problem” – i wytacza 200-tu litrową beczkę. W stary tradycyjny sposób zaciąga węża i odmierzając butelką tankuje nasze wygłodniałe samochody. Trochę to zajmuje czasu. I tak koło godz. 12:00 miejscowego czasu wyjeżdżamy w drogę. Ale okazuje się, że nie tak szybko – zaraz za Murgabem jest bramka – i tłumaczenie gdzie, po co. Gościu uparł się, że nie mamy meldunku. Tłumaczymy, że do 3 dni nie potrzeba, ale jakoś nie trafia to do niego. Jacek z Przemkiem biorą go do samochodu i jada z powrotem do miasta na posterunek – ale tak naprawdę, chyba chodziło mu o podwiezienie do miasta.

Ja w tym czasie korzystam i zjeżdżam na pobocze, rozkładam się ze swoim prysznicem i nareszcie myję się porządnie od trzech dni – od dnia wyjazdu z Kaszgaru.

Prysznic – jest to czarny worek 20 litrowy z wężykiem zakończony końcówką prysznicową. Leży on na dachu w kole zapasowym. Czarny jak wiadomo pochłania bardziej promienie słoneczne – w ciągu dnia nieźle się nagrzewa. Następnie wiesz się go za haczyk na bagażniku samochodu i stojąc z boku można spokojnie się wykapać.

Po chwili wracają chłopaki – okazuje się, że wszystko w porządku i możemy jechać dalej. Początkowo jest to dosyć znośny asfalt. Ale jak to w czasie całego tego wyjazdu nie można być pewnym co będzie za zakrętem albo za 200 m. Trzeba być cały czas czujny jak grzechotnik aby nie narobić sobie kłopotów przez wpadnięcie w niewyobrażalnie wielką dziurę. Czasami trafiają się ciężarówki, które przed przystąpieniem do wyprzedzania trzeba dobrze obtrąbić co by obudzić zasypiającego kierowcę.



Droga wiedzie dosyć wysoko i mimo pustynnego krajobrazu nie jest aż tak bardzo gorąco.

Ciekawostka taka – jak będzie ktoś jechał niech zwróci uwagę na znaki oznaczające nośność mostów – wszystkie mają 60-70 t. Jak wiadomo droga służyła do zaopatrywania wojsk walczących w Afganistanie a czołgi trochę ważą.



Dokładnie tak jak opisał Sambor po kilkudziesięciu km jest zjazd na drogę, która odbija od M41 i wiedzie w stronę granicy z Afganistanem. Kończy się asfalt a zaczyna pylista droga, która wiedzie czasami między ostrymi kamieniami – trzeba uważać, aby nie rozciąć opony.

Krajobraz staje się coraz piękniejszy (jak dla mnie) i wjeżdżamy na przełęcz Khargush 4344 m.n.p.m. Potem w dół do granicy Afgańskiej.



Po dojechaniu do rzeki Pamir jest post – sprawdzanie paszportów, spisywanie itd. – standard. Niedaleko widać zabudowania starej bazy rosyjskiej. Draga jest wspaniała – aż nie można się powstrzymać, aby pocisnąć do deski. Niestety trzeba pamiętać i całą siłą woli się powstrzymywać – bo po 1-2 km równiutkiej

nawierzchni nagle trafiają się wielkie dziury zapewniam, że jak je już człowiek zauważy to na pewno nie zdąży wyhamować - szczególnie tych 2,5 t masy.

Krajobraz bajka – rzeka zaczyna zagłębiać się coraz niżej w kanionie, my jedziemy cały czas wzdłuż rzeki, po drugiej stronie Afganistan.





Po pewnym czasie góry stają się wyższe, a ich struktura, powierzchnia jest taka jakby ktoś je okrył płótnem jedwabnym. Coś pięknego.

Droga –brak jakichkolwiek śladów na tym pyle – widocznie dawno nikt nie jechał tędy. Momentami wąsko. Dojeżdżamy do Lyangar – droga schodzi w dół do zielonej doliny gdzie Pamir łączy się z rzeką Wakhan.



Serpentynami zjeżdżamy do wioski. Droga pokryta jest pyłem, jest wąsko, domy odgrudzone murkami z kamienia, a tam gdzie nie ma murku rosną drzewka. Skutkuje to tym, że jadąc za Jackiem muszę przyhamować i trzymać odległość prawie 2-3 km, ponieważ nie ma ruchu powietrza w tych korytarzach i pył opada dosyć długo.



Gdybym jechał zaraz za poprzedzającym samochodem to nie dość, że nic bym nie widział (gorzej niż we mgle) to jeszcze szkoda zapchać filtr powietrza. Wyjeżdżamy za miasteczko i rozglądamy się za jakimś noclegiem, bo jest koło 6 p.m. lokalnego czasu. Ale jak się tu rozbić, po lewej rzeka i Afganistan, po prawej zbocze, wszędzie tylko kamienie i pył. Ani to za przyjemne, ani chociaż trochę osłonięci od wiatru czy ciekawskich oczu. Zatrzymujemy się za miasteczkiem. Narada – Jacek z Przemkiem jada kawałek jeszcze sprawdzić czy nie ma jakiegoś ciekawszego miejsca, ja z dziewczynami czekamy. Po ok. 15-20 min Jacek wraca – nic, krajobraz taki sam. Postanawiamy wrócić, przejechać Lyangar i rozbić się za nim. I znowu przejazd przez miasteczko, widać dużo ludzi pracujących na polach, tych fragmentach ziemi nawodnionych z pobliskich rzek. Jedynie tam coś rośnie, poza tym to jałowa ziemia. Wszyscy nas pozdrawiają, machają. Dojeżdżamy do końca wsi/miasteczka – ciężko to zakwalifikować – mimo oddalenia od poprzedzającego samochodu zapylenie wzrasta. Po chwili wszystko się wyjaśnia – Przemek mówi przez CB abym podjechał, bo znaleźli nocleg.

Podjeżdżam – chłopaki stoją przed jednym z domów. Okazuje się że zatrzymał ich miejscowy, i taki dialog:

- czy podwieźli by mnie panowie do Murgab?

- nie ma sprawy , ale jest już późno i szukamy noclegu albo miejsca gdzie by można było się rozbić

- to zapraszam do siebie, spędzicie u mnie noc, zjecie coś a rano pojedziemy razem. Wiecie Panowie – dwa dni już czekam na okazję Parkujemy pod murkiem okalającym domek, trochę mamy obawę czy aby rano coś nie zniknie z rzeczy na zewnętrznych bagażnikach, ale gospodarz zapewnia że nie, a poza tym on śpi na zewnątrz i są psy spuszczone.



Dom to tradycyjny budynek z tego rejonu. Położony do tego na zboczy skąd mamy wspaniały widok na dolinę i rozlewający się w dole szerokim korytem Pamir.

Udostępnione nam jest główne pomieszczenie domu, gdzie zaraz niski stół – czy raczej rodzaj ławy – zostaje zastawiony kolacją. Nie jest to nic wyszukanego, ale smaczne. Przemek wydobywa ze swoich bagaży Goldwaser i wręcza ją gospodarzowi pytając czy przyjmie taki prezent –

mówiąc, że zdajemy sobie sprawę że są wyznania muzułmańskiego. Zresztą obrazy wiszące na ścianach nie dawały złudzeń co do tego. Uśmiech gospodarza mówi nam wiele. Wyciągamy coś aby przepić kolację – gospodarz wypija ze trzy kielichy z nami, mówiąc że kilka dla zdrowia to nie grzech i Allah wybaczy.

A zdrowie to szwankuje Jackowi – Gosia wzięła i na faszerowała go jakimiś tam lekami. Pacjent po jednym kielichu padł w kąciu pod kilkoma kocami i zasnął. Pewnie zmogły go te skoki temperatur, wysokości i ogólne zmęczenie.

Mamy okazję porozmawiać też z gospodarzem. Trochę dowiedzieliśmy się jak było w czasach wojny afgańskiej, jak im się żyje. Jedna wypowiedź mi się strasznie spodobała. Pytaliśmy czy ludzie milej wspominają czasy komuny czy teraz lepiej im się żyje.

Powiedział coś takiego – cóż z tego, że dawniej może i wszyscy mieli po równo jak człowiek nie mógł się ruszyć ze swojej miejscowości i jechać w odwiedziny do sąsiedniej doliny. Mówili wtedy, że wszyscy jesteśmy braćmi. Teraz to ludzie bardziej są braćmi, poznają się – wy możecie do nas przyjechać, córkę mogą do Duszanbe posłać na studia.

Teraz ludzie się łączą. Może jest ciężiej, bo jest mniej pracy, ciężiej o pieniądze. Przedtem były pieniądze, ale nie za bardzo było co z nimi zrobić.

Tak, że raczej z tęsknotą nie spoglądają wstecz

Rano budzimy się wcześnie. Dzisiaj na wieczór musimy dotrzeć do Sary Tash

– to jest 450 km dodatkowo granica (tak z 2 godziny). Wyjeżdżamy o 7:30 miejscowego czasu. Gospodarz żegna się z rodziną i usadawia się u Jacka.



Droga powrotna przebiega szybciej niż wczoraj, chociaż również stajemy co jakiś czas na zdjęcie, słońce wstaje i jest niezłe światło.



Meldujemy się na punkcie kontrolnym koło Khargush. Spisywanie z paszportów trochę schodzi – jest czas na zrobienie kilku fajnych fotek z postu szczególnie, że komendant nie ma nic przeciwko temu.



Po ok. pół godziny ruszamy dalej żegnając się z poganiczem afgańskim. Nasz pasażer nie jedzie z nami do samego Murgabu tylko trochę wcześniej zatrzymujemy się przy jednym z domów – okazuje się, że to jego siostra – przy okazji zostajemy zaproszeni na następny poczęstunek. On tu złapie ciężarówkę, które jeżdżą do kopalni znajdującą się w górach. Spędzi tak 20 dni i znowu wróci do domu na tydzień

Przed Murgabem Jacek jadący z przodu mówi przez CB abym za wzniesieniem skręcił w lewo w taką szutrową drogę. Okazuje się to zjazd ładnym kanionem w dół i po ok. 1-2 km wjeżdżamy do ładnej zielonej doliny w której płynie rzeka. Miejsce jest niesamowite szczególnie biorąc krajobraz, jaki nam do tej pory towarzyszył – czyli kompletny brak roślinności. Wbijam sobie miejsce zjazdu do mózgownicy, ponieważ leży ono niedaleko Murgab, w ogóle nie widoczne z



drogi, no po prostu świetne miejsce na biwak. Spotykamy tam miejscowych – na małym pikniku. I jak zwykle przywitanie, zaproszenie na poczęstunek, herbatę, rozmowa. Jeden z dziadków okazuje się, że dawniej stacjonował w Legnicy jak był w sowieckim wojsku. Meldujemy się w Murgab - 02:30 p.m. – podjeżdżamy do tego samego gościa – zastanawiam się czy

czasami jak ostatnio byliśmy u niego to nie wybraliśmy mu wszystkich zapasów. Obawy były bez podstawne – na pytanie, czy można zatankować tak ze 150 litrów – gość znowu wytacza beczkę 200 litrową.

Ruszamy dalej – przed nami jeszcze kawałek drogi i granica, na której pewnie trochę nam zejdzie. Jak dla mnie kolor gór jakie są między Murgabem a granicą są fantastyczne – wyglądają w słońcu jakby płonęły – mienia się różnymi kolorami.



Dojeżdżamy do granicy – pytam przy okazji gościa od narkotyków czy dawno przed nami przejeżdżali motocykliści z Polski? On pyta – aa jechał z nimi taki Tadżyk 🇹🇯 – hmm myślę, pewnie chodzi o Sambora. Tak, tak – odpowiadam. Jechali jakieś 2-3 godziny temu.

Wiemy, jakie mamy w stosunku do nich spóźnienie. Przy okazji zaprezentował nam jak pies poszukuje narkotyków. Schował w błotniku Jacka Patrola saszetkę z narkotykiem i każe mu szukać. Ja kucnąłem przyglądając się, co pies będzie robił. No a ta franca zamiast obszukiwać samochód przysiadła przede mną. Myślę z lekkim niepokojem – no tak, uznają, że coś mam przy sobie, bo pies siedzi przede mną i patrzy we mnie jak sroka w kość. Już widziałem oczami wyobraźni tą rewizję osobistą i zagłębienie w każde hmmm „zakamarki”. Na szczęście nie przyszło im to do głowy a pies po kilku ponagleniach zainteresował się samochodem. Odnalezienie saszetki zajęło mu może kilka sekund.

Przy okazji pogadałem z tym gościem od narkotyków – pokazał mi na mapie gdzie można by było „bezpiecznie” pojechać do Afganistanu (oprócz korytarza Wakhańskiego). Dosyć ciekawa koncepcja – może będzie okazja zrealizować ją.

Przy ruszaniu z posterunku granicznego są małe kłopoty, wysokość i kiepskie paliwo dają znać o sobie. Trzeba wrzucić reduktor aby ruszyć bez problemu. Po prostu silnik doładowany ma słaby „dół”.

Posterunek Kirgiski przechodzimy bez problemowo, ale jak tu wszystko zajmuje trochę czasu. Jak wjeżdżamy do Kirgistanu słońce jest już bardzo nisko, co przy zmęczeniu całonocną jazdą (wstaliśmy o 7 rano) i fatalnym stanem asfaltu jest dosyć niebezpieczne. Dodatkowo, człowiek jak czuje, że już zbliża się do końca to podświadomie naciska mocniej na gaz. I tak jadąc nie zauważam w porę zagłębienia w asfalcie – samochód wylatuje w powietrze i na moment traci kontakt z podłożem. Na szczęście zawieszenie sprawuje się bez zarzutu, a i odpowiednie dobranie do obciążenia też robi swoje. Jedyne obawy wzbudza czy aby bagażnik dachowy i rzeczy tam zamocowane nie polecą własną drogą. Na szczęście wszystko siedzi na swoim miejscu – dziewczyny jedynie mało nie zrobiły wgnieceń w dachu.



Pytam Jacka jadącego z przodu czy zaliczył wyskok – potwierdza i informuje przy okazji abym uważał na dziurę z prawej. Faktycznie – dziura ma chyba ze średnicę 1,5-2 m, głęboka jak studzienka kanalizacyjna. Kurcza, jak bym wpadł w nią to chyba urwałbym zawieszenie. Zresztą cała droga z granicy do Sary Tash to jeden wielki slalom między dziurami.

Do obozowiska dojeżdżamy już po zmierzchu, jestem zmęczony, głodny i jest cholernie zimno. Szybkie rozbicie namiotu, odgrzanie jedzenia (zostało z poprzedniego dnia – lodówka się przydaje) i spać.

Jacek z Przemkiem decydują się jechać do Osh – Przemek musi wysłać relacje a i pewnie Jacek jeszcze nie do końca wykurował się i chce spędzić noc w hotelu.

23-24 sierpnia, W stronę Chin – Wariant by Sambor (268 km)

To jest doświadczalna relacja. Żeby wiedzieć jak było trza przeczytać ją do końca i wyciągnąć wnioski.

KANAŁ LEWY

No więc kurde zaczyna się dzień i wstajemy. Łeb napieprza, bo wczoraj był jak co dzień ochlaj na maxa i oddawanie czci najważniejszej na tej imprezce afrykańskiej furii czyli Najepce. Rano jakaś kawa i ketanol zapity piwem, wrzucamy bety na sprzęty i heja w drogę. Już na starcie znad tej rzeki wypieprza się Waldek, ale to gleba parkingowa niemal i całkiem bez strat. Napierdzielamy do przodu ile fabryka daje gdzieś kur... w stronę Chin czy Afganistanu. Nie bardzo wiadomo po co i gdzie dokładnie, ale co tam. Alleluja i do przodu jak mawia pewien księżulo. Popierdzielam całkiem zdrowo, bo moja kobita ulżyła mi i przesiadła się do terenówki i pojechała gdzieś rano cholera wie po co w inną stronę. No więc napieramy, kurzy się zajebicie, bo Marcin i Waldek jadą z przodu a my z Podoskiem w tumanach za tumanami. Normalnie się kur.. nie da tak. Czuje po poł godzinie, że filtr mam tak zaj... że normalnie nie mogę jechać. Wkoło jednak zajebioza taka., że normalnie łeb odpada. Czacha wciąż mnie napierd... po wczorajszej najepce i nie bardzo te klimaty do mnie trafiają. Dzida i do przodu. Podosy gdzieś znikają, więc zatrzymuję się. Nie ma ich długo, chyba z kwadrans. W końcu podjeżdżają i mówią, że Irmę też wszystko napier... i dalej nie jadą. Wracają do Qsmy, któremu w ogóle nie chciało się dupy ruszyć. Mamy się trafić nad jakimś jeziorem. Z mapami tak się porobiło że nie mamy ani jednej, bo wszystkie pojechały z dżipami na Afganistan. Podos ma zdjęcie jednej w



aparacie, więc się wymieniamy sprzętem. Podosy zawracają a ja napierd... dalej w kierunku chińskiej granicy. Waldek i Marcin czekają wkur.. ze nas tak długo nie ma, no ale nie ma co się wkurw... Jedziemy.

Skrećamy z głównej drogi do Chin i zamiast na Kulma jedziemy na Tochtomysz i Shaymak. Jadę pierwszy, kurz jest tak zajebisty ze nic w lusterkach nie widać. Staje po pół godzinie i czekam. Po 5 minutach nadjeżdża Waldek z Kubą. Trochę klną pod nosem, zsiadamy z bajkow i czekamy i czekamy. Po 15 minutach zawracamy i zapierd... z powrotem. Marcina z Kaśką ani śladu. W końcu są... Kompletnie mu się rozj... osłona łańcucha, która napier... po tylnym kole. Podos pojechał w p.. z narzędziami i wygląda, że jesteśmy w dupie. Na szczęście wygrzebuje gdzieś jakiegoś imbusa i po 5 minutach dzida.



Dojeżdżam do tego samego szlabanu i czekam, bo jestem sam. Po 10 minutach zawracam. Waldek z Marcinem stoją i coś grzebią przy motorku. Normalnie chujnia jakaś... pękła obejma mocująca ślizgacz do wahacza... Coś naprawiają, ale widać że to popelina, patent wytrzymał pierd... 5 minut.

W końcu używamy taśmy na gada, która wytrzymała już do końca eskapady. Droga jest płaska jak stół, zajebicie się kurzy, ruchu żadnego tak że

można zapieprzać stówka po tych kamykach. Można i szybciej tylko kur... strach.



Wpadamy w końcu do jakiejś wioski z chatami rozrzuconymi po obu stronach drogi. Bieda aż jęczy. Po ch... ci ludzie tu mieszkają, nie lepiej było się w Bangladeszu urodzić?

Podjeżdżamy do jakiegoś autochtona, który spod chaty coś tam w naszą stronę kiwa. Wsiowy nauczyciel zaprasza nas do środka i podaje jakieś specjały. Nie wiadomo kto i jakimi łapami to przygotowywał, mięcho jakieś tłuste z kozy czy ch.. wie z czego. Udajemy, że jemy i na



odchodne rzucamy mu parę groszy.

Napieramy dalej, choć podobno dalej już nic nie ma. Ale jest droga, więc czemu nie. Wachy nam jeszcze starczy na powrót jakby co...

W końcu po 15 kilometrach zatrzymuje nas jakiś oberwaniec udający żołnierza. Stop, *nie lzja* i coś tam jeszcze. Dokąd? Do Indii do której? Do Indii? Tu Tadżykistan a tam Afganistan, Chiny tam, ale Indie? Nie będziemy z tumanem gadać i każemy

sobie komendanta przyprowadzić.

Facio odradza nam dalszą jazdę, ale proponuje byśmy spróbowali ich lokalnej specjalności, czyli kąpieli w jakimś gorącym błocku. Gość ryje mi się na tylne siedzenie i jedziemy. Po 200 metrach facet pokazuje na rzekę i mówi, że spokojnie damy radę. Z ułańską fantazją napieram na wodę i po 10 metrach, jeeeb! Leżymy. Ledwie zdążyłem ją zgasić. Babcia leży na lewej stronie, tej od



filtra, facio w galowym mundurku i pantofelkach cały w wodzie. No będzie zaraz z tego wojna... Ale jakoś się upiekło i po 15 minutach już z nim pływamy w jakiejś syficznej wodzie, która jak wierzą Ci troglodyci ma właściwości lecznicze. Na szczęście udało się później z tego splukać w rzece i żadne wspomnienia na skórze nie pozostały. Waldkowi zginął telefon, nie wiadomo czy mu wypadł czy któryś z tych sk.. synów go zapier...



Wsiadamy na maszyny i przez bite półtora godziny napierdzielamy z powrotem. Wreszcie asfalt i dojeżdżamy do Murgabu, na przedmieściach Marcin łapie gumę i kiblujemy dobrą godzinę zanim ją naprawimy. Robi się ciemno jak w d... u Murzyna i trzeba szukać spania na miejscu.



Waldek znajduje tuż obok jakąś dziurę, oczywiście kibel na zewnątrz, zero łazienki. Syf jakich mało. Chyba sami rozrzučili te gwoździe żeby mieć klientów. Rano tankujemy i po 30 km znowu stajemy, Marcin znów złapał dziurę. Nie znajdujemy jej jednak, więc wymieniamy dętkę. 20 km i znowu stajemy. Dojeżdżają Podosy i Qsma z kompresorem. Jesteśmy uratowani. Napierd... w pompkę na tej wysokości jest k... zajebistym przeżyciem.

KANAŁ PRAWY

O podróży do Shaymaku marzyłem od dawna. Kiedyś znalazłem na mapie ten najbardziej chyba odizolowany punkt w całym Tadżykistanie i zamarzyłem by do niego zajrzeć. Cóż bardziej centralnego może być w Azji Centralnej niż Shaymak. Stąd tylko 20 kilometrów do Chin, 10 do Afganistanu. Ze 40 do Pakistanu i nie więcej niż 120 kilometrów do Indii. Pepek Azji.



Ranek jest piękny, ruszamy chwilę po świcie. Słońce kładzie nieprawdopodobne cienie na okolicznych wzgórzach. Wzgórzach – jak można tak myśleć o okolicznych górach jadąc drogą na wysokości 3500 metrów. Droga jest piękna, jedziemy wzdłuż rzeki zgodnie z mapą trzymając się jej lewego brzegu, zatrzymuję się na moment, by nie łykać kurzu wzbijanego przez Marcina i Waldka. Gaszę silnik, i tak muszę czekać na Podosa.



Motocykle kolegów nikną za zakrętem. Zapalam papierosa i słyszę jak palą się drobinki tytoniu. Nie znam takiej ciszy, wokół śladu człowieka. Jedziemy już pół godziny i nie minęliśmy się z żadnym pojazdem i nie spotkaliśmy żadnego człowieka. Doświadczam piękna Pamiru w najczystszej postaci. Jakże inny jest ten świat od tego, który zostawiliśmy hen w Polsce. Godzina przeżyta tutaj równa jest emocjom, których nie sposób znaleźć przez całe dni w Krakowie czy Warszawie. Nie, nie myślę tam o korkach i kolejkach. Chłonę tę otaczającą przestrzeń i szukam spokoju, który tak bardzo będzie mi potrzebny w kolejnych miesiącach.



Z daleka rozbrzmiewa warkot motocykla nadjeżdżającego przyjaciela. Narasta i wypełnia przestrzeń decybelami niszcząc spokój i nastrój chwili. Zastanawiam się nad naszą inwazją w to otaczające nas piękno.

Krzysztof ma złe wieści: Irma źle się czuje i postanawiają wracać do obozu. Żal, zawsze emocje, które dzielę z Krzysztofem powodują, że jest ich więcej. Paradoks.

Rozjeżdżamy się zamieniając aparatami. Trochę to

symboliczne, dzięki temu czuję, że utrwale również dla niego te chwile, które mnie czekają...

Waldek i Marcin czekają na rozdrożu. W lewo droga wiedzie na Kulma Pass, W prawo do Toktomyszu i dalej do Shaymaku. Obie nieznanne, pociągają nas bardzo obiecując doznania i prawdziwą przygodę. Jedziemy w prawo. Prowadzę. Za mną Waldek z synem – przyjemnie jest patrzeć na wzrastającą przyjaźń między nimi. Dzisiejszy świat nie pozostawia nam czasu na takie kontakty z dziećmi, jakie mieć powinniśmy, jakich chcielibyśmy mieć. Obaj próbują nadrobić stracony czas na tej wyprawie budując relacje, jakie niegdyś łączyły rodziców z dziećmi. Wzajemny szacunek, odpowiedzialność i przyjaźń. Marcin z Kasią jadą na końcu, miło obserwować tę zakochaną parę, tę troskę zauważalną na kempingach, ogień płonący w ich oczach, odpowiedzialność za kochaną osobę... Poruszamy się wzdłuż rzeki mając ją wciąż po prawej stronie.



Zatrzymuję się przy jakiejś opuszczonej wartowni i czekam na kolegów. Cisza, wszystko wygląda surrealistycznie, walają się wokół szczątki jakiejś wanny, wartownia sprawia wrażenie jakby ktoś na chwilę odszedł i zapomniał opuścić szlabanu. Nadjeżdża Waldek, Marcina długo nie ma więc zawracamy. Stoi 15 minut dalej na poboczu czekając na nas. Jesteśmy tu razem i dla siebie. Nie trzeba nikogo prosić o pomoc, o klucz, łatkę...



Tak buduje się przyjaźnie, które przetrwają złe czasy. Naprawa nie trwa długo. Mamy zresztą czas. Ruszamy na południe napawając się widokami. Prosta droga prowadzi pamiorską wyżyną dziesiątkami kilometrów na tej samej wysokości. Przyroda wydaje się okiełznana, ale co

kilkanaście kilometrów zerwana przez ledwie dziś widoczny strumyk droga daje wyobrazenie, co tu się dzieje, gdy żywioły dochodzą do głosu...



Dojeżdżamy wreszcie do Shaymak i podjeżdżamy pod schludne obejście z którego wyszedł młody mężczyzna. Okazuje się być Kirgizem, podobnie jak większość mieszkających tu osób. Nauczyciel chemii, który tuż po studiach wrócił do swojego aulu. Zaprasza do wnętrza domu, rozsiadamy się w gościnnym pokoju i już po chwili przed nami stały misy pełne jedzenia. Czym chata bogata...



Rozmawiamy o trudach tutejszego życia. Nauczyciel opisuje nam jak wygląda tu zima. Cóż, że niemal beśśnieżna skoro 40stopniowym mrozom towarzyszą porywiste wichry. Na zimę do wsi ściągają Kirgizi z okolicznych pastwisk, przybywa dzieci, ale trudno dostać się do Murgab. Bywa że auto jedzie raz na tydzień.



Żegnani przez całą rodzinę podążamy w kierunku strażnicy granicznej górującej nad okolicą. Jest położona tak, że nie sposób się niepostrzeżenie przez tę dolinę przemknąć.

Młody oficer który pełni obowiązki zastępcy dowódcy posterunku odradza dalszą podróż, wymagane jest na nią specjalne zezwolenie i trudy drogi wykluczają byśmy mogli dotrzeć bezpiecznie do Murgab dziś wieczorem.



Zaprasza nas jednak na kąpiel do gorących źródeł. Żołnierze zbudowali budyneczek, w którym zmęczeni po całym dniu jazdy zażywamy relaksu. Gorąca woda przenika nasze ciała i koi zmęczone mięśnie.



Wchodzimy do drugiego źródła na zewnątrz budynku. Temperatura wody prawie 40 stopni. Tuż obok szumi rzeka, a wokół bieleją ośnieżone szczyty Pamiru i Hindukuszu. Zamykam oczy. Chwilo trwaj...

Na pożegnanie sięgam do kieszeni i wyciągam mój składany nóż, ofiarowuję go na pamiątkę dowódcy. Przyjmuje podarunek z zakłopotaniem i odwzajemnia się ściągając ze swej ręki zegarek. To nieważne, że to chińska podróbka elektronicznego zegarka adidasa, oto gest godny oficera...Myślę o nim jadąc z powrotem. Czy się jeszcze spotkamy?

Zachodzące słońce kładzie coraz piękniejsze cienie na okolicznych górach. Kontemplujemy przyrodę stając co chwila i łapiąc w obiektyw ułamki tadżyckiego piękna, by się móc nim z wami podzielić.



To jednak nie koniec przygód. Tuż przed samym Murgab ratujemy jakiegoś biednego Kirgiza polską łatką, by mógł dotrzeć do swej rodziny. Sami już na przedmieściach mamy awarie gumy Marcina i ostatecznie stajemy na noc w miłym rodzinnym hoteliku, który chyba niebiosa zesłały nam tutaj.

PS. Dla tych, co mają kłopoty z czytaniem ze zrozumieniem. Jaja se robiłem 2razy a nie raz...

Sambor

24 sierpnia, Rangkul – Sary Tash(228 km)

Oto, nieubłaganie, kończy się nasza tegoroczna, trwająca 4 tygodnie, eskapada. Od 10 lat nie byłem na tak długich wakacjach, Z trudem przypominam sobie pierwsze dni z wyjazdu. Góry, nazwy i zdarzenia mieszają mi się, w głowie mam mętlik. Czy będę w stanie to potem odtworzyć? Ktoś mówi, że takie podróżowanie ładuje akumulatory... Nic bardziej mylnego, im częściej je ładujesz tym krócej trzymają. Za parę dni znowu zasiądziemy za biurkiem – i tak aż do następnego razu...

A zatem: powroty są do dupy... Przed nami ponad 1300km, jedna cztero i dwie ponad trzytysięczne przełęcze, dwie granice, trzy państwa. Trzy dni. Wracamy. Skoro ekipa nie dotarła do nas wczoraj wieczorem wykonałem, że będą się chcieli zebrać się wcześniej, minąć skrzyżowanie na Rangol i poczekać na nas po drodze. Nie musieliśmy się więc jakoś drastycznie wcześniej zrywać. Irmie tylko w to graj. Wstające słońce ukazało nam dolinę w równie pięknej formie, w jakiej rozstaliśmy się z nią o zachodzie. Qśma jeszcze zostaje, chce odpocząć – źle spał i teraz źle się czuje. Po śniadaniu spakowaliśmy manatki, przytroczyliśmy wszystko do naszego motocykla i ruszyliśmy w drogę powrotną.



Tuż za skrzyżowaniem faktycznie stoi ekipa chińska z Samborem na czele. Marcin zaliczył kaptura w tylnym kole i jest właśnie w trakcie demontażu.



Cieszymy się na ich widok, wszyscy są w jednym kawałku. Zachwyceni dzielą się wrażeniami z dnia wczorajszego. Wczoraj, już po ciemku, Marcina złapał gumę w tylnym kole – teraz drugi raz. I głupia sprawa – na 4 motocykle i osiem kół mamy 1 (słownie jeden!) kapturek do wykręcania wentyli! Co gorsza kolejny raz macamy oponę od środka i nie ma żadnego gwoździa. Dętka, wyściskana na dziesiątą stronę też nie wykazuje śladu przebicia. Wkurzeni składamy wszystko do kupy. Teraz to cholerne pompowanie... Nienawidzę pompek rowerowych. Ręce mdleją, kolejno zmieniamy się. W końcu uznajemy, że ciśnienie jest wystarczające i Marcin składa motocykl do kupy. Chcemy już odjeżdżać, ale widzę, jak szybko schodzi powietrze z tylnego koła. Co jest grane?!?!



Zsiadamy i znowu zbieramy konsylium. Chłopaki idą z dętką do potoku, jeszcze raz macamy oponę. Znowu nic. Decydujemy się na wymianę dętki na inną i już z przerażeniem myślimy o czekającym nas pompowaniu. Mam szczerze dość i wątpię czy ręczna pompka, a właściwie jej uszczelka, wytrzyma jeszcze jedno pompowanie. Jak na zawołanie podjeżdżają do nas poznani wcześniej w Murgabie Lars i jego kumpel. Sambor został tam bohaterem, bo



spotkał ich krążących po miasteczku w poszukiwaniu paliwa. Wcześniej przez Internet tłumaczył im gdzie jest benzyna w Pamirze. Goście nie mówili ani słowa po rosyjsku i nie potrafili nawet siana kupić... W dodatku padł im amortyzator w Be-eM-We :) i czekali na nowy, wysłany z UK do Osh. Zresztą na koniec wyszło, że wcześniej zaopiekowały się nimi Magnusy, i przejechali z nimi kawał Tadżykistanu. Mały ten świat.

No, ale Lars miał elektryczną pompkę. Hi-Tech motopomp, za 100 dolarów – psuje się zanim dobrze ją podpinamy. Pęka plastikowa końcówka na wentyl.

Wreszcie, zza zakrętu dochodzi miarowe buczenie 6cio- garowego silnika bizona – i pojawia się Qśma. Nasze zbawienie. Jego kompresorem załatwiamy definitywnie sprawę w mniej niż minutę i każdy z nas obiecuje sobie rozwiązać temat elektrycznych pompek w swoim ekwipunku – raz na zawsze! Sprawa ostatecznie wyjaśniła się dwa miesiące później, w Krakowie, kiedy podjechał do mnie Krystek z kapciem. Miał identyczną dętkę Heidenau'a i brak dziury. Okazało się, że to puszczał wentyl, ale dopiero przy pełnym ciśnieniu i obciążeniu motocyklem. Czyli tak jak teraz .

Jedziemy. Mamy w plecach 2h, drogę znamy, – choć na pamięć wszystkich dziur nie pamiętamy. Nad Karakolem, nie decydujemy się na wczesny obiad w naszej knajpcie – bo kolejne dwugodzinne opóźnienie murowane. Tymczasem zatrzymujemy się, kilkadziesiąt kilometrów dalej na piaszczystej równinie i gotujemy szybki obiad, co kto jeszcze ma. Słońce przypieka, nic się nam już nie chce. Czuć, że wracamy...



Na granicy, odbywamy tradycyjne pogawędki najpierw z antynarkotykową, potem celną i na końcu paszportową kontrolą. Piękne poroże kozła Marco Polo znalezione przez Qśma ulegają konfiskacie, mimo szczyrych chęci oficjalnego ich wywozu.

W grę wchodziła tylko łapówka, bez pokwitowania, więc Qśma się nie zdecydował. I słusznie, bo 10m dalej już pytali gdzie te rogi schował, by skasować swoją dolę.



Bez dalszych przeszkód przekraczamy granicę, kilkanaście kilometrów dalej również bez kłopotów zaliczamy post kirgiski i meldujemy się w starym poczciwym Sary Tash w znajomej dziurze nad potokiem przy drodze do Irkeshtam. W promieniach zachodzącego słońca afryczka wygląda bosko na tle chińskiego Pamiru.

Skaczemy na motorki i kręcimy kółka jak oszalali po króciutkiej trawie doliny Alajskiej.



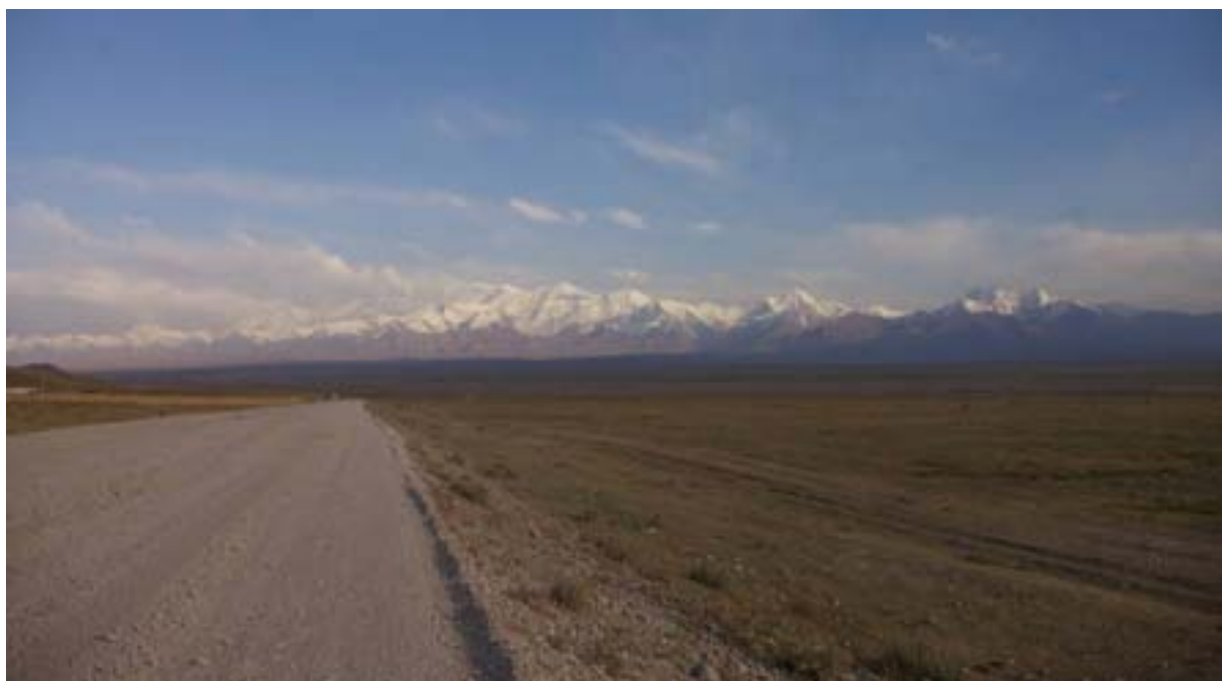
Po ciemku już, dopada nas ekipa Afgańska, w zasadzie to sam Kajman z załogą, bo Gizmo chce jeszcze nocą dotrzeć do Osh. Opowiadamy sobie, cośmy widzieli, co przeżyli, integrując się przy tym przy kirgiskim koniaku Calvados. Impreza symboliczna, bez wielkich szaleństw– jutro mamy przecież do przejechania dobrze ponad 400km, z tego niełatwe 180 km do Osh.



Kirgizja

25 sierpnia, Sary Tash – Zapory na Naryniu, biwak(343km)

Bardzo wczesna pobudka, przenikliwie zimno i ciemno. Niby koniec sierpnia, ale to już jak końcówka jesieni. Nie ma wprawdzie ani jednego drzewa, ale pożółkła trawa, zimny oddech zaśnieżonych Pamirów i przenikliwie zimno tego poranka, zdają się to potwierdzać. Formujemy kolumnę i naprawdę już wracamy.





Praktycznie nie robimy już fotek – drogę przecież dobrze znamy. Zatrzymujemy się tylko na przebranie, gdy zrobiło się w naprawdę gorąco, sikanie i tankowane jeszcze przed Gulczą. Na stacji dość długo czekamy na Waldka i Sambora. W końcu są, okazuje się, że Waldek zaliczył lot na zjeździe serpentynami z przełęczy Taldyk i unurzał się potwornie w białym i sypkim jak mąka pyłe. Na szczęście nic się nikomu nie stało, przygiął się lekko kufer. Umawiamy się, że od teraz nie łapiemy już gum, nie przewracamy się, nie gubimy i takie tam... Kilkadziesiąt kilometrów przed Osh czeka na nas niespodzianka. Nadziewamy się na jadącą w przeciwną stronę ekipę www.singapore2poland.com. Iza i Kamil – mają się świetnie, chwilę gadamy o ich dalszych planach, ściskamy i pomykamy dalej do Osh.



W Osh, nasze *Lejdis*, nie chcą słyszeć o nieskorzystaniu z prysznicą w hotelu, w którym zatrzymał się w nocy Gizmo i Przemek. Pielgrzymki ludów trwają dobrą godzinę, pozwalamy sobie z Jojną, w tajemnicy, na browara. Potem przenosimy się do knajpy, gdzie pałaszujemy doskonały obiad. Szaszłyki, kebaby manty, *żarene*, sałatki. Pychota. Od wyjazdu z Chin, od sześciu dni, nie mieliśmy tak naprawdę nic sensownego w ustach...

No, ale jest koło 16, więc pora na nas, Trzeba ujechać ile się da... Tutaj rozdzielamy się z samochodami. Ich plan, to jazda non-stop do Almaty. My zaś jedziemy do zmroku i szukamy miejsca na biwak.

Od Osh nieprzerwanie mamy asfalt, na radar łapie mnie miejscowa milicja. 80 na 60. Miło gawędzimy i puszczają nas wolno. Tankujemy za Jalalabadem i umawiamy się ujechać jeszcze maksymalnie do ósmej wieczorem. Suniemy dostojnie dalej. Otaczają nas szerokie pola uprawne, pocięte kanałami irygacyjnymi. Niedaleko stąd, przecinając ogromną dolinę Fergana, przecieży płynie wielki, 800 kilometrowy Naryń, zapewniając wodę tym żyznym terenom, jednemu bogactwu Kirgizji. Raz po raz mijamy mniejsze i większe skupiska wsi i miasteczek..

Spotyka nas jeszcze nieprzyjemna sytuacja. Często w Kirgizji stojąca na poboczu młodzież machając nam, pozdrawia, a my im odpowiadamy tym samym. Zdarzało się też niestety, że dzieci rzucały w nas drobnymi kamyczkami. Teraz jednak jakieś szczyle rzuciły mi pod koła

duży płaski kamień, który lotem koszącym tuż przy ziemi trafił mnie w przednie koło. Motocykl podskoczył, kierownicą szarpnęło na bok, na szczęście duża prędkość i efekt żyroskopowy koła nie pozwoliły na większy niekontrolowany skręt i katastrofę. Skończyło się na nogach z waty i ciepłe rozlewającym się po kolanach i kostkach...

W tym czasie ekipa zniknęła mi z oczu a pogoń nie przynosiła żadnego efektu. Dawno minęła ósma i zacząłem się zastanawiać czy nie stanęli już gdzieś a ja ich nie zauważyłem. Zły na siebie za nieuwagę, a na chłopaków, że nie czekają, jadę dalej, ogarnięty coraz to większymi wątpliwościami. Ordynarnie się ściemnia... Staję więc przy drodze, zapytać zajętych pakowaniem ciężarówką Kirgizów:

- *Izwienite, wy nie widzieli trjoch motocykli?* – pytam z siodła.

- *Da, jechali pjat minut nazad* – odpowiada jeden.

No to jestem już zły tylko na nich, że nie trzymają się ustaleń. W międzyczasie dojeżdżamy do rzeki płynącej w głębokim skalnym kanionie. To dolny bieg znanego nam już Narynia, zamknięty trzema ogromnymi zaporami na długości około 150km. Przy jednej z takich pionowych ścian, stoją motocykle.

Ustalamy, że stajemy przy pierwszym możliwym zjeździe do wody lub jakiegokolwiek terenu na namioty. Jadę pierwszy. Przerąbane. Pionowe skały, w dole sztucznie podniesiony Naryń, a droga wycięta w skale....

Kilkaset metrów dalej, odnajdujemy jakiś szutrowy zjazd w stronę jeziora... Skręcamy i... o mało co nie giniemy pod kołami wyprzedzającego nas lewą stroną samochodu! Kurwa! Było blisko. Marcinowi zimny pot skroplił się pod kaskiem...

Zjeżdżamy 50 metrów od drogi i... Nieprawdopodobne! Zielona płaska łąka schodzi do samej wody, ławki i stoliki, drzewka, chatynka obsługi. Normalny najprawdziwszy kemping! Pierwszy i chyba jedyny w Kirgizji! Cena 100 somów za wszystkich, jest tak śmiesznie niska, że nawet nie dyskutujemy. Upewniamy się tylko, czy właściciele mają piwo. Mają! Definitywnie zostajemy! Rozstawiamy namioty w świetle reflektorów Afryk. Tutaj następuje zwyczajowa najepka...



26 sierpnia, Zapory na Naryniu- Sokuluk,biwak (480 km)

Rano, upał wygania nas z namiotów. Wstajemy i widzimy obok auto Q5my. Wysłał mi w nocy SMSa z koordynatami GPS i jakoś w nocy szczęśliwie do nas dotarł.



W Osh musiał jeszcze zaliczyć spawanie wahaczy w Patroli, które popękały na tych wszystkich wertepach i groziły zgubieniem tylnego mostu.

Zanim zwiniemy obóz postanawiamy jeszcze wskoczyć do zaporowego jeziora. Gładka tafla, błękitna przejrzysta woda i ciepłutka orzeźwiająca kąpiel nastroja wszystkich optymistycznie – zwłaszcza, że przed nami znajduje się piękny, 580 km odcinek drogi do Biszkeku, zwanej też Osh- Bishkek Highway.

W skwarze poranka leniwie zwijamy obóz.



Przez kilkadziesiąt kilometrów jedziemy wzdłuż trzech sztucznych jezior na Naryniu. Każde z nich zamknięte jest koroną zapory wraz z hydroelektrownią. Większość wytwarzanego Kirgizji prądu pochodzi właśnie z tego źródła. Kryształowo- turkusowa woda rzeki-jeziora w dole przepaści skonstrastowana z brązem i szarością skał na długo pozostanie nam w pamięci.



Będziemy również pamiętać o idealnym równiutkim asfalcie drogi, wyremontowanej w latach dziewięćdziesiątych. To jedyna przyzwoita droga łącząca stolicę Kirgizji z za-górkimi rejonami tego kraju, której celem jest lądowe połączenie Chin z Kirgizją i dalej. Ponad 800 kilometrów tej drogi to duże wyzwanie dla ludzi i pojazdów. A zwłaszcza dla ich hamulców! Niesprawne



hamulce były tu główną przyczyną wielu śmiertelnych wypadków. Niezliczona ilość zakrętów, zjazdów i stromych podjazdów, czyni tą drogę jedną z najniebezpieczniejszych w Kirgizji, ale też pewnie jest ona najpiękniejszą. Z pewnością jest to marzenie motocyklisty szosowego.



Mijamy miejscowości Karakol (chyba już piąte na tej wyprawie) i odjeżdżamy od rzeki w góry. Po kilkunastu kilometrach ze szczytu drogi otwiera się piaszczysta, ogromna dolina z ostatnim na trasie, a zarazem największym sztucznym jeziorem – Toktogul. Budowa zapory, która je



utworzyła zajęła 14 lat, a ukończona w 1976 roku. Zaporowe jezioro ma prawie 20 km kwadratowych. Jezioro Toktogul trzeba jednak całe objechać, by dostać się do miejscowości o tej samej nazwie. Tankowanie nie stanowi tu problemu, na ok. 2km miasta po obu stronach drogi znajduje się chyba z 20 stacji benzynowych, zupełnie cywilizowanych. Skąd taka ich obfitość właśnie w tym miejscu?



Wybieramy jedną ze stacji (taką najbardziej przypominającą te nasze) i podczas tankowania przepytujemy obsługę o jakąś knajpę z żarciem. Jedziemy pod wskazany adres, gdzie zatrzymujemy się i zamawiamy jakieś sałatki i pieczone mięsko. Baran i kurczak, wiadomo.

Za Toktogul, droga zaczyna wspinać się wyżej i wyżej, krajobraz zmienia się nie do poznania. Jest zupełnie jak w polskich czy słowackich Tatrach. Z wysuszonych, piaszczystych i surowych gór zrobiło się iście alpejsko. Jedziemy przez sosnowe lasy, zielone trawiaste łąki, przy drodze szumi górski potok. Zniknęły melony i arbuzy – a zaczął się miód, również sprzedawany na straganach przy drodze. Ule są tutaj mobilne. Przywożone są na sezon kwitnienia na ciężarówce i parkowane przy drodze. Stąd pszczoły wyruszają na zbiory alpejskich pyłków i nektarów. Na zimę zjeżdżają pewnie w cieplejsze rejony kraju. Zatrzymujemy się więc przy jednym ze straganów i kupujemy butelkę miodu – w długie zimowe wieczory będzie nam przypominał o tym pięknym kraju.



Ciągle pniemy się w górę, z do pokonania przed nami ponad trzytysięczna przełęcz. Oczywiście wraz ze zmianą wysokości robi się zimno, więc wrzucamy na siebie cieplejsze ciuchy. W końcu osiągamy przełęcz Ala Bel na 3184 m. n.p.m. a z niej rozciąga się widok na soczyście zieloną dolinę Suusamyr. Sporo tu turystycznych jurt i miejsc do zatrzymania się, kuszą reklamy kumysu, sera i innych lokalnych dóbr. To tu mieliśmy spędzić cały

dzień, ale mieszanie z Chinami i późniejsza improwizacja niestety to nam uniemożliwiła. A szkoda, bo miejsce to zaprasza do eksploracji. Pędząc na dół, długimi prostymi, dobrze ponad stówkę nie mam niestety możliwości zbytniego podziwiania okolicy. Chyba, że kątem oka. I tym kątem oka widzę olbrzymiego psa pasterskiego, pędzącego kursem zbieżnym, z prawej strony drogi. Przebiega tuż przed kołami, znów robi mi się ciepło. Zwalniam więc i jadę już trochę spokojniej.

Buuuuuuuuuu!

Takim dźwiękiem przywitała mnie kolejna awaria niepsującej pompy Mikuni. Zerkam na licznik. Równo 2000 km od ostatniego razu. Czyli to, co zawsze. Przekręcam na rezerwę, silnik załapuje i



dalej jedziemy rozglądając się za miejscem na mały remont. Stajemy wkrótce na poboczu.

Robi się już późne popołudnie, a słońce bardzo nisko nad horyzontem informuje o konieczności zagęszczania ruchów. Wylewam paliwo spod przekłetej membrany, skręcam i jedziemy dalej. Przed nami ostatnie pasmo górskie Tien Shan – masyw Ala Too. Te czterotysięczniki widać jak na dłoni z Biszkeku, do którego zmierzamy. Zatem już blisko.

Rozpoczynamy wspinaczkę na przełęcz To Ashoo (3200m). Sakramencka ilość zakrętów, pokonywana po równiutkim i szerokim asfalcie, znika za nami w błyskawicznym tempie. Za 15 min jesteśmy pod przełęczą.

„Pod”piszę dlatego, że na drugą stronę góry nie przejeżdża się przez przełęcz, tylko kilkusetmetrowym tunelem. Ponieważ ukazał się on znienacka, nie zauważyłem czerwonego światła i wskoczyliśmy do środka. Ciemno i strasznie. Brrr. Na szczęście dogoniliśmy

samochody, które wjechały tam jako ostatnie, więc nie nadzialiśmy się czołowo na żadną wielką ciężarówkę. Dobrze, że jadąc tam nie wiedziałem, że kilka lat temu zginęło tu parę osób zatrutych dymem płonącego samochodu.

To, co zobaczyłem za tunelem nie mogło się podobać Irmie. Pionowa ściana między pionowymi granitowymi blokami, a w niej niezliczona ilość zygzaków drogi. Nie dałem jej się nad tym więcej zastanawiać tylko puściłem się w dół. Reszta ekipy za mną. Zaczyna się już zmierzchać, tu i ówdzie przeleciała mżawka, sporo samochodów zjeżdża również w dół. Ale jazda! Co za fantastyczne przewyższenie! Na niesamowicie krótkim odcinku, z 3200m n.p.m. zjechaliśmy na wysokość 900 metrów, na której leży Biszkek. Już na dole wszyscy zatrzymujemy się przy drodze, musimy trochę ochłoniąć, czysta adrenalina.

A na dole - cywilizacja. Ciepłutko. Ruchliwa droga do Biszkeku. Duży sklep. Dużo zimnego piwa. Ostatnie zakupy. Jadę pierwszy w kierunku na Biszkek, rozglądając się za jakimś miejscem na nasz ostatni biwak. Hej! Chcę żeby to miejsce było fajne, dzikie i ustronne. Tak jak dotychczas. Ale przy drodze zabudowania, w prawo i w lewo całe hektary ściernisk po zebranych już zbożu. Gdzieś w okolicy Bielowodskoje a Sokolikiem, uwagę moją przyciąga odchodząca w pola droga gruntowa ciągnąca się włoż wąskiego pasu krzewów i niedużych drzewek. Po około kilometrze pas zieleni się skończył, więc wjechałem za niego i cofnąłem się ze sto metrów. Tam natrafiłem na śliczną polankę na skraju tego niby lasu. Od gruntowej drogi odgradza nas 20 m zieleni a przed nami 2 kilometrowe pole - ściernisko! Super! Wracam do czekającej przy drodze ekipy komunikując sukces. Robi się całkiem ciemno. Jeszcze 5 minut i nie znalazłbym tego zjazdu.

Rozstawiamy namioty, robimy jedzenie, popijamy zimne piwko. Nie ma co się skarżyć, jak na nie lubiane powroty, to był naprawdę udany dzień. Jest ciepły sierpniowy wieczór, wieńczący naszą wyprawę. Jutro będziemy w Almaty.



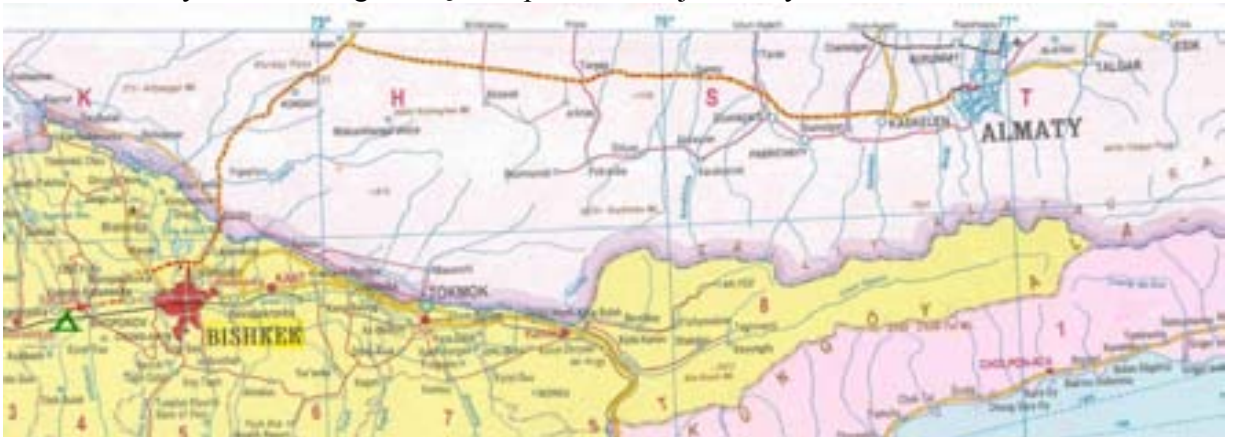
Kazachstan

27 sierpnia, Sokuluk – Almaty (270 km)

To już naprawdę będzie koniec.



Zwijamy namioty i po szybkim śniadaniu już przemykamy ruchliwą, jedno-jezdniową drogą w kierunku Biszkeku. Nie wjeżdżamy jednak do miasta, bo ma ono obwodnicę północną z wyraźnie oznaczonym zjazdem na Almaty. Kilkadziesiąt kilometrów i jesteśmy na granicy kirgisko - kazachskiej. Kirgiska, to kilku minutowa formalność. Pod budynek kazachski pojeżdżamy na pierwszego i stajemy w ciurku, rzędem. Wchodzimy do budynku, stajemy w kolejce do okienek paszportowych. Po odstaniu, bez przeszkód, kolejno przechodzimy odprawę. Tutaj też nikomu nie przeszkadza „wycofany” z obiegu druk wiz tranzytowych, które mamy wklejone w paszporty. Trwało to wszystko może z godzinę. Bez przeszkód wjeżdżamy do Kazachstanu.



Przed nami 210km do bazy w Almaty. Mamy info, że Kajman i Gizmo już tam są i zarezerwowali nam hotel, ten, co ostatnio. Jedziemy szybko i prawie porządną asfaltową drogą, w terenie pagórkowatym u stóp pasma Tien Shanu. Po lewej góry po prawej równina po sam horyzont. Zupełnie przyjemnie, choć trochę wieje od otwartego stepu. Koło 11stej zatrzymujemy się na przydrożnym parkingu, zwabieni wystawionym na widoku „grillem” do szaszłyków. To też ostatnie takie „dzikie jedzenie”. Szaszłyczki baranie wcinamy siedząc-leżąc w takim tradycyjnym stoło-łóżku. Super sprawa. Przyjemny cień, chłodzi i nie chce nam się wracać...



Jedziemy dalej. Coraz częściej spoglądam na licznik kilometrów, dawno już przekroczyłem na rezerwę i coś czuję, że braknie. Ostatnie tankowanie cyrklowaliśmy tak, żeby do Ałmat dojechać na pusto i nie ciągnąć na przyczepie benzyny przez 6 tys km. Ale z tego cyrklowania coś mi nie wyszło i zaczynam się rozglądać za stacją. Wjechaliśmy w końcu do miasta, tankuję piątkę i spokojnie jedziemy dalej. Sambor ma chyba jakiś dar: skręcił, raz, drugi, trzeci i oto stoimy pod hotelem. W życiu bym tu nie trafił. A z parkingu śmieje się Jójna, jest też Adam z kumplem, z którym zdobyli PIK Lenina. Macha nam Kajman, Gosia, Przemek i Gizmo. Znowu wszyscy w komplecie.

Jest pierwsza w południe. Dwudziesty szósty dzień podróży. Cztery i pół tysiąca km nakręcone. Pięć krajów. Osiem granic. 20 tysięcy zdjęć. I dziesiątka nowych przyjaciół. Za 16 godzin będziemy w samolocie do Kijowa, a za dwa dni w domu.

KONIEC

Dystans motocyklem: 4078 km
Dystans busem: 1100 km
Dystans pociągiem: 1000 km
Dystans samolotem: 5500 km
Razem: 11 678 km



















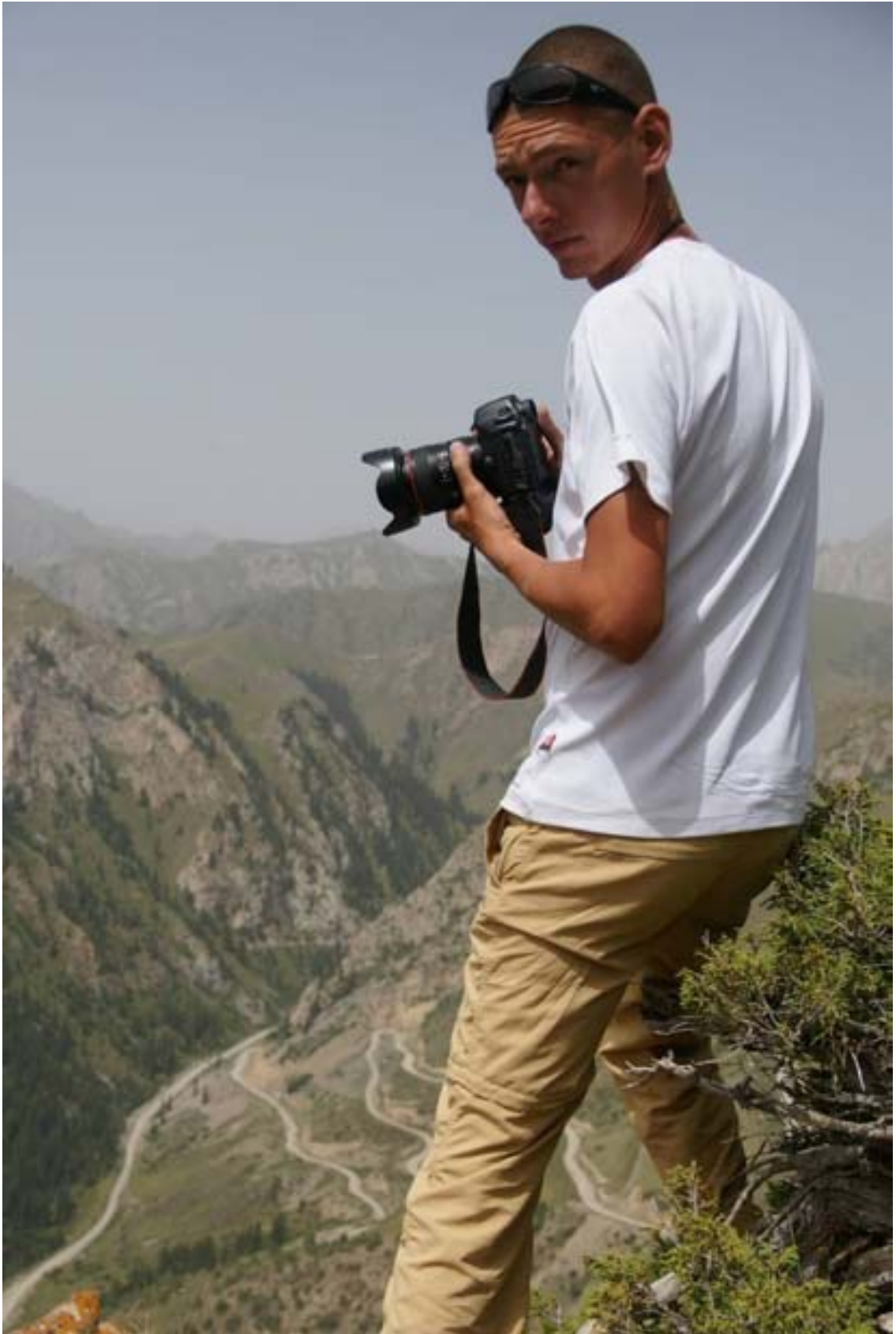






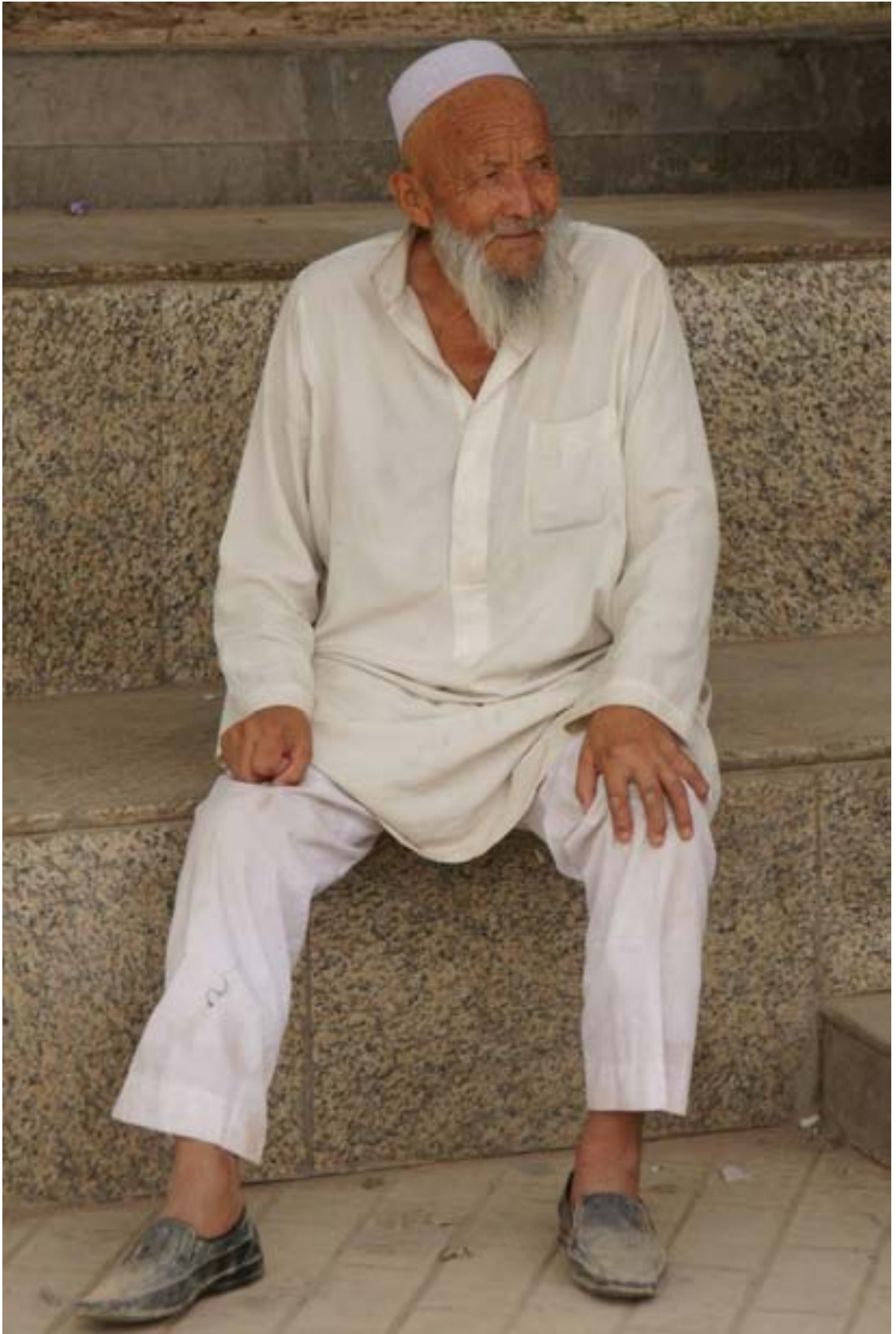






Ujgurzy z Xinjiangu























Chinka z Xinjangu



Kirgizi























Tadźycy







KONIEC

Informacje praktyczne

Kazachstan

1\$ = 118 Tenge

Benzyna 107 Tenge

Ropa 0,98-1,05 na stacjach Helios

Obiad w restauracji 3000-4000 tenge (dla dwojki)

Dwójka w Hotelu – gościnica w Almaty – 80\$ za dobę albo 40 dol za 12h

Ceny na prowincji

Szaszłyki 100 tenge

Mandat 50\$

Puszka red bulla kosztuje tyle ile 4 paczki Kentów lub malborasów

Kirgizja

Waluta: Somy

Kurs dolara (sierpień 2008) - 2,13 zł/dol) 1\$ - 35 SOM

UWAGA: niektóre ceny mogą być skorelowane z kursem dolara

Benzyna 33,-

Ropa 40,-

Chleb 10-25,-

Mała Piersiówka koniaku Calvados, 50-60,-

Koniak Kirgistan i Biszkek 150,-

Piwo – 35,-

Kola 25,-

Woda 20,-

Sałatki 60,-

Frytki 30,-

ryż 20 ,-

herbata 10 ,-

kureczak 35 ,-

szaszłyk barani 40 ,-

kebab 30 ,-

Nocleg w jurcie ze śniadaniem 120,-

Baran cały 4000,-

Dwójka w hotelu Pekin Osz 1600 ,-

Chiny

Juany

1\$ - 60 juanów

Taksówka 5 ,-

Obiad w małej knajpce dla 2 osób 30-40,-

Obiad w dużej restauracji 100,-

Parking na granicy (5 dób) 120 ;-

Noż ujgurski 100-150,-

Herbata 10dkg 25-30,-
Bulka i chleby 1-5 ‘-

Tadżykistan

Waluta: Somoni

Kurs 1\$ = 4 somoni

Benzyna 1,30\$ za ltr

Ropa – 1,5 \$ za ltr